

1021/87

Ks. BISKUP BANDURSKI.

CIEŻKA SŁUŻBA



BRODY — LWÓW 1914.
NAPŁADEM KSIĘGARNI FELIKSA WESTA.
WARSZAWA — E. WENDE i SP.
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMP. CO.

Ks. BISKUP BANDURSKI.

CIEŻKA SŁUŻBA

ZBIOROWE WYDANIE OPOWIEŚCI



BRODY — LWÓW 1914.
NAKŁADEM KSIĘGARNI FELIKSA WESTA.
WARSZAWA — E. WENDE i SP.
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMP. CO.

LP 140

592486 II

K-87/4821
07-14 800,-



SPIS RZECZY.

Ciężka służba. <i>Powiatka z czasów Żółkiewskiego.</i>	1
Miłość wioski rodzinnej. <i>Ideał nauczyciela ludowego.</i>	49
Biała sukmana. <i>Opowieść z czasów Kościuszki.</i>	85
Zwycięstwo kochającej matki.	105
Smutna Wigilia. <i>W roku 1863 we wsi Zatory w Płockiem</i>	124
Za cara. <i>Z wojny rosyjsko-japońskiej.</i>	139
Sama jedna. <i>Wigilia biednej nauczycielki unitki.</i>	145
Obrazek ze wsi. <i>Wigilia chorego leśnego.</i>	153
Przy kolędzie. <i>Wigilia biednego studenta.</i>	159
Kuba z karczmy. <i>Wigilia opuszczonych i zaniedbanych.</i>	167
Najsmutniejszy Anioł.	175
Kościuszcze, <i>na rocznicę zgonu.</i>	181
Alleluja. <i>W Ibianach w roku 1863.</i>	193

CIEŻKA SŁUŻBA

Powiatka z czasów Żółkiewskiego.

I.

W Żółkwi.

W komnacie ciemno. Już dawno słońce skryło się za dalekie pola, już dawno mrok ponury rozsiaął się wśród ścian wspaniałej i rozległej komnaty, a przecież nikt tu światła nie roznieci, nikt smętnej ciszy nie rozweseli.

Czyż tu pusto?

Zamek duży, rozległy i wspaniały. Komnaty idą jedne za drugimi, tu i tam drogic makaty, porozwieszane po ścianach, tu i tam cenne sprzęty ustawione, a przecież, jakże tu smutno.

Przeszło czasu nie mało. Mrok zmienił się w ciemność zupełną. Duża komnata zdaje się jeszcze większą w tej ciemnej szacie nocy, a cisza jej napełnia duszę jakąś niewystowioną tęsknotą.

»Mamo!...« ozwał się wreszcie szept cichy.

»Mamo!...« woła głos drugi, jakby drżący z żalu... ale nikt nie odpowiada.

Zdaje się tylko, że jakieś westchnienie odbija się niby echem od ścian.

»Mamo!...« mówi cichy głos, »przestań się modlić, czekamy i czekamy na ciebie, a smutno tak w ciszy i straszno w ciemności«.

»Mamo!...« »każ zapalić świece, nie widzimy ciebie... mów co do nas, Kasieńka usnęła już przytulona do nas.«

Hetmanowa Żółkiewska powstała z klęcznika, zbliżyła się do okna, przy którym dzieci siedziały i rzecze do nich:

»Może tam właśnie bóg się toczy, może właśnie ojciec wasz walczy z wrogami! Niech Bóg ześle mu swoją pomoc świętą!...«

Klasnęła w dłonie. Drzwi się otwarły, wszedł Andrzej, niosąc duże woskowe świece zapalone.

»Niema jakiej wieści!« pyta hetmanowa.

»Niema. Tylko jakiś biedny człek stanął w bramie, a prosi o przytułek.«

»Dajcie mu chleba i odzienie, niech się modli o miłosierdzie Boże nad walczącymi.«

Andrzej już odchodzi, gdy najstarsza córka poczyną prosić:

»Mamo!... niech wezmą tego biednego do zamku, może on nie ma domu.«

Andrzej przystanął i mówi:

»Jakaś biedota. Strasznie lichy odziany, a nędznie wygląda.«

»Niech go wezmą,« prosi Jan, chłopak mały, o pięknej twarzy i wejrzeniu nader miłym. Gdzież on pójdzie od nas?... Pan Kurzoński mówił, że już u nas niezadługo będzie we wszystkich komnatach pełno, bo tylu biednych mama przyjmuje, niechże i my jednego wprosimy do domu.«

»Za pomyślność wojny, w której tatuś walczy, niech on tu zostanie, niech się modli o powrót szczęśliwy,« prosi Zosia, całując matkę w rękę a pani Hetmanowa odpowiada:

»Wprowadź go do czeladnej, jutro z nim pogadam.«

Zamknęły się drzwi za Andrzejem, a w komnacie już oświetlonej jakoś niby weselej się zdawało. Hetmanowa pochyliła się nad śpiącą Kasieńką, przegarnia jej włosy nad czołem i tuli główkę najmłodszej dziecińcy do serca.

Jan wpatrzony w matkę pyta:

»Czy wszystkie dzieci w Polsce i na Rusi tak muszą za ojcami tęsknić i czekać na ich powrót?«

»To prawda,« rzeknie Zosieńka. »My naszego tatusia widzimy tylko raz na rok. I po coż te wojny ciągle i ciągle?«

»Z tej strony Tatarzy napadają, od południa Turcy się cisną, a od północy nowi wrogowie. Ojciec wasz służy Ojczyźnie — a to służba ciężka i trudna.«

Zamyśliła się Zosieńka i pyta:

»Czemuż dzieci z chat w około za ojcami nie płaczą? czemu one nie tęsknią tak jak my i ty, Mamusiu?«

»Ci, co nie idą do walki, pracują na roli na chleb i dla nas i dla siebie. Nasi broniąc Ojczyzny, bronią i nasze komnaty i ich chaty, nasze dzieci i ich rodziny całe, a oni pracują na wyżywienie i nasze i swoje...«

»Szczęśliwe dzieci po chatach,« przerywa Jan, ale na to im matka rzeknie poważnie:

»Widzisz, moje dziecko, ci po chatach, mają życie cichsze i spokojniejsze, ale mniej w nim i sławy i zasługi... Nie można rzec, iż szczęśliwsze rodziny wieśniacze od naszych, bo one ubogie są w oświatę, — mniej mają praw i wolności — nie jeden raz są i zanażo zimno i ostro traktowane, a to boli i... szczęścia nie daje. Wasz ojciec, ojcowie Daniłowiczów, Sobieskich, Koniecpolskich i innych znanych wam dzieci szlacheckich służą Ojczyźnie orężem, prawda, trudów mają dość i życia nie są pewni — ale oni wolni — sławę zdobywają, wdzięczność widzą w około — a ci biedni...«

W tej chwili jakiś wicher silny zahuczał, drzwi od komnaty otworzyły się, łuna w okna zaświeciła...

»Co to?...« wołają dzieci przerażone, Kasieńka budzi się, chwyci matkę; do komnaty wbiega domownik wierny, Kurzoński i oznajmia:

»Tatarzy są we wsiach...«

»Nieszczęście!...« jęła pani Żółkiewska i każe wołać do siebie dowódcę straży zamkowej, aby bramy pozamykano, wartę wzmocniono i dano pilne baczenie, czyli nie przyjdą pod mury mieszkańcy wiosek najbliższych, aby ich przyjąć do zamku i przed niewolą uchronić.

Noc była straszna.

Łuna pożaru biła swoim światłem, czasem wiatr donosił dzikie krzyki pohańców, czasem doleciał jęk straszny ludu ratującego się ucieczką przed niewolą.

Nazajutrz — cicho było w około, ale z wiosek najbliższych zostały tylko popioły — gdzieniegdzie jeszcze smuga dymu ścieliła się długą wstęgą ponad rzeką.

* *

W tydzień potem wpada Jan do matki z okrzykiem:

»Od ojca list!«

Przybyły posłaniec wjechał w podwórzec zamkowy na koniu, okrytym kurzem i pianą. Twarz jeźdźca oczerniała i krwią zbryzgana, odzież prawie w strzępy podarta. Wyjmuje z zana-
drza list, oddaje, a sam prawie omdlewa ze zmęczenia.

Pani Żółkiewska list chwyta; Jan pyta o ojca, Zosia zmęczonego żołnierza pokrzepia winem.

»Bogu dzięki niech będą!... odparli Tatarów,« mówi pani Żółkiewska, a w około żołnierza zebrane dzieci, domownicy, czeladź i mieszczenie z miasta pytają raz po raz:

»Odebrali jeńców?«

»Wygnali ich daleko?«

»Było dzieci aż trzysta?«

»Bydła tyleż pędzili?«

»A nasz pan Hetman,« opowiada Baliński, »cały krwią zbryzgany, szabla mu z ręki nie wyjdzie, z konia nie z siada. I bylibyśmy Tatarów nie wygnali i bylibyśmy nie odebrali jeńców, ale wszystko zrobił przykład pana Hetmana, — rzucił się naprzód, zawołał na cały głos:

»Za krzywdę bij!...« to i każdy szedł, jakby miał rąk dziesięcioro, a szabel pięcioro...

»A jeńcy?« pyta Jan wpatrzony w żołnierza.

»Co za płacz był z radości, gdy już byli w naszych rękach, tego nikt nie opowie; do nóg Hetmana rzucali się, błogosławili go... całowali jego szaty...«

Żółkiewska łąy ociera, słuchając opowiadania a potem rzeknie:

»Już 27 razy zwyciężył Tatarów!...«

»I dziwić się, iż my w domu tatusia nie mamy, iż nam tatuś tylko gościem ̄rogim,« odpowie Zosia, »nie nam on ojcem, ale tym, których broni od niewoli — prawda?«

»Ale cieszcie się dzieci, już przyjedzie!«

»Kiedy?«

»Na pewno nie wiadomo, ale ̄rogą od Buczacza tu ciągnął, gdy z Tatarami walkę musiał toczyć, teraz zawita w nasze progi.«

»Gdybysz najprędejsz!...«

»Gdybysz dziś!...«

»Opowiadajcie jeszcze jak było.«

Baliński chce opowiadać, ale zmęczenie mu słowa przytłumia, zdjął ciężki hełm z głowy, czoło potem złane ociera dłonią, aż Zosia powiada:

»Idźcie spocząć, idźcie... ̄dzięki wam za dobrą nowinę, a gdy wypoczniecie, będziecie opowiadali.«

Zbliża się ku Balińskiemu, w tem koń jego płoszy się i uderza panienkę kopytem. Byłaby padła, ale chwycił ją chudei rękami człek jakiś nędzny, w podartej odzieży. Był to ów biedak, który przed kilku dniami wszedł jako żebrak do zamku w Żółkwi. Kto on był, skąd, dokąd szedł, nikt nie wiedział. Teraz, gdy panienkę uratował od niebezpieczeństwa, poczęto pytać między ̄dworskimi:

»Co za jeden?«

»Kto?«

A pani hetmanowa Żółkiewska rzekła:

»Biedny!... czy trzeba pytać o więcej?...«

II.

Powrót Hetmana. — Wesele Zofii Żółkiewskiej z wojewodą Daniłowiczem.

Życie w zamku Żółkiewskim płynęło cicho. Zawsze była tu modlitwa o szczęśliwy powrót Hetmana, zawsze była tu opieka nad biednymi i zawsze było oczekiwanie na wieści z pola bitwy, bo, jeśli nie tu, to tam, Hetmańska dłoń miecz miała wzniesiony do boju i strzegła wolności Ojczyzny.

Ale teraz, w rok 1605 w Żółkwi na zamku inaczej. Znać wielki ruch, radość i ożywienie. Pan Hetman przyjechał już do domu przed trzema miesiącami, a jeszcze nie zaraz odjedzie. Rzecz to niesłychana, aby tak długo mógł spoczywać.

W zamku rojno i ludno, nie tak jak wtedy, gdy on daleko, a matka z dziećmi sama. Na podwórcu zamkowym uwija się mnóstwo rycerzy pięknych i dziarskich. Broń połyskuje, ze krwi oczyszczona, stroje barwne i piękne oko zachwycają, a wszędzie tylko słyszeć opowiadania o bojach wygranych, o trudach poniesionych, o męstwie żołnierzy i o dzielności Hetmana, którego wszyscy kochają i sławią. Hetman Żółkiewski, już to dziś człowiek letni. Ma lat 58. A lata te — można w większej połowie uważać za lata ciężko i mozolnie przeżyte w obozach, bojach, niewygodach i trudach. Jednak czoło jeszcze pogodne, oczy mają blask zapału, a ciało nie zleniwione, nie lubi wygod i spoczynku.

Z rana w czas wyszedł Hetman jak zwykle na Mszę św. ztamtąd na wały.

Od wczesnego ranka pracują tu ludzie pilnie. Wożą ziemię, sypią wały, aby w razie najazdu nieprzyjaciół, można

jeszcze lepiej się bronić. Przy pracy zajęci są i Tatarzy, którzy jako niewolnicy ziemię kopią i sypią na wały.

Idzie Hetman rozmawiając z Kurzońskim, który tu dozuruje, a Żółkiewski mu powiada:

»Z tej strony rzeką, to dobrze, zamek bezpieczniejszy, tu mur już wykończony, tak że lepiej będzie się bronić w czasie potrzeby, tylko od północy spieszyć trzeba z robotą.«

»Co się da, to spieszymy, ale...«

»Jakie ale...«

»Ale jeńcy lichy robią, a i w tej robocie to ciągle im każą spoczywać panienki obie, jak tylko z zamku wyjdą, a oba-
czą jeńców, dalejże prosić:

»Kurzoński!... dajcie spocząć jeńcom!«

»Jakby to niewiara taka sobacza warta była spoczynku. Możeby Imć Pan Hetman miłościwie przykazał w zamku, aby tak za jeńcami nie obstawano.«

Ale Żółkiewski oparłszy swą rękę na ramieniu Kurzońskiego odpowiada z uśmiechem:

»Wiesz co?... W boju, tom ja wróg dla nich i do niewoli biore, ale tu w domu i ja mam serce inne, jak w polu bitwy. Gdyby nie to, że za jeńców tatarskich wydostanę jeńców z Rusi i Polski, puszczałbym ja ich wolno, puszczałbym.. bo i któż z nas nie wyobraża sobie, co to niewola?«

Pan Hetman spojrzął z litością na wielki szereg Tatarów, pochylonych nad rydlami... Ludzie ci robili wrażenie przykre. Szpetne ich lica, niekształtne postacie, a przecież, choć i tak dla nas bezlitośni i tak wiele krzywd nam czynili, uznawaliśmy ich ludźmi i roztaczaliśmy litość nad nimi...

Zadumę ojca przerwał głos syna jedynaka:

»Pan Wojewoda Daniłowicz wjeżdża.«

I istotnie. Jechał piękny orszak żołnierzy na koniach wspinałych, a strój jeźdźców lśnił się w świetle słonecznym tysiadcem blasków.

»Jedzie pan młody«, szeptano sobie wśród ludu przy szanćcach.

»Nie będzie już tu naszego anioła,« mówili inni, myśląc o tem, że panienska Zofia ztąd odjedzie, a byli i między Tata-rami niejeđni, którzy uradzili, iż pokłonia się panience, a poproszą, aby ich wzięła z sobą do Oleska.

Wesele ma być za tydzień.

Gości się zjeżdża ogromna chmara. Zamek w Żółkwi stroi się w wspaniałe makaty i dywany, zdobyte nie jeden raz w namiotach nieprzyjacielskich.

A panna Zofia, strojna w niebieski kontusik i białą sukienkę, choć niby wesółą, zdaje się nie wesółą, choć niby uśmiecha się, zdaje się, tęsknotę ma jakąś w sercu.

»Co ci, moja córko?« pyta matka, całując Zofię w czoło. »Wszak nie lękasz się życia? Wzrosłaś tu u mnie, jakby w zakonie, w modlitwie i trwodze o życie ojca, o zwycięstwo nad wrogami. Czyż nie przywykłaś do trudów życia?...«

»Zdaje mi się,« odpowiada w pół z płaczem śliczna Zofia, »iż jakaś wielka droga przedemną się otwiera, zdaje mi się, że czeka nas coś, jakiś ból, smutek, czy ja wiem co? Ot! nie gniewajcie się, matko, za to gadanie; Bóg wszystko ma w opiece, powinnam być roztropniejszą.«

»Może być, iż masz jakieś przeczucie, wszakże nie smuć się! Acha! chciałaś, aby ten Chmielnicki jechał z tobą do Oleska?...«

»Proszę o to...«

»Zdaje się wierny i życzliwy nam człowiek, przez parę lat jest u nas, przywiązał się, ale widzisz, myślę, możeby Kurzoński był lepszy?«

»Kurzoński już tu jest wielką pomocą, gdy ojca niema, a ja wezmę Chmielnickiego. Od pierwszej chwili, jak tu wszedł nędzny i odarty, coś mię litością przejęło dla tego człowieka. Nikt nie wie, skąd on, nikt nie wie, dla czego tak błakał się i tułał, nim do nas przyszedł. W zamku go nie lubią. Nie jeden raz mu dokuczali, widziałam; więc go dla tego wezmę, bo jeśli on tyle razy dowiódł swej życzliwości, ufać mu mogę. Niech się tam przytuli w Olesku taka sierota w Żółkwi przygarnięta, bo tu ich nie mało.«

Wszedł pan Daniłowicz, witając pięknie dostojną panią Hetmanową i urodziwą swą narzeczoną, a panna zapłoniona jak róża rękę panu Janowi podała.

W parę dni po weselu, żegnano się w Żółkwi. Córka z mężem i wiernymi domownikami, oddanymi jej przez rodziców, odjeżdżała do zamku w Olesku, a hetman Żółkiewski ze swoimi żołnierzami już wyruszył na nowe boje.

Na ten wyjazd córki i ojca pochylały się smutno sztandary wojenne, idące przodem a pieśń »Boga Rodzico Dziewico«, płynąca z piersi rycerstwa, ruszającego w drogę, jakąś tęskną mową żegnała rozjeżdżających się w inne strony.

Za poczem państwa młodych szedł także w szeregu sług i Chmielnicki, ale spoglądał raz po raz na niknącą w dali Żółkiew, jakby chciał wrócić, jakby chciał tu zostać...

Któż wie?

Gdyby był wrócił, został, nie szedł za młodą panią, możeby była Polska mniej ucierpiała, możeby się tyle krwi nie przelało później w tej ziemi, możeby to nazwisko Chmielnickiego nie stało się potem tak straszne nawet w wspomnieniach...

Ale, dziwnie się czasem splatają rzeczy na tym świecie...

Czekajmy, co nam dalsze opowiadanie przyniesie, może Chmielnicki wróci? Może za dobre serce Zofii Żółkiewskiej okaże się niewdzięcznym?...

Pojechali!

Hetmańskie wojsko jeszcze śpiewa: »Bogiem sławiona Marya!

U Twego Syna, Hospodyna,

Zjednaj nam, ześlij nam

Zbożny czas!«

Jeszcze widać szczyty proporców, jeszcze zdaje się lśnić ślad rycerzy w promieniach słońca...

Młoda pani pożegnała Żółkiew, otarła łzy toczące się po licu, i już wszystko coraz dalej, coraz bleńsze, coraz cichsze...

III.

Zwycięstwo pod Kłuszynem. — Car Dymitr Szujski wzięty do niewoli.

A w Polsce spokoju nie ma.

Ileż to walk i wrogów?

Rycerstwo prawie z konia nie zsiada, zbroi nie zdejmuje,
miecza nie wypuszcza z ręki.

Do innych walk i wrogów dołączyła się wojna z Moskwą,
z carami, a wróg to siły i zajądły.

Król Zygmunt III. z carem Szujskim stanął do wielkiej
rozprawy.

I z tej i z tamtej strony wojska co nie miara. Pod miastem Smoleńskim stoją nasi, a Moskwa ich otacza w około. Straszna moc wojska moskiewskiego.

Lecz rycerstwa polskiego stosunkowo nie wiele.

A drogą od Możajka ciągnie Żółkiewski ze swoim wojskiem, bo naprzeciw idzie car Szujski, pyszny, mściwy, krwi chciwy i żądny zdeptania Polski.

Jestto noc lipcowa, jasna, pogodna, cicha.

Równiną rozległą wije się droga, a gwiazd tysiące mruga nad tym obszarem, ukołysanym snem.

»Hetmanie«, mówi zbliżywszy się Gąsiewski, nadjeżdżając szybko, »możeby spocząć«. Wojsko zmęczono, a i wam, Hetmanie, należałoby się spoczynek.

Ileż to nocy nie odpasaliście miecza?

Żółkiewski uśmiechnął się, a potem rzecze:

»Czy nawet myśl taka się nawinie, aby spoczywać? Już tak człek przywykł do pola, konia, oręża i bitwy, iż zdaje się, bez tego żyćby nie zdołał. Bywały ciężkie czasy, ale terazniejsze, do próżniactwa nie sposobne.«

Jadą dalej, gdzieś wśród pól cichych migają światła jakby z okien chat, gdzieś ozwie się jakiś ruch, jakby lot cichy spłoszonego ptaka.

Żółkiewski mówi do towarzyszącego rycerza:

»Gdy ujrzę wieś z oddali, gdy mi błysnie z jakiej chaty światelko migotliwe, zaraz serce rwie się ku mej chacie. Czy wiecie wy, jak to przecież serce hetmańskie tęsknić może do dziecka, do żony, do ścian swej chaty... Syna mam jedynaka, kocham go całym sercem, ale, chłopię to ledwie mnie zna...«

»Podrośnie, to i z Wami Hetmanie w pole wyruszy.«

»Niech się jeszcze uczy, a niech jeszcze pod okiem matki serce sobie wyrabia. Tak to u nas, matki i żony są wszystkim w naszych zamkach i dworach, i dzieci wychowują i domownikami się opiekują i za nami się modlą.«

»Hetmanie!« przerywa Gąsiewski, »każ stanąć na odpoczynek!«

»Odpoczynek?« westchnął bohater. »Czy Waś nie wiesz, że w Polsce się nie spoczywa, że w obec wroga, co wciąż się uwija, hańbą by było odpoczywać i próżniacze wieść życie. Dziś jeszcze może nieprzyjaciół najść nas z nienacka, dziś gotów pokazać swą siłę, a my mielibyśmy ułatwić mu zwycięstwo. Będzie czas spoczynku, gdy wypędzimy wroga z granic Polski i Rusi, gdy takie nad nim odniesiem zwycięstwo, że już się nie poważą zakłócić nam spokoju. Prawy syn Ojczyzny tę myśl żywić winien i do tego dążyć całym swoim życiem, nie żałując ni trudu, ni zdrowia, bo służba Ojczyzny, to służba ciężka!«

»Czy Waś nie wiesz, co to służba ciężka?...

Nam spotkanie niedalekie, nam trzeba czujności i czuwania... Nie idzie tu o lekką walkę. Ja mam ze sobą tylko 4000 jazdy i 2000 piechoty. Coż to w obec siły Moskali?«

»Król Jegomość pod Smoleńskiem stoi, może poczekać jeszcze na wasz powrót.«

A Żółkiewski na to:

»Pod Smoleńskiem jest źle. Jeśli się nie zdarzy cud jakowyś, który nam z pomocą nie przyjdzie, to carowie będą bili strasznie... Tu się nie łaża walka rozprawi, nieszczęście wisi nad głowami, daj, tam Waść spokój z gadaniem o spoczynku!«

Ot! jedzie człek, a myśl mu gna tam daleko! »Synu mój!...« westchnął Hetman głęboko jakby z żalem.

W tem wstaje.

Konia wstrzymał, podniósł się w strzemionach, wzrok natężył.

Przyjeżdża żołnierz z straży podjazdowej i oznajmia:

»Obóz moskiewski pod Kłuszynem!«

Hetman już go spostrzegł.

Światła płoną, namioty bieleją. Chmura wojska daleko i daleko.

Jadą wysłańcy i przynoszą wieści:

»Moskale śpią!...«

»Śpią!« powtarzają inni.

Noc cicha, spokojna.

»Uderzyć na Moskali!« mówi ktoś ze starszych.

»Korzystać ze sposobności i wyłuc wroga do nogi,« powtarza drugi.

A Hetman Żółkiewski rzecze na to:

»Na śpiących Polak nie napada.«

Stają więc nasi i czekają na świt.

Niebo błednie, gwiazdy gasną, rosa pada po łągach i polach, zwilża oczy i czoła żołnierzy, a jakby tęsknem westchnieniem przelata od krańca obozu do krańca szept modlitwy, którą rycerstwo wita chwilę boju...

Żółkiewski rozpatruje plan położenia, oblicza, bada.

Czoło jego zasępiło się, dwie rysy wybiegły między brwiami.

Niezmierzoną falą pokryło się pole obozowiskiem Moskali,
a naszych 6000 tylko!

I tamci śpią, a Żółkiewski na śpiących nie napada.

Niebo coraz bledsze, gwiazda poranna poczyną już go
rumienić.

* * *

»W Imię Boże! Do boju!«

»Naprzód!... bij!...«

Zatętniały kopyta, zaszumiały chorągwie, zabłyśły pałasze
i bój się rozpoczął.

Okropna chwila!

Moc ludzi 40000 ma odeprzeć wojsko polskie, którego
jest tylko 6000!

Świta tak dzień 4. lipca 1610. roku.

Ze strony Moskali dowodzi car Dymitr Szujski a ma
przy sobie wojowników obcych, dzielnych, i w bojach wyćwi-
czonych, jak Horna i Ponte de la Garde, którzy dowodzą
wojskiem szwedzkim.

Husarskie chorągwie gonią jak wicher, rajtarzy Szwedzcy
w popłochu się mieszają.

Jęk, krzyk, krew i śmierć!

»Boże Wielki!« błaga Żółkiewski ze wzniesionemi ku
niebu rękoma. »Boże Wielki! Dodaj siły i ducha!... Ratuj w tej
chwili! Jezus! Marya!...«

Już chyli się chorągiew jedną, już niknie druga, już zdaje
się utonęli nasi w nawale wrogów, jak tonie łan zboża w fali
potopu i gradowej ulewy...

»Bij!... wzywa z potężną odwagą młody Zborowski i rzu-
ca się w wir walki.

Kopie już połamaly się w walce, chorągwie już zanikły,
wszędzie tylko krew i śmierć!

A niebo coraz złocistsze od blasków słońca wzniesionego
w górę, a dzień staje się jakiś wielki, dziwnej chwały i sławy!...

Oto patrzy Żółkiewski, wzrokiem doświadczonego wodza bada sprawę, ale poznaje już co się dzieje.

Jeszcze tylko z prawej strony wzmocnić atak, jeszcze tylko wpaść na to skrzydło od strony moczaru, a walka będzie rostrzygnięta...

Polski oręż — potężny!

Polskie ramię — bohaterskie!

Dymitr Szujski, car Moskwy, oto wzięty do niewoli i stoi przed Żółkiewskim.

Pontus de la Garde, Horn i Delaville, wielcy rycerze, uciekają, co sił stanie, a teraz dopiero zapowiadany spoczynek po nadmiernem co prawda zmęczeniu.

Żółkiewski zsiadł wreszcie z konia.

Za zwycięstwo Bogu naprzód dziękuje na kolanach wraz z całym rycerstwem, ociera czoło potem złane i krwią zbryzgane, odkłada szablę, całą spływającą krwawymi kroplami, a myśl mu stawia przed oczy daleką Żółkiew, Jana, jedynaka, Kasieńkę pieszczoną i Reginę, najdroższą, ukochaną żonę...

»Ucieszę ja was teraz nowinami«, myśli w duszy Żółkiewski, gdy patrzy na spętanego cara.

A wieść o sławie Hetmana, o jego tryumfie dnia dzisiejszego już płynie, niby na skrzydłach ptaka, i powtarza Ojczyźnie całej:

»Kłuszyn!... Żółkiewski!... Car w niewoli!... Car w niewoli!...«

I nim się słońce nachyliło ku zachodowi, nim znów wieczorna rosa poczęła padać na stalowe szyszaki i czoła zmęczonych rycerzy, już groźne położenie Polski wobec potęgi wrogów było zmienione w tryumfu chwałę, już ci, którzy szli na potępienie narodu, dźwigali pęta i srom niewoli, bo oręż polski — potężny, a ramię polskie — bohaterskie.

IV.

Żółkiewski w Moskwie. — Pod Smoleńskiem. —
Carowie Szujscy, jako niewolnicy. — Na zamku
Żółkiewskim. — Andrzejko młynarz.

Łatwo wyjechać rycerzowi z domu, ale nie łatwo tam
wrócić.

Lecz stokroć łatwiej myśleć o rodzinie temu, kto tylko
rozkazów wodza słucha, jak Hetmanowi, który musi myśleć
o tysiącach żołnierzy, widzieć przed sobą obszar rozległej
Ojczyzny i patrzeć w jej przyszłość.

Hetman nie spoczywa.

Już się lato przechyliło, już wita jesień mglista, już i smu-
tek rozsiada się nad obszarami pól i krainy rozległej, a jemu
jeszcze do spoczynku daleko.

Dnia 9. października, w nocy wchodzi on ze swoim
wojskiem do Moskwy, gdy miasto spało. Wchodzi on jako
zwycięzca i rozkazuje Moskalom. 18000 strzelców moskiewskich
wysłać każe nazajutrz pod komendę przychylnego Polsce —
inne wojska stawia pod Możajskiem, a dla swoich wydaje
rozkaz:

»Nikomu żadnej krzywdy nie czynić!...«

Gąsiewski powiada:

»Wielki Hetmanie! Gdyby tak zawsze czynili ci, którzy
wchodzą w obce miasta, tożby wojna ustała.

A na to Żółkiewski:

»W bitwie — nie ma krzywd, tylko walka o zwycięstwo,

wobec zwyciężonych, jest tylko sprawiedliwość i litość... a choć to człek od lat tyłu i tyłu ciągle walczy, bije i zdobywa, przecież serce ma czułe i nad dolą zwyciężonych boleje... Przywołaj! no mi Waśc Balińskiego, pojedzie do Żółkwi. Muszą tam wyglądać moje biedne oczy ukochanej żony, żali nie ma pośtańca, a pięć miesięcy przeszło wieści nie słałem.

Gdy wszedł Baliński Hetman długo rozmawiał.

W końcu rzecze:

»Zdarza się czasem, że w takowych przygodach list pochwyć, więc gdybyś dojechał do Żółkwi, a listu mego nie miał, powiedz Pani: »Car Szujski i jego brat w niewoli mojej, powiedz, Królewicza Władysława, syna króla naszego, Moskale na tron swój proszą, powiedz, Polska będzie rządziła Moskwą, nie Moskwa Polską, bo tak Bóg dał w swej łasce, iż zwycięstwo pod Kłuszynem przyniosło szczęście i sławę.«

Po chwili, jakby rozrzewnionym głosem, dodaje już Hetman:

»A wszystko bacz pilnie i powiesz mi, czyli Jan urósł, Kasieńka czy już nie myśli o tem, aby z gniazodka Ojca odlecieć, i Pani Hetmanowa czyli nie chorzeje, lub nie przemęczona rozmaitemi sprawami. U Daniłowiczów bądź, niech też w Żółkwi dadzą na Msze Święte na podziękowanie Bogu za zwycięstwo... Oj! Synu!... radbym ja tak jechać z listem bodaj, abym zawitał do Swoich, ale służba nie drużba, a kto Ojczyźnie służy, ciężką ma pracę, oj! ciężką... Ciężka to służba!...«

*

*

*

I przeszła zima i wiosna minęła...

Pod Smoleńskiem jeszcze nasi stoją.

Jeszcze burza niepokojów o tron moskiewski nie ustaje, a gdyby chcieć dokładnie wyjaśnić, o co tam chodziło, trzeba by bardzo długo mówić. Wszystkiemu były winne niezgody. I wśród Moskali były kłótnie i swary, o tron carów i wśród szlachty polskiej nie było zgody o tę wojnę.

Gdy wreszcie 12. czerwca 1611 roku Polacy Smoleńsk zdobyli, dano hasło powrotu do kraju.

Oj! wracają nasi wracają, jak ptaki z dalekiej drogi, ale wracają z sławą u czoła, z radością w sercu. Nie pieszczono ich życie, nie przesiedzieli, jak to mówią za piecem czasu sporo, jeno dokazywali cudów swoim męstwem i walczyli tak, że na 6—7 wrogów jeden sobie dawał rady.

Wraca król Zygmunt do Warszawy, jadą inni do swoich domów, a Żółkiewski ciągnie do Żółtkwi.

Zadzwonily dzwony z wieżyc kościelnych, otwartły się bramy miasta, runął lud i mieszczaństwo na powitanie bohatera, który tylko wzrok wyteża ku temu, aby obaczyć żonę i dzieci.

Zadrgały usta. Łzy zabłyśły w oczach. Otóż oni. Jan już młodzieniaszek hoży, a Kasieńka, jako żywo, nie dziecko, tylko panna... Tylko matka trochę przybladła i włosy jej posrebrzyły się nad czołem.

Czyż dziwno?...

Tak żyć jak ona żyje, wiecznie sama i w trwodze o życie męża...

Zsiadł z konia, żonę przyciska, dzieci tuli, serce mu w piersiach goreje, łzy płyną po licu.

A dwaj carowie Szujscy, zamknięci w zamku jako niewolnicy, przecież niewolnikami nie są.

Żółkiewski rzecze do syna:

»Widzisz!... To obraz szczęścia na ziemi. Wywyższeni mogą być poniżeni. A wszakżesz to ludzie, wszak u nich jest czucie, jest myśl, jest tęsknota. Nie na to ich wiozłem do Ojczyzny, aby znęcać się i gnębić, aby uragać i na pośmiewisko ich stawiać, lecz są tu jako zakładnicy pokoju, a może Bóg ich ukarał za mnogie srogości i bezbrzeżną pychę...

Wbiega Kasieńka do komnaty ojca, jak zwykle tu wchodzi, bo ledwie chwila wolna, aby ojciec z dziećmi pogawędził. Zaraz potem przychoǳą liczni posłańcy ze stron bliższych i ǳalszych, potem wielcy panowie i ǳojownicy zjawiają się na

narażdy, potem listy to od Turków, to od Węgrów, to od króla, to od wojewodów, ach! wieczna robota...

»Ojczulku!« prosi dziewczę, tuląc się tklawie, »ten młyn co tam za rzeką, pod górą, gdzie jawory i olechy, daruj mi...«

»Po coż ci młyna?...«

»Jest tu taki Andrzejko, młynarczyk, sierota, jabym mu ten młyn dała.«

»A za co?... Dlaczego?...«

»On mądry i dobry, a naszej niani życie wyratował. Już ją Tatarzy chwyłali, już ją prawie w rękach mieli, on rzucił się, odbił, choć i oko stracił w tej walce...«

»Dobrze, Kasieńka, Andrzejkowi młyn zapiszę i rolę tę daruję, byle tylko potem biednym dawał odsypy z maki...«

»A Andrzejek by chciał iść nawet na wojnę«, mówi Jan, »tylko, że mu idzie o młyn, bo jakby poszedł, to odbiorą więc zapisz mu, Ojcie, dokumentem, to będzie inaczej... pójdziemy razem.«

»Radbym cię widział przy sobie, ale kto wie, czy się nacieszę widokiem twojej służby dla Ojczyzny?...«

»Czemu tatusiu tak mówisz?...«

»Jam już stary... już bym spocząć powinien. 44 obozów już wysłużyłem. Wiesz ty, synu, co to znaczy przetrwać 44 obozów?...«

Kasieńka tuli do ręki ojca swe usta drobne, Jan wpatrzył się w czoło ojca, poorane bliznami, a Żółkiewski mówi, jakby sam do siebie:

»Kto wie, czyli ci ludzie, którzy kiedyś po wielu latach żyć będą w tej Ojczyźnie, bez walk już i obozów, bez krwi rozlewu i trwania na straży praw narodu, czy ci ludzie wspominać będą nasze imiona?... My dziś tak pracujemy, jak owi robotnicy, którzy kopią rowy pod wysokie mury, jak ci, którzy znoszą głazy na fundamenta. Ci, co przyjdą, będą wiedzieli, że fundamenta są, ale nie oceniają i nie zmierzają tej pracy, która fundamenta zbudowała. Rąbać i siekać, bić i bić, to nie słodkie

życia chwile, ale, jeżeli Bóg naród nasz postawił na straży, coż robić?... odpieramy pohaństwo piersiami naszemi, osłaniamy Europę od niewoli i jasyru, ale czy też kiedyś o nas chociaż wspomną?...« »List od króla!« zawołał rycerz, wprowadzając posłańca.

Król wzywa Żółkiewskiego na sejm do Warszawy...

V.

Żółkiewski w Warszawie.

A w Warszawie dnia 29. października roku 1611. jakby w największe święto radości i wesela...

Na krakowskiem przedmieściu pełno narodu, iż przejść nie można. Gwar, krzyk, śmiechy, rozmowy na około. W oknach, w kamienicach głów pełno jak makówek, nawet na dachach kamienic ludziska się cisną, wyciągając szyje, aby tylko dojrzeć, co się na ulicy dzieje.

Coż to w Warszawie takiego?

Czy nowy król wjeżdża do miasta? Czy jakowis nieznani królowie w odwiedzinę przyjeżdżają? Czy orszak weselny do kościoła pojedzie?

Musi być coś wesołego, gdyż każda twarz uśmiechnięta, a oczy płoną prawdziwą radością.

»Jadą! jadą!« poczynają wołać ci, którzy najdalej widzą.

»Jadą! jadą!« powtarzają drudzy, a tak robi się gwar, szmer i hałas wielki.

Oto jedzie na przodzie na dzielnym koniu sędziwy i dzielny Hetman Żółkiewski. Strój ma wspaniały, głowę trzyma wysoko, prawą ręką podparł się w bok, oczyma wita tłum zgromadzony.

Za Hetmanem, w karecie, siedzi car Szujski i jego brat. Kareta zaprzężona w 6 koni a car ubrany w szatę złocistą, wspaniałą i piękną.

Car spogląda chmurnie na Warszawę i lud zgromadzony w około.

Luźd patrzy na tych niewolników, jak na zjawisko do-
tychczas nie widziane, a gdy Żółkiewski zbliżył się więcej,
ozwały się radosne i przeciągłe okrzyki:

»Niech żyje Hetman Żółkiewski!«

«Wiwat Żółkiewski!«

»Wiwat zwycięzcy z pod Kłuszyna!«

O! Warszawo!... Gdybyś ty była wówczas mogła przeczuć,
co ciebie czeka, nie byłabyś tak radośnie i spokojnie witała
carów jako niewolników...

O! Warszawo!... Gdybyś ty wiedziała, jak kiedyś później
carów stopa będzie cię gnębić i deptać, jak carów potęga
w pęta niewoli cię ściśnie i dzieci, i syny twoje w lodowe
Sybiru gnać będzie strony, a rzezią jednego z twych przed-
mieść dzieło wiekowego mordu i ucisku rozpocznie, jak ci
pięś uciśnie kamieniem, abyś westchnąć nawet nie mogła, nie
byłabyś zezwoliła na to, iżby potęga Polski zachwiać się mogła...
Ale, szczęście narodu jak szczęście człowieka, bywa krótkie,
jeśli Bóg mu nie błogosławi...

Tryumf Warszawy, przez której ulicy wiozą carów w nie-
wolę zabranych, zgaś, bo później zgaś duch narodu mężny
i wielki, a takich serc, jak Żółkiewskiego nie było!...

Pochód Żółkiewskiego zbliżył się do zamku. Carowie
weszli nie śmiejąc spojrzeć śmiało.

Król Zygmunt III. usiadł na tronie i spogląda na wcho-
dzącego hetmana, za którym idzie car Dymitr i jego brat Iwan.

Żółkiewski przemawia:

»Miłościwy królu nasz! Oto stawam przed tobą w chwili
bardzo ważnej. Bóg mi dopomógł, że w rozprawie z nieprzyja-
ciółami zwycięstwo na naszą przechyliło się stronę, a oto
wielcy carowie są w naszej mocy. Szlachetna rzecz stawać
w obec wroga z odwagą i męstwem, wtedy, gdy on jest wolny
i silny, ale, jeśli mamy przed sobą niewolnika, wtedy już litość
mu się należy. Miłościwy królu! Dość ukorzenia i poniżenia
zaznali ci, którzy teraz przed twoim stoją majestatem, przysię-

gają pokój, pokorę, czyż nie wynagradza to przewiny?... Zaznali co niewola, teraz niech wracają wolni!...»

Na te słowa car ze swoim bratem, czołem o ziemię po trzykroć uderzyli, chyląc się do stóp tronu polskiego, jako najpokorniejsi służalcy...

Car Iwan w głos się rozpłakał...

Królowa patrząc na to ze wzruszeniem, łzy ocierała skrycie, bo jako kobieta tkliwą była na widok płaczu, choćby u wroga.

Zygmunt bladej patrzył na chylących się przed jego tronem carów... a w sali była taka cisza wielka i głucha, iż zdawało się, wszystkich serca ustały w biciu.

Żółkiewski kończy swoje przemówienie temi słowy:

»Miłościwy królu! Oto na carach już obraz szczęścia zmiennego: niedawno silni, potężni, rozkazywali ludziom i sąsiednim państwom, dziś stoją w pokorze i poniżeniu. Szlachetna rzecz jest upokorzonego wroga politować. Miłościwy królu! Jam ci przywiódł niewolników, ty, uczyn ich wolnymi!«

Zygmunt wzruszony podaje swoją dłoń carom do ucałowania. Zdawało się rzeknie:

»Idźcie!«

Lecz nie.

Podziękował Żółkiewskiemu, za jego bohaterskie czyny, pełne poświęcenia, oddał mu hołd należny.

Potem podkanclerzy króla Jegomości sławił czyny Żółkiewskiego, a powtarzał po kilka kroć:

»Dziękuję ci starzy, dziękuje naród, dziękuje kraj cały za tę służbę wytrwałą i mężną... Gdzie twój dom, twoja rodzina, twój spokój cichy i wytchnienia?... Wszystkoś to zostawił! wszystkoś to poświęcił, aby w służbie dla Ojczyzny wytrwać do końca...

Żółkiewski kornie pochyla swoje czoło, a im więcej mówi o jego chwale i sławie, tem czuje się niższym i niegodnym uznania...

»Królu!« przemawia jeszcze raz, »zrobiłem, co pragnąłem, bo chciałem ukorzyć nieprzyjaciół Ojczyzny, ale teraz proszę, bądź litościw jeńcom.«

Car Dymitr prawą rękę kładzie na ziemi, pochyla czoło na znak poniżenia, potem w pokorze całuje rękę króla.

Za nim to samo czyni brat jego.

W tem przemawia wojewoda Mniszech.

Cała jego mowa woła o srogie więzienie dla carów, bo winni, bo krzywd wiele zdziałali, bo karać ich należy.

I król prośby Żółkiewskiego nie wysłuchał, a carów skazał na dożywotnie więzienie.

Gdy ich z sali wyprowadzano, spojrzeli na Żółkiewskiego, jakby z żalem, iż już nie będą u niego w zamku...

A Żółkiewski wrócił do domu, ażeby spocząć nareszcie.

VI.

Krótkie wytchnienie. — W Olesku. — Nowa
wyprawa. — Smutne przeczucie. — Kometa. —
Przepowiednie.

W Olesku u państwa Daniłowiczów pociecha wielka. Syn Stanisław chowa się zdrowo, a Teofila dziś chrztem św. do Kościoła przyjęta.

Gości w zamku nie mało. Hetman Żółkiewski opowiada ciekawe wypadki wojenne, albo znów z obecną szlachtą radzi o Tatarach i Turkach.

»Skinder-Basza zbiera się tu, nawet wiadomo o tem królowi,« powiada Żółkiewski, »ale naszego wojska teraz nie starczy na ich potęgę.«

»Gracyan z Siedmiogrodu, chce rękę podać,« mówi Zamoycki.

»Nie bardzo ufam w tę pomoc,« odrzeknie Żółkiewski.

»Źle jest, bo się sąsiedzi prawie w około ustawili na to, aby nas zjeść, a tu brak zgody.«

»Co prawda, to prawda, jedności niema.«

»Przewiduję ja gorsze klęski, jak bywały, ale daj Boże, aby się moje przeczucia nie spełniły,« a zwracając się do zięcia pyta:

»I kogóż poszlesz do Subatowa?... Trzeba człowieka zaufanego, statecznego.«

»Chmielnicki pojedzie. Wierny to raczej przyjaciel, niż sługa. Już i ja i Zosieńka na niego możemy się z ufnością spuścić.«

» A to dobrze!... Tak nieraz za miłosierny uczynek Bóg wynagradza. Przytuliła Zosia nędzarza, a teraz ma wiernego sługę i przyjaciela.«

W tej chwili, na ręku matki kotysana, mała Teofila rozplakała się rzewnie.

Spojrzał na nią Żółkiewski, a uśmiechnawszy się powiada:

»Czekaj! czekaj!... będziesz ty kiedyś płakała, gdy ci będą wołali męża na wojnę tak raz po raz, jak to mojej małżonce czynią... Doprawdy, wiercie mi, Waszmościowie, gościem byłem w domu przez całą młodość, gościem jestem i teraz, gdy już przecie 60 lat minęło i... tak dziwię się cierpliwości mej najmilszej Reginy, która pół wdową, pół panną będąc, nie woła raz przecie :

»Dokądże będę sama?«

Piękna Zosieńka na to do męża:

»A czy mój pan Wojewoda lepszy?... Staś nasz lepiej tuli się do Chmielnickiego, jak do ojca.«

»Bo też Chmielnicki umie go bawić lepiej niż ja.«

W tem wchodzi Kasieńka.

Już to panna piękna, a jakowaś powaga w jej oczach nie zwykła.

»Ojczulku!... z listem od króla.«

Podniósł się Hetman, aby wyjść do drugiej komnaty, lecz Daniłowicz gońca przyjmuje, list ojcu podaje.

»Wielmożny! Uprzejmie Nam miły!

Tak pilne o sprawach Rzeczypospolitej i bezpieczeństwie uprzejmości Waszej zawiadowanie, jako przeciwko nieprzyjacielowi koronnemu odwaga i czułość nie tylko Nam jest wdzięczna, ale też i uprzejmości Waszej sławę nieśmiertelną pomnaża. Czyniż to, co dobry stróż Rzeczypospolitej czynić ma, że, gdy niebezpieczeństwa następują, siebie i zdrowia swego nie szanując, stawasz na placu przeciwko nieprzyjacielowi i drugich przykładem swem pobudzasz do takowej czułości. Ale gdy mamy coraz żałośniejsze wieści o zbliżających się wrogach,



pilnie żądamy, aby Waszmość wziął się na ratunek i radę czynił. Wiemy że Waszmość spoczynku potrzebujesz, wiemy, iż zdrowie Twoje już nadwątlone, ale jakowoż nikt tak ku obronie wojska nie poruszy, jako Wy Nam miły! A że na Kamieńcu siła Nam zależy, jest to zdanie Nasze, abyś Waszmość sto koni rotę kozackiej do starosty kamienieckiego posłał, także i piechotę, co może być, zamek ten ratował i z każdej inszej miary straż o bezpieczeństwo Ojczyzny wziął przed się. Trzeba będzie powołać wojsko w te strony, aby grożącego wroga powstrzymać...«

Nie skończył listu Żółkiewski, gdy weszła pani Regina, blaða i trwożna.

»Znów cię wołają?« pyta wpół ze łzami.

»Hej! hej!... taka buława hetmańska ciężka jest do udźwignania, a jeśli dawa szczęście Ojczyźnie, to temu, który ją nosi, nie da go wcale.

»I już po spoczynku?«

»Oj! Matko!« rzeknie Żółkiewski, »kiedy Polacy poczną o spoczynku myśleć, wtedy źle będzie w Polsce... Jak kogo Bóg postawi na straż, to i stać musi.«

Kasieńka słucha ojca, ale słucha i cichych słów, które oto przy oknie komnaty szepce jej pan Podstoli koronny, urodziwy rycerz, Koniecpolski. On z ojcem ruszy, gdy trzeba będzie ciągnąć pod Kamieniec, ale on chce mieć od niej słowo życzliwe na zażatek szczęścia i miłości...

Kasieńka wpatrzyła się w piękne oczy rycerza i rzecze:

»Jużci!... niczyja nie będę, jeno Wasza.«

* * *

Przed wyjazdem na wojnę wesele Kasieńki odbyło się w Żółkwi... a był to zdaje się ostatni dzień szczęścia w życiu Hetmana i całej jego rodziny...

Bo Bóg dał im wiele sławy, zaszczytu i cnót ale szczęścia

nie zsyłał boćaj słabymi promykami, bo już tak było przeznaczone, aby została w pamięci o nich — smutna pamięć ich cierpień i łez...

Po weselu, po odjeździe Hetmana, w zamku Żółkiewskim była już tylko sama pani Regina. Syn dla nauki wyjechał z domu.

A miesiące mijały za miesiącami.

* * *

Nadszedł rok 1620.

Jakżesz dużo rzeczy zmieniło się!...

Już tu czas zapisał wiele smutków na sercach ludzkich, i wiele trosk poorало czoła ludzi zacnych...

Pan Hetman Żółkiewski ma lat już 73!

Zmęczony jest i zbolały, bo życia nie przeżył na wygodach, ale ciężko przeorał po wielkiej Ojczyźnie... Lecz i teraz spocząć nie może.

Listy pisze, wojsko zbiera, rozkazy wydaje, ogląda broń...

Stoi w spaniałej komnacie rycerskiej, gdzie pełno broni, mieczów i kopii, pałaszów i dził, a trzymając w ręku miecz swój stary, mówi do syna:

»Pierwszy raz ty ze mną już pójdiesz na wojnę, niechże ci ten miecz dam w rękę, niechże ci on doda siły i męstwa, boć i to rzec ci muszę, trzeba nam każdemu za dziesięciu stanąć, trzeba nam każdemu za dziesięciu mieć męstwa i odwagi, gdyż tylko męstwem nasze zwycięstwa płyną. Ile razy Polska stawała do boju z wrogiem, zawsze wojsko jego było liczniejsze od naszych zastępów, ale zwyciężaliśmy odwagą...«

»Mój ojczel!« pyta Jan »a czy teraz istotnie tak bardzo wielka siła, wali się, jak mówi Koniecpolski?«

»Z bólem rzec trzeba tak!... Ja wiem i rozumiem doskonale, iż, jeśli Rzeczpospolita nie da wojska powołanego ze wszystkich ziem kraju, to nieszczęście wypełni się.«

»Biedna mama!... Modli się a trwoży bez końca, nie wiem, czy jej starczy sił, aby nas pożegnała jeszcze teraz.«

»Całe życie tylko o to modliła się, bym ja zwycięzko z boju wychodził, teraz o nas dwóch będzie się trwożyła, a Zosieńka nie tak?«

»To też ona mówiła wczoraj: Ciężko tym sercom, które w domu zostają, gdy w około wre walka.«

Otwarły się drzwi, wchodzi młode śliczne chłopię o jasnych włosach, z zapalem w ręku, prowadząc za sobą Andrzejkę, bosego, w długiej płótniance.

»Dziaćuniu!« woła żywo »Andrzejko pójdzie z nami; już to musisz zrobić, abyś go wziął.«

Andrzejko chylił się do kolan Hetmana, obejmuje je rękoma i prosi kornie:

»Dziesięć lat czekam, aby mnie Jaśnie Wielmożny Pan Hetman zabrał na służbę, ale teraz nie odstąpię... niechże mi Jaśnie Pan Hetman nie broni tego.«

»A żona?«

»Dziaćuniu!« przerywa Staś Daniłowicz, »Andrzejkowa żona jest z moją mamą i Teofilką w ogrodzie, ona wie, że on na wojnę pójdzie, ale nie płacze.«

»Juści,« mówi Andrzejko młynarz, »jak jej wytłumaczyła pani Wojewodzina, że niby kto nie broni Ojczyzny, tam daleko, to nie obroni się przed wrogami i tu we własnej chacie; jak my Turków i Tatarów nie zawrócimy z drogi tam daleko, to przyjdą tu, a wtedy zabiorą i mnie i ją i matkę i dziadków, a coż lepsze?...«

Na to Żółkiewski:

»Choćby cały wschód ciągnął na upadek nasz, gdy będziemy mieć broń w ręku, nie upadniemy, ale, potrzeba tych broni więcej i więcej. Zbieraj się i ty, młynarzu, z nami, kiedy masz serce gorące dla tej sprawy, a żona niech zostanie w zamku z moją żoną i córką.«

Andrzejek uradowany pokłonił się pięknie i już chce iść, lecz go Jan zatrzymał, dając broń do ręki.

»Pokażże, jak umiesz obracać szablą, wszakże uczyliśmy się razem.«

Mały Daniłowicz, wnuk Żółkiewskiego, wyciągnął też swój pałasz, i młynicem wykręcił, aż powietrze zagrało, a Żółkiewski tulił każdego po kolei do serca i łzę rozrzewnienia otarł nieznacznie.

* *

Był to początek sierpnia.

Noce były ciche, pogodne, pełne blasków księżycowych promieni, pełne spokoju i ciszy, jak gdyby nigdy nie zbierała się burza sroga, ani żaden grom nieszczęścia nie groził ludzkiemu szczęciu.

Na szanłcach Żółkwi przechadzają się rycerze. Ten i ów gawędzi o wieściach ze strony Multan, ten i ów z tęsknotą śle myśl ku temu domowi, w którym zostawił żonę, dzieci lub kochankę drogą... Ten i ów wzrok natęża, jakby chciał jeszcze obaczyć bodaj szczyt drzew z nad jego dworku lub krzyż ów przydrożny, przy którym żegnał rodzinę.

Nie tak to lekko wyruszyć na wielką i daleką wyprawę. Choćby najdzielniejsze serce i miłość kraju najgorętsza, przecież żal rzucać i tych ukochanych, nie wiedząc czyli się do nich wróci.

Pani Daniłowiczowa, tuląc Teofilkę do siebie rozmawia z matką:

»Przypominam sobie,« powiada rzewnie, »jak to dawniej zazdrościliśmy dzieciom wiejskim, iż mają swoich ojców przy sobie, a dziś taksamo możnaby żonom ubogich chłopów zazdrościć. Wyjdzie z nich która za męża, to wie, iż już razem z nim pracować będzie, ale zawsze będą razem, a my...«

»Dokąd dawaliśmy mężów, to jeszcze zdaje się nie tak było bolesne, ale, gdy teraz wyprawiamy i mężów i synów, jakże wiele trzeba siły, aby nie zalać się łzami.«

A mała Teofilka, słysząc te słowa powiada:

»Chciałabym wyprowadzić kiedyś takiego rycerza, aby już na zawsze Turków i Tatarów odgonił...«

W tej chwili dziwny blask zaświecił w oknach.

»Kometą!« zawołała pani Daniłowiczowa.

»Kometą!« powtórzyła pani Żółkiewska, a po chwili szepnęła jakby do siebie:

»Czy też Bóg na słowa tego dziecka daje owe błyski komety, jako przepowiednię wielką?«

Ucałowała czoło dziewczątka i wpatrzyła się w światło ognistej gwiazdy.

Na szanłacach zbiegły się tłumy, patrząc na to. Wyszedł i Żółkiewski, a zwracając się do rycerzy rzecze:

»Na moją to głowę!...« *)

Tu i tam poczęły kobiety zawodzić i płakać, iż to pewno Tatarzy przyjdą, skoro taki znak na niebie, tu i tam nie jedno ciężkie westchnienie uleciało z piersi, aż ku tym krańcom Ojczyzny, na których często wojny krwawe toczyły się, a wrogów chmura roiła się ciągle.

Jakiś orszak jeźdźców wysunął się z pod lasu. Czekano niecierpliwie, aby się dowiedzieć, z kąd to znów pomoc przychodzi, gdy wjechał na dziedziniec zamkowy kozak, ubrany dostatnio, wiodąc ze sobą sotnię kozaków z pod Czehryna.

»Toż to Chmielnicki!« zawołał Jan, poznawszy kozaka, »witajcie!«

Chmielnicki skłonił się pięknie, oddał Hetmanowi sotnię kozaków mówiąc:

»Bóg mi poszczęścił, z nędzarza doszedłem i do fortuny i do godności, toż moja powinność odwdziżyć się i stanąć dziś do służby.«

»Pocziwe serce«, rzekł z rozrzewniem Hetman siwołosy, »mało to trafia się ludzi o wdzięcznym sercu«.

*) Autentyczne — (Szujski)

A pani Daniłowiczowa, witając swego starego sługę powiada:

»Teraz z moim Stasiem pójdziesz, z tym Stasiem, coś go kołysał i uczył chodzić...«

»Wyście mię kęsem chleba obdarzyli, gdyś był głodny, a ja czyżbym teraz nie dał Polsce pomocy?...«

Oj! Chmielnicki, kozacze! Gdybyś ty wiedział, czem kiedyś twoje imię będzie dla Polski, dla tej samej Polski, której ty teraz spieszysz z pomocą?...

Noc cicha, jasna, pogodna, a komety łuna jeszcze się pali.

Na szaniecach i Wałach Żółkwi błyszczą stal broni, słysząc rozmowy rycerstwa, czasem jakaś dumka tęskna ozwie się z dalei, a wreszcie coraz ciszej i ciszej.

Tylko w komnatach znać nie śpią i radzą i czuwają, bo całą noc światło widać w oknach...

VII.

Straszna klęska pod Cecorą. — Śmierć okrutna Żółkiewskiego. — Żałoba i smutek. — Pogrzeb Żółkiewskiego w Żółkwi.

Nazajutrz wyruszyli...

Wyciągnął się długi łańcuch rycerzy jadących zwolna, lśniących zbroją, pięknych postawą, dzielnych duchem. Jechał siwy Hetman na swoim ulubionym koniu, przy nim syn jedynek na wspianym siwoszu, jechali dwaj zięciowie Hetmana, Daniłowicz i Koniecpolski. Tylko gdy Daniłowicz jeszcze obracał się, aby obaczyć kochaną żonę, Koniecpolski nie miał kogo żegnać, gdyż Kasieńka po roku pożycia z nim zmarła. Jechał wnuk Stanisław, bratanek Łukasz Żółkiewski, jechał Zamojski, Rogowski, Kalinowski, Denhoff, Tyszkiewicz i wielu, wielu innych, za którymi szło około 8000 ludzi.

Znowu zabrzmiała pieśń rycerska »Boga Rodzica Dzie-wico!« zaszumiały proporce rozwite, skrzydła husarskie migały w promieniach słońca, konie parskwały, tu lub tam jeszcze do-leciał głos: »Z Bogiem!«, »Szcześć Boże!«, »Wracajcie szcze-śliwie!« aż wreszcie oni byli coraz dalej i dalej, a w Żółkwi stawało się coraz ciszej i ciszej...

U progów kościelnych Żółkiewska z córką i wnuczką modliły się gorąco, a przy nich przytulona do muru zalewała się łzami żona młynarczyka, Andrzejowa.

Gdy wyszły z kościoła, mówi pani Żółkiewska do niej:

»Tak ci ciężko, nie możesz zrozumieć, co to znaczy dać

męża na obronę kraju?... A gdy tu Tatarzy napadają i rycerstwo nasze wpadnie ku obronie, witacie go radzi i cieszycie się, iż wrogów odganiają... To chcecie mieć obrońców, ale tylko przy swoich chatach i wsiach, a już o tamtych chatach i wsiach, gdzie wróg także wpada nie pamiętacie? Przypdźcie kiedyś czas, kiedy nie tylko my z dworów i zamków wyprawiać na obronę Ojczyzny będziemy, ale i wy zrozumiecie co to znaczy Ojczyzna daleka. A teraz nie płacz. Widzisz, myśmy dały mężów i synów, a chociaż ból kraje serce, nie płaczemy...

»A jak on nie wróci?« z jękiem pyta kobiecina.

»Moje dziecko! Ilu żegnamy, to wiemy, ale nie wiemy ilu powitamy. Nie my jedne... Wiździałaś, ile ich jechało. Przecież za każdym ktoś płakał i za każdym jakieś serce bólem się raniło... A tych wojen, ileż już było? Cóż począć? Bóg tak dał, iż sąsiedzi na naszą Ojczyznę cychają, jak jastrzębie i kruki na białą gołębicę. Cała ziemia nasza krwią zlaną, kośćmi zasiana. Wśród narodów chrześcijańskich ona Męczennicą!«

Weszły do głuchych i pustych komnat. Wszystko nieme i milczące, wszędzie smutno i żałośnie, a myśl leci i płynie za nimi, za tamtymi, którzy kędyś wiją się drogą między polami i nucą pobożne pieśni, a nad nimi i wiatr szumi, słońce świeci, ptaki przelatują i leci śmierć wielka, czarna, okropna!

A nie w jednym to zamku i nie w jednym dworze teraz pusto i głucho, bo na wyprawę przeciw Turkom i Tatarom ruszyło wiele szlachty, lecz wszystko to wobec zbliżającej się nawały było niczem...

Król rozesał wezwanie, Żółkiewski błagał i prosił o większe posiłki, ale niestety — nie dostał pomocy.

*

*

*

Przeleciał nie jeden ptak od strony Mołdawii i Multan, ale nie przyniósł wieści, co się dzieje z naszymi wojskami. Zaszumił nie jeden raz wiatr od strony Dniestru i południa, ale nie przyniósł echa jakiej wieści o tem, co nasi porabiają.

Szło nie jeden raz słonko wysoko po niebie, ale nie powiedziało, co widzi tam daleko, gdzie nasi poszli, a nie wie-
dzieć czy wróćą...

Trwoga przejmując serce pani Żółkiewskiej. —

»Czy wróci?« pyta się sto i dwieście razy, a ma o kogo pytać.

Czy wróci mąż, syn, zięć, wnuk, bratanek, i tyłu, tyłu jej drogich?

Pyta też czy wróci i ów Andrzejek biedny, któremu serce do Ojczyzny zwróciły jej dzieci, a teraz tak biedna żona łzami się zalewa i ginie z tęsknoty.

Przeszły żniwa, wrzesień ma się ku końcowi, aż ledwie o tej porze wieść przychodzi.

Przyjechał poślaniec z listem, ale sroga to była wiadomość.

Pan Hetman pisał, błagał, prosił o pomoc, gdyż wrogów taka siła i moc, jakiej nie było jeszcze.

»Pomocy!... ludzie! pomocy!...« woła pani Żółkiewska, odczytawszy tę wieść, »ale zkąd? gdzie? kto?...«

Król wojska nie posyła; z tej strony od Krakowa, Warszawy nikt nie idzie na pomoc. Opuścili go wszyscy, co robić?...

Otwiera szafy, kufry, zdejmując drogie rzeczy, lichtarze, misy srebrne i złote.

Posyła z tem do brata swego, aby kazał to sprzedać, lub na pieniądze przetopić, a zbierał za to wojsko co najrychlej i spieszył na pomoc.

Zamojski zebrał około 200 ludzi, ruszył; już był w drodze koło Lwowa, gdy w tem na drodze spostrzega gromady włościan, uciekających w przestraszu...

»Tatarzy!« wołają jedni.

»Do jasyru biorą!« krzyczą drudzy.

»Uciekajcie! Dla Boga, uciekajcie!«

»Tatarzy! Tatarzy!...« jęczą kobiety, rwąc włosy^z ze strachu, patrząc w pół dzikiemi oczyma...

Zamojski ręce załamał.

»Zdaje się, już zapóźno nasza pomoc«, rzekł do towarzysza, »niewstrzymana fala leci jak rozhukane morze«.

A w Żółkwi biją dzwony straszną pieśnią trwogi i przerażenia, lud w trwodze i rozpaczcy ciśnie się do zamku, w którym kobiety z płaczem wznoszą ręce ku niebu.

Mała Teofilka spogląda dziwnie na to wszystko. Cała groza, rozpacz i nieszczęście tego położenia narodu wobec wrogów szalejących, jak gromy i pioruny, budzi jej w duchu wielkie myśli.

»Zemścić się za to! Zemścić się ktoś musi!« szepce sama do siebie, nie przeczuwając, iż Bóg jej da wielką łaskę wychowania Ojczyźnie takiego bohatera, który się pomści za wiele krzywd i cierpień narodu!

Zofia Daniłowiczowa, widząc zbliżających się już doliną Tatarów, tuli Teofilę do siebie, a w tem pada zemdlona na ziemię.

Pani Żółkiewska blała jak cień, pociesza strapionych, lecz i jej serce zamiera chwilami i jej twarz niejedną raz powleka się śmiertelną błądzącością. Czarnych kraków stada przełatają nad polami, a krzyk ich zwiastuje śmierć w około.

Niebo powlokło się chmurami, a tam kędyś z oddali już się wije ciemno-ponura wstęga dymu, którą wiatr igra i raz ją aż po ziemi ściele, drugi raz szarpie w kłęby i rozrzuca w około.

»Pała!« mówi Żółkiewska, patrząc przez okno.

»Jacyś jeźdźcy spieszą drogą,« dodaje Daniłowiczowa, a Andrzejkowa wpada z krzykiem przeraźliwym:

»Ze szaniców wołają: Tatarzy!«

Jęk bolesny ozwał się z piersi pani Żółkiewskiej, a po chwili rzekła:

»Chodźmy do kościoła! Niech biją w dzwony, niech się wszyscy gromadzą! Bóg naszą nadzieją!

W tydzień potem przywłókł się pod bramy Żółkwi człek nędzny, zbołały, ciężko zraniony, raczej widmo człowieka. Zastu-

kał do bramy, a gdy mu otworzono, on parę kroków przeszedł dalej i padł bez czucia na ziemię.

Zbiegła się straż. Cucono go wodą, nacierano skronie i pulsa, a dopiero po długim czasie ktoś zawołał:

»Wszakżesz to Andrzejkoch!«

»Co mówisz?« powiada inny. »Co mówisz?« Wszak ci jak jechał na wojnę miał odzienie, konia, broń, silny był i zdrow.»

A jeden ze starych żołnierzy na to:

»Andrzejkoch!...« Oko jedno ma wybite, nie pamiętacież, że mu Tatarzy strzają oko wybili?

Może on ma jakie listy, może on co powie o Hetmanie?»

Jak grom wpadł do zamku jeden ze straży wołając:

»Andrzejkoch jest! Andrzejkoch wrócił!«

Pani Hetmanowa z córką i wnuczką spieszą co siłą, a Andrzejkoch, zawoźząc leci z rozwianemi na wiatr włosami, wołając:

»Wrócił! wrócił!...«

O! Wrócił, ale jakież to straszny powrót!

Wrócił, ale go niosą bez ducha prawie, na rękach, głowa zwisa nisko, a jest to głowa nędzarza raczej, nie żołnierza. Ledwie w godzinę otworzył oko.

Obmyto mu twarz z krwi oschłej, przeodziano go w czyste odzienie, napojono winem, a wszyscy stoją w około niego, czekając czyli nie pocznie co mówić.

Andrzejkoch powtarza raz po raz:

»Nic już po nim! Nic już po nim!«

»Uspokój się, kobieto,« pociesza pani Żółkiewska, »dziękuj Bogu, że chociaż wrócił, a popatrz... my o naszych nawet nic nie wiemy, czyli żyją...«

»Nic po nim! Zabiedził się! Zabiedził się!«

»A wieluż to naszych wcale nie wróciło?«

Andrzejkoch podnosi się, dźwiga głowę, spojrzął na panią Hetmanową, a w chwili tej ryknął strasznym płaczem i jękiem:

»Boże! Boże! Boże!«

Rzucił się twarzą do posłania, a łkał jak małe dziecko. Wszystkim łyzy się kręciły pod powieką na widok tej boleści.

Długo to trwało, aż gdy wreszcie biedny młynarz uspokoił się nieco, znów się podniósł, ręce złożył jak do modlitwy i mówi:

»Nie ma nikogo!... Niema...«

»Co ty mówisz, Andrzejk?« pyta pani Żółkiewska, kładąc mu rękę na głowie, na której włosy krwią skrzepłą pozlepiane w plastry i węzły:

»Nie ma nikogo!« jęknął Andrzejk, chwytając rękę pani Hetmanowej i do ust ją cisnąc, a znów łyzy gorzkie z ócz mu się puściły. »Niema nikogo... ani Hetmana ani panicza!«

»Boże Wszechmocny!« woła pani Żółkiewska.

»Matko Najświętsza!« szepcze Daniłowiczowa, zanosząc się od płaczu, a Andzejkowa ciśnie się do męża, patrzy mu w oko i pyta:

»Co ty mówisz? Co?...«

Andzejko bladej jak trup, wyraz twarzy ma tak pełen boleści, iż zdaje się serce całe u niego zranione strasznie. Schylił się do nóg Hetmanowej, jak robak wiję się po ziemi a mówi:

»Zabili!... Hetmana zabili, nasze słońce zabili, nasze serce zabili! Niema go! Niema...«

Żółkiewska wzniosła ręce, oczy utkwiała w obraz Chrystusa na ścianie, a potem zrobiwszy krok naprzód, ukłękła łzami zalana.

Modliła się długo...

Cichy szepł jej pacierza mieszał się z łkaniem płaczu, a w izbie wszyscy ukłękli i była taka cisza, taki ból wielki, taki żal głęboki, iż zdawało się, chyba nic boleśniejszego być nie może.

Andzejko omdlał.

Dopiero w dwa dni potem mógł dalej mówić o tych wieściach, jakie przyniósł.

Ileż żałoby i smutku!

Stary Hetman legł zabity! Głowę jego ponieśli Skinder-Baszy. Panicz ciężko ranny poszedł do niewoli! Panicz Andrzejka jeszcze wyratował od niewoli, kazał mu iść, a zanieść smutne nowiny. Pana wojewody Daniłowicza nigdzie nie widziano. Paniczyka Stasia, zdaje się wzięli w jasyr, wzięli i innych, a już też naokoło tam tylko krew i trupy, trupy i krew. Było to w nocy 7-go października 1620 roku.

Jakże nie mieli zwyciężyć Turcy i Tatarzy, kiedy ich było 60.000 więcej, a przy Hetmanie już pozostało tylko 300!...

Król nie przysłał pomocy. Wyprawił do boju, ale nie dał pomocy, to też zginęli nasi, a zwycięstwo wrogów sromem okryło kraj cały.

Andrzejko opowiada, jak nasi z głodu padali, jak słabli z umęczenia, 7 dni i 7 nocy nikt nie spoczął ani na chwilę, a wrogów w około coraz więcej, coraz więcej. Biedny, pocziwy młynarz, co chwila łzami się zalewa, na wspomnienie nieszczęścia, a Żółkiewska, jak posąg z marmuru, milcząca słucha i słucha:

»Mąż i syn...« powtarza sobie raz po raz. »O, tam się doczekała, o tam dożyła. Już mi tylko na pogrzeby czekać! Już mi tylko trumny witać!«

Pani Daniłowiczowa, chora leży z płaczu i z bólu o syna i męża, a Teofila, modłąc się o zdrowie matki powtarza często:

»Boże! Daj Polsce człowieka, któryby wrogów na zawsze oddalił!...«

W tydzień po przyjsciu Andrzejka z pod Cecory, zbierała p. Żółkiewska wszystkie srebra i złota, jakie były w domu, aby postać na wykup Jana z niewoli i na wydobyć ciała i głowy nieboszczyka Hetmana.

Wysyłając posłów z okupem, prosiła pani Żółkiewska:

»Ile chć, zapłaćcie, tylko mi przywieście, bo nie pozwolę, aby ciało jego w obczyźnie zostało!...«

Do tych zaś, którzy jechali dowiadywać się o jeńców mówiła:

»Miejcie litość nad nami, nademną i córką mą, które w łzach toniemy i rychło wracajcie, bo im w niewoli każdy dzień rokiem, a każda chwila ciężka jak trumna.

* *

Pojechali...

A tu czekają i czekają...

Wreszcie wiozą, lecz tylko ciało Hetmana. Głowa jest już w Carogrodzie, zawieszona nad bramą w Seraju i żądają za nią osobnej zapłaty, a nie tak łatwo zdaje się wydać.

Lecz o syna Hetmana nie prędko się sprawa ukończy. Jest on w Krymie w niewoli, a na zgłoszenie się powstańców z Żółkwi, zażądano za niego 200.000 talarów.

»Zkąd ja to wezmę? gdzie ja uzbieram tyle pieniędzy?« pyta biedna wdowa, nie znając drogi ratunku.

To wszystko, co miała, zebrane teraz, nawet czwartej nie wynosi części, a skąd reszta? Jeszcze zbiera w komnatach, co się tylko da na grosz zamienić, prosi kornie króla, aby pozwolił przetopić na talary, a o więcej dopomina się u brata, u krewnych, u tych, którym Hetman nie jeden raz dawał i dopomagał.

* *

A ciało Hetmana wiozą z daleka.

Wszędy po miastach i wsiach biją dzwony, żałobną pieśnią. Wszędy wychodzą z chorągwiami naprzeciw i pacierze szepcą za spokój tej duszy, która Ojczyźnie służyła, a Boga kochała, i czystą była i wielką była.

W Żółkwi w kościele na katafalku biedną trumnę ustawiono, czerwonym nakryto suknem, a w około niej rycerzy garstka i ludu tłumy. Nie było wielu rycerzy i wojowników, bo jedni polegli, drudzy w niewoli, a inni uganiają się za hordami Tatarskimi, ale zato mieszczaństwo i lud otoczyło katafalk i płaczem żegna swego Ojca i Opiekuna.

»Żegnaj nam, bohaterze mężny i dzielny«, mówił kapłan do trumny Hetmana. »Służyłeś wiernie i stale, krew przelewałś w obronie Ojczyzny nie jeden raz, aż w końcu i życie dałeś, a teraz spocznij! Czas Ci spocząć po trudach i znojach. Spocznij cicho! A choć ciebie już nie ma, imię twe żyć będzie na wieki!«

Potem piękną przemową żegnał Hetmana wojewódzic Lubelski ze Złoczowa.

Nie jedną łzę z oka przemowa jego wycisnęła, ale gdy zaczął mówić o synie Hetmana, który nawet tej pociechy w nieszczęściu nie ma, aby mógł trumnę ojca ucałować, który gdzieś tam w turmie oczy łzami zalewa i z pogańskiej ziemi myślą tylko się zwraca ku trumnie ojca i ku zbolełej matce, wtedy wszyscy łkali głośno, a biedna wdowa po Hetmanie twarzą do ziemi padła.

Uderzyły dzwony, pieśń żałobna rozbrzmiała, wzięto trumnę z katafalku, i poniesiono do grobu, a za nią szedł płacz wdowy, jęk córki i wnuczki oraz łkanie ludu i mieszczan.

Biedną wdowę, wpół żywą, prowadzono do zamku. A gdy wchodzić miała do komnaty, zastąpił drogę Andrzejko.

»Pozwólcie!« szepnął, chyląc się do nóg, »pozwólcie! ja coś mam powiedzieć.«

»Dajże spokój«, odpychając biedaka, mówi wojewoda, który wdowę prowadzi.

Ale Żółkiewska cichym głosem rzecze:

»To poczwiwina, on mi wieść z pod Cecory przyniósł. Co chcesz biedaku?«

»Ja pójdę do panicza...«

»Czy podobna?«

»Nie do uwierzenia«, powiada Wojewoda.

Ale Andrzejko na to:

»Nie zostawię tam panicza samego. Pójdę, a choćbym i został tam, to pójdę. Ani mi tu życia, ani spania, tylko za paniczem płaczę, za nim się oglądam.

Była noc ciemna, kiedy Andrzejko ruszył w drogę. Wziął ze sobą dwa konie, miał jako tako grosza na drogę, miał i broń przy boku.

Andrzejkowa szła za nim, aż poza las, aż poza te lipy wysokie i jeszcze dalej i jeszcze dalej.

»Wracajże«, mówi młynarz, »wszystko jedno, bliżej, czy dalej, i tak pójdziesz sama, a ja wrócę z paniczem, obaczysz...«

»Choć mię żałość przejmuję, choć mi w oczach z płaczu ciemno, ale ci nie powiem: nie idź! Bo już ci teraz już wiem, jakie to nieszczęścia po zamkach i dworach. I tu żałoba i tam płacz, i tu nie wrócili i tam już nie ma kogo wyglądać, a za coś oni tak biją się i tak cierpią? Za co?... Wszystko wyrozumiałam: oni i za nasze chaty walczą i za nasz spokój giną, to czy my nie mamy iść z pomocą?«

»Żeby też chociaż panicz wrócił, żeby też chociaż pani nasza miała kogo przy sobie, ale już ino jej wszystko na płacz, na smutek i na nieszczęście. Wracaj, Maryś, wracaj, pilnuj pani, już i młyn zostaw, a jak panicz wróci, będzie może lepiej.

Pojechał, aby obaczyć się z Janem Żółkiewskim i powieścić mu, że o okup zbierają się pieniądze. Tak samo zbierano pieniądze na wykupno pana Daniłowicza i Konięcpolskiego. O młodziutkim wnuku Hetmana, Staszku Daniłowiczu, żadnej nie było wieści.

Pani Daniłowiczowa osiwała, jak gołąb, przez tydzień jeden z tej żałości za mężem i synem, a chwilami była tak chora, iż bicie serca ustawało a bladeść śmiertelna ją pokrywała.

Gdybyż jakaś wieść! Gdybyż dowiedzieć się, chociaż czy żyje!... Ale Kurzoński, który teraz się przywłókł do Żółkwi, bez nogi i ręki, o kuli, powiada, iż oglądał ciała poległych pod Cecorą, ale panicza tam nie było.

Opowiada on teraz, jak to było, jak Tatarzy cisnęli w około, a już sił do obrony nie stało, to Hetman kazał i konie i wozy pospinać w około, jakby murem, a posuwał

się dalej ku Dniestrowi. Lecz wpadli, rozbili, odcięli Hetmanowi prawą rękę, odcięli głowę...

* * *

Pani Żółkiewska zdołała zebrać żądanych 200.000 talarów i wysłała po syna.

Wie, że jest ranny i trwoży się o jego życie... A teraz cała myśl jej i czucie zawieszone tylko na tem, aby doczekać powrotu Jana.

* * *

I zamek w Żółkwi pusty, a głuchy, smutny i żałobny, a nad Polską niebo chmurne i groźne... Oj! nie będzie tu już tych czasów, jakie bywały, już tu się chmury wałęsają i suną, a wrogów ćma coraz większa!

Kto też wstanie do boju wielkiego po śmierci Hetmana Żółkiewskiego? Kto też będzie zwyciężać, jak on pod Kłuszynem i Smoleńskiem, jak on w 44 bitwach z Tatarami?

W cichej komnacie przy łożu chorej matki klęczy dziewczę, w żałobne odziane szaty, i modli się o bohatera dla Polski. To Teofila...

* * *

Już śnieg pobielił pola.

Już mróz ściął rzeki i ziemi łono, już pusto i głucho wokoło. I zda się, tak jak ziemię ukołysała zima do snu, tak i bóle serc ukoił czas. Ale tak się tylko zdaje. Ci, którzy czekają i czekają na powrót drogich osób z jasyru, ci nie uspokoją tęsknoty serca, a ci, którzy płaczą na grobach, żalu nie ucziszą rychło...

Po śniegiem zawianej drodze jedzie dwóch jeźdźców, Jeden z nich stary i silny, drugi młodziuteńki a błądy i wąły.

Nie mówią do siebie, tylko popędzają koni, jakby im było bardzo spieszo.

Skręcili do bramy Żółkwi, wjechali w dziedziniec. Nie zwracał nikt na nich uwagi, bo często tu ktoś wjeżdżał, albo prosząc o przytułek w drodze, albo pytając o wieści. Teraz w zimowej porze Tatarów się nie spodziewano, więc bramy były otwierane.

Starszy jeździec zeskoczył z konia, zdjął prawie na rękach młodego towarzysza i wiedzie go w komnaty.

Ze służby nikt nie poznał.

Wchodzą do pierwszej komnaty, stają u progu, aż Teofila woła okrzykiem radosnym:

»Staszek!«

Pani Żółkiewska spojrzała.

»Na Boga: To Ty?...

Rzucił się do siostry i do babki, pytając przecie za chwilę:

»A mama?«

Wprowadzili go do drugiej komnaty, stanął przy łożu matki i ukląkwszy witał ją łzami zalany.

»Chmielnicki mnie wyratował. Którędy on nie chodził, nie prowadził, nie wiódł, aby tylko nie wpaść w ręce wrogów. To strasza historia. Ale gdyby nie on, mamó, nie byłabyś mnie widziała!«

Chmielnicki pochyła się do nóg pani Daniłowiczowej.

»Jam wdzięczny, całe życie wdzięczny. Wyście mnie przegarnęli, wyście moje serce uszlachetnili.«

»Niech ci Bóg nagrodi na twoim synie,« rzecze pani Daniłowiczowa.

Zdaje się do zdrowia wróciła, zdaje się do sił przyjdzie, gdy już Staszka ma, choć on wprawdzie chory i zmizerowany, ale żyje i wolny.

Tak biedny nędzarz odwdzieczył się córce Hetmana za jej litość nad ubogim bez dachu i chleba!

*

*

*

Na wiosnę wrócił Jan Żółkiewski, Daniłowicz, Koniecpolski, wielu innych i Andrzejko, który od panicza nie odstąpił na chwilę.

A więc grobowa cisza i smutek czarny, panujący w zamku Żółkiewskim, poczęły znikać, życie wróciło.

Jan Żółkiewski w rok po Cecorskiej bitwie już bił Tatałów, potem z Kozakami walczył i mało w domu przebywał. A pani Żółkiewska życiem syna siłą nabierała i wyglądem jego z wojen pocieszała swą duszę.

Chmielnicki wrócił na Ukrainę i już o nim wieści nie było. Tylko syn jego Bohdan począł się wsławiać walecznością i mężstwem.

Zdawało się, iż dla Żółkiewskich trochę szczęścia zaświta. Zdawało się, iż ten syn Wielkiego Hetmana pomści się na wrogach za śmierć ojca, a potem wróci, osiedzie w gnieździe rodzinnem, ożeni się i będzie żyć dla dobra kraju i szczęścia Rodaków.

Ale Bóg inaczej rządzi...

W roku 1623 był w Żółkwi dziwny pogrzeb. Grzebano głowę Hetmana, wykupioną od Turków i grzebano zwłoki Jana Żółkiewskiego, który z powodu rany, źle wygojonej zmarł w Warszawie na sejmie.

Za rok umarła pani Żółkiewska.

Tak zgasł dzielny ród Żółkiewskich w Żółkwi. Trzy grobowce w kościele farnym, trzy pomniki z napisami i wielka pamięć o tej rodzinie, godnej czci i miłości po wszystkie czasy...

VIII.

Pięć lat minęło.

Na zamku w Olesku odbyło się wesele Teofilii Daniłowiczówny z Jakóbem Sobieskim, starostą krasnostawskim.

Wesele było wspaniałe, a panna młoda czuła się bardzo szczęśliwą biorąc za męża człowieka znanego z prawości i rycerskiej odwagi.

Nie długo potem pani Daniłowiczowa pieściła dwóch synaczków państwa Sobieskich, Marka i Jana, nie przeczuwając wcale czem imię Jana Sobieskiego zapisze się w historii kraju. A gdy syn jej Stanisław dokazywał cudów waleczności w ciągłych bojach i walkach to ze Szwedami, to z Moskalami, ona małemu Markowi i Jankowi opowiadała o dziadku Żółkiewskim, o wuju Daniłowiczu i powtarzała nie raz:

»Wy, jak dorośnięcie, także tak bić się będziecie, bo i tak Polakowi jużznaczono, iż ma bronić i siebie i Chrześcijaństwo od niewoli pogańskiej.«

Andrzejkowa zaś w swojej chacie słuchała z zajęciem, jak Andrzej synom swoim opowiada:

»Ciągłe wojna i wojna. Bo nasz kraj cudnie piękny, miły, a ich pusty i biedny. Oni chcą nam zabrać Ojczyznę, oni chcą nas zabrać w niewolę, ale my bronić się umiemy i obronimy, teraz bije się z wrogami wielu, oni bronią i was, abyście nie poszli do niewoli, abyście nie całowali stopy wroga, aby wam wiary nie zakazywano. Ale gdy tamci spoczną, wy pójdziecie do walki? Dochowają się chłopaczkowie pani Sobieskiej, dochowacie się wy, moi biedacy, a wtedy dalejże na Turków, bo im Polska musi drogę zamknąć.«

A gdy starszy jego Jasiek pyta:

»To wojna nazywa się służbą?«

Andrzejko tłumaczy:

»Oj! nieboże!... służba to ciężka i twarda służba, ale strasznie piękna, bo i na grobie pana Hetmana napisana wszystkim do czytania:

»Jak słodko i chlubnie umierać za Ojczyznę, ucz się odemnie.«

Jasiek zadumał się, coś roił i myślał, a matka do ojca szepnęła:

»Może ta i pójdzie z Jaśkiem Sobieskim, któż to wie?«

»Coraz gorsze czasy się zbierają, to i coraz więcej będzie wojen, a nie przyjdzie do szczęścia w kraju, dokąd tej niewiary pogańskiej się nie odpędzi...«

»Daj Boże!« szepnęła kobiecina, a przytuliwszy do siebie syna, poczęła się modlić.

*

*

*

Nie przeszło lat wiele, a już Jan Sobieski na koniu gonił za wrogami, a z nim i syn Andrzejka.



MIŁOŚĆ
WIOSKI RODZINNEJ.

•Takich nauczycieli świat
chwalił i chwali,
Którzy ucząc czynili,
czyniąc nauczali.◀

Minasowicz. Rytm.

•Jeśli kto mniej nauki posiada oð Ciebie,
Poucz go w jego potrzebie;
Bo nie każdemu w życiu dały nieba
Tyle światła, ile trzeba.◀

Rajszel. Bajki.

Słońca blask zagasł.

Jeszcze po za wierzchołkami drzew wysokich — miga
tu lub tam złocista chmurka — jeszcze różową wstęgą prze-
winie się obłoczek na niebie, ale coraz ich mniej i coraz ciszej.

Wszystko się do spoczynku układa.

I ptasząt skrzydła leciuchne i drzew szumy i szmery
i pastuszków wołanie, a granie.

W mieście — noc czarna — cicha — spokojna, nie przy-
nosi tego wypoczynku, co go daje wioska ukochana.

W mieście wielu ludzi po pracy znoјnej i męczącej do-
piero w późny wieczór idzie szukać odetchnienia i powietrza —
inni idą po zabawy i rozrywki — inni z próżniactwa włączają
się, myśląc o złem.

Ale wieś — spoczywa, bo u niej próżniactwa przez dzień
nie ma.

Na pogodne niebo wpłynął jasny księżyc i oświecił drogę
z miasteczka.

A drogą tą idzie pieszo młody mężczyzna, w miejskiem
ubraniu.

Widać mu się spieszy, bo kroki jego szybkie, a nie przystaje dla odpoczynku.

Wyszedł na wzgórek, skąd całą wioskę widać, odetchnął, rzucił okiem w dal, jakby czego szukał, a ujrawszy światło w chatce na skraju, nad rzeką, uśmiechnął się serdecznie:

— Wracam do ciebie, moja chato droga, moja rodzino biedna, moja wiosko miła!... Długom tu nie był, alem zawsze was kochał i o was pamiętał!...

Szedł śpieszniej.

Ciepła noc czerwcową owiewała go tchnieniem woni z pól i łąk — drzewa srebrzyły się rosą, a niebo jaśniało gwiazdami.

Młodzieniec wzrok podniósł w górę, a potem — przy krzyżu przydrożnym ukląkłszy — modlił się z rozrzewnieniem...

Gdy zapukał do chaty swej — otworzyło mu dziewczę młode i zgrabne...

— Pochwalony!

— Na wieki... a do kogo to?

— Nie poznałaś mię Basiu!?!...

Aż matka woła z izby, z radością:

— To Michaś! Michaś!

Wybiegła matka — wita syna z płaczem, starszy brat Józek także wyciąga ku niemu ręce, a i młodsze dzieci uśmiechają się radośnie...

Już jest w izbie — spoczywa, bo dość zmęczony — uśmiecha się serdecznie, a wszyscy oczy w niego wlepili, i niby sami sobie wierzyć nie chcą, iż to ich Michaś — ich...

— A gdzież ojciec? — pyta Michał Mróz.

— Ojciec?... W karczmie!...

— Jak zawsze — piją i piją.

— Na ostatni koniec już im zejdzie.

A matka rozplakawszy się, rzeknie:

— Pisaliśmy tobie, pisali nie jeden raz o naszej niedoli, ale czy i wiesz ty wszystko jak jest? Już dwa morgi żydzi zabrali, już tylko jednego konia i to lichego mamy, już ani chata nie asekurowana, ani w domu koralu jednego niema!

— Nieszczęście! — szepnął Michał do siebie... słuchając co mu opowiadają... Józek jak może ratuje i dźwiga, ale sam nie może dać rady. Żydzi za procenta ciągną, co mogą, a w gospodarstwie nie jedno się marnuje przez to, iż gospodarza prawie niema.

— Dobrze tobie tam w mieście i przy nauce — powiada Józek, ale gdybyś poznał naszą nędzę, wiedziałbyś, co to być chłopem...

— Mój bracie! — odpowiada Michał — myślisz, żem zapomniał o życiu naszym? Jeślim się uczył, to tylko dlatego, aby wrócić tu i wam przyjść z pomocą...

— Jaka twoja pomoc?... Czy potrafisz tak pracować i biedować jak my?... Czy weźmiesz, już tak do ręki widły lub grabie?... Już ci inne życie stoi na drodze — życie miastowe i już naszej nędzy nie zrozumiesz... — mówi Józek niby z żalem.

A Basia ze swej strony dodaje:

— Co pan, to pan, a co chłop, to chłop.

Westchnął Michał i pyta:

— Czyż już zupełnie nie wierzycie w to, iż ja wasz i nie pan?... Więc tylko gdybym był jak wy — orał i siał, mógłbym wam dobrze czynić, i gdybym jak wy, nosił tylko płótnianki, byłbym wasz wtedy?... Obaczycie jeszcze, iż ani nauka od was mnie nie oddaliła, ani ubranie serca nie zmroziło.

— Tak to się mówi — odrzeknie Józek. Na naszą nędzę nie ma rady. Ludzi coraz więcej, roli coraz mniej. Żydzi obsiedli. Żydzi pozabierali majątki, zarobku żadnego. Co ty możesz z twoją nauką, którąś z miasta wyniósł?

— Stąd już 40 rodzin do Ameryki pojechało — dodaje Baśka — a matka, ocierając łzy fartuchem znów po swojemu opowiada:

— Niby jakbyś chciał do podziału na swoją częśćkę, to ani tobie żyć z tego, ani nam z czego wyżyć... Mamy półtrzecia morga, a niby trzy ćwierci za błoniami, na to pięcioro dzieci...

a długów, i w banku i w kasie powiatowej i u żyda jest więcej, jak na ośmset reńskich...

Rozpłakała się kobiecina w głos, a Józek dodaje:

— Działowska nędza i psie życie...

Michał ze smutkiem słucha. Po chwili rzecze:

— Wszędzie źle. I po miastach i po wsiach biedy jest dość, ale byłoby jej mniej, gdybyśmy umieli sobie radzić... Nie smućcie się jednak dla tego, żem ja do was wrócił. Nie przyszedłem upominać się o swoją część, nie przyszedłem wam zabierać z tej odrobiny, która pozostała... Nie tylko dla was radbym być pomocą, ale dla całej wioski — dla wszystkich... Nie odtrącajcie mnie — nie odpychajcie, bom żył z myślą tylko o was i żyć pragnę dla was...

W tej chwili drzwi się otwały i Grzesko Mróz wszedł do chaty.

Zaklął straszliwie, zatoczył się, a ujrawszy Michała począł krzyczyć:

— A ty po co? He? po co?...

Michał wstał, schylił się, aby ojca w rękę ucałować, lecz ten odepchnął go silnie.

— Wynoś się!... Nie znałeś mnie, zachciało ci się miasta i państwa, nauki i wygody — wynoś się!...

— Ojczy!...

— Marsz!... ja chłop i chłopskie mam dzieci — ja panów nie znam, wyuczyłeś się — wracaj, gdzieś był!...

Michałowi łzy zakręciły się w oczach...

— Proszę was, ojczy — nie gniewajcie się... ja się odwdzięczę za wszystko, ja odpracuję teraz — ja będę...

— Milcz!... i pchnął Michała tak silnie, iż ten ledwie się zatrzymał na skrzyni...

Józek poczyną krzyczyć ostro:

— A co to, ojczy, będziecie go wyganiali? On tak samo nie pracował, jak i wy nie pracowali. On siedział przy książkach, a wy przy kieliszku...

Powstał krzyk, wrzawa i kłótnia. Zaraz potem poczęły się sypać przekleństwa okropne.

Michaś przerażony tym widokiem — wyszedł z chaty i oparłszy się o wrota, dumał długo... Ciężkie i czarne myśli snuły mu się z duszy. Ból serce jego przejmował, a jakiś smutek wielki rozlewał się przed nim niby rzeka łez i cierpień...

Może w godzinę potem, gdy już w chacie uciszyło się — przybliżyła się ku niemu Basia i szepnęła:

— Chodź! Posłałam ci w komorze, połóż się spać!

— Basiu! — pyta Michaś ze smutkiem... czy i ty także mówisz do mnie — idź stąd?...

— Czy ja wiem?... Tak wszyscy powiadali we wsi, że dla ciebie nie będzie tu ani roboty, ani miejsca, ani cząstki, ani podziału, bo mówili wszyscy: ten, kto pracował na roli, kawałek dostanie...

— Więc myślisz, Basiu, iż mi tylko kawałka zagonu od was potrzeba? Kawałka chaty, trochę grosza?... Czy myślisz, że ja po to się uczyłem?... Ty tego nie rozumiesz, że ja i waszego serca pragnę?

— Jakto pańskie serce do nas przystaje?... Wyuczyłeś się, to już my nie dla ciebie... ale chodź spać!...

I poszła do chaty, a on został sam z ciszą nocy, z chmurą smutku na czole i z żalem w sercu...

A nad jego czołem stara wierzba pochyłała swoje gałązki od rosy wilgotne i szeptała raz po raz: — Idź stąd! idź stąd idź!...

Taki był powrót syna chłopskiego do ojców zagrody.

II.

Na drugi dzień Grzeško Mróz wytrzeźwiony po wczorajszej wódce, powitał syna lepiej. Usiadł z nim na przyźbie przed chatą i wypyttywał go, co teraz myśli robić.

— Mam świadectwa w rękach, dostanę posadę nauczyciela. Podałem się o to, aby dostać tu miejsce w Psiej Wólce.

— Jakże? tu szkoły nie było i nie ma.

— Ale już jest szkoła zorganizowana i teraz budynek wynajmą, a potem się osobna szkoła postawi.

— Ty masz serce, człowieku, żebyś ty na naszą gminę jeszcze szkołę sprowadzał, to ciebie tu przeklną, to cię tu zgryzą ze złości... Skaranie Boże z tym człowiekiem. Czego się tobie zachciewa?...

— Wszędzie teraz szkoły zakładają, wszędzie się do oświaty garną, a może lepiej będzie, jak ja między wami poczną uczyć, niż jakby przyszedł obcy człek — nieznany...

— Gađaj sobie, gađaj, a ja ci powiadam, szkoły nie będzie... Tylko tego trzeba, aby jeszcze więcej ludziska płacili. — Czy to ze szkoły będzie miał kto chleba kawałek?... czy to ze szkoły nauczy się, aby mieć choć ćwierć morga więcej?...

Michaś tłumaczy i wyjaśnia, po co szkoły są potrzebne... aż tu Józek przychodzi, mówiąc:

— Trzeba się z sianem spieszyć, bo chmury zaciągają się...

— A no! chodźmy! — powiada stary Grzeško i powstając, wyciąga się, jakby go kości bolały.

— Zostańcie, ojcze, w domu — ja pójdę z Józiem — mówi Michaś, uwiniemy się szybko...

Stary spojrzał i zaśmiał się:

— Ty taki do siana, jak ja do ambony!

— Potrafię! obaczycie!...

— Idź! idź!... za pół godziny ręce ci omdleją i tyle będzie, z niecierpliwością przerywa Józek.

— Chodźcie, ojcze, ja się na jego robotę nie spuszcze, bo tu deszcz wisi... tu nie można się bawić...

Siedli na wóz. Konisko chude i ledwie żywe powlokło się...

— Michaś usiadł w tyle, a ciekawie rozglądał się w około.

Dawno tu nie był. Małym chłopakiem rwał się do nauki, uciekł prawie z domu do miasta. Bez żadnej pomocy od ro-

dziców, przy skromnym zasiłku pieniężnym, jaki otrzymywał od proboszcza swej parafii utrzymywał się pracując ciężko lekcyami i niejedną raz głodem przymierając...

Teraz — szkoły ukończone i poczyną się praca dla drugich...

Powiódł okiem po polach rozrzuconych nad rzeką, po ciemnym lesie, widniejącym w oddali, po tych błoniach, na których woniało siano przesuszone, ale radości w swem sercu nie czuł... Widział biedę i ciemnotę w około, a chciał siać prawdę i wykorzenić zabobony i nędzę...

— Jakże wielki łąn przedemną — myślał sobie Michaś — obszerniejszy i rozleglejszy od tych, co tu przed sobą widzę — a do uprawy trudniejszy — ale Bóg da — może praca się uda. Zajechali na łąki, gdzie już wielu ludzi pracowało.

Poczęli między sobą szeptać;

— Wiǳicie? Michaś jest!...

— Pan!.. niby to z łaski do nas przyjechał...

— Patrzcie! do grabi się bierze — myśli, że ojca tem za serce chwyci i da mu spłatę z ojcowizny!...

— Poszedł na miastowy chleb, niechże tam wraca!

Do starego Grześka zaś zbliżyło się dwóch:

— Wrócił wasz syn?

-- A wrócił? Wiǳicie...

— Na długo?

— Niby na zawsze — powiada, że ostanie we wsi...

— Nie będzie z tego nic dobrego. Odradźcie mu, lepiej niech wraca.

— Czemu?

— Będzie nad nami przewodził, was zechce zabrać pod swoje rozkazy. Nie wiecie wy, co to syn chłopski za pana przebrany?

Grześ westchnął. Spojrzał z ukosa na Michała, który siano zgrabiał, a sąsiad mówił dalej.

— Jakbyście go ostawili w chacie, toby wam każdy ka-

wałek chleba octem zalał. Uczylby was na każdym kroku, matkę by poniewierał, rządziłby wszystkimi: albo to nie wiecie, jak taki wyuczony robi?... Lepiej niech jedzie. Nie siał, nie orał, nie biedował, niechże sobie do miasta wraca.

Grzeško niechętnie znów na syna spojrział. Michaś zgra-biał siano dość zgrabnie — a że był w ubraniu miejskim, odbijał od zielonego błonia i białych ubrań wieśniaków, jak szara wrona od sta-da gołębi.

Wszyscy na niego spoglądali z pod oka, z niechęcią. Między sobą rozmawiali, żartowali, śmiali się. Nikt się do niego nie zbliżył, nikt nie zaga-dał.

Czuł on to dobrze i smutnym był bardzo.

Gdy na południe zasiedli wszyscy do spoczynku, gdy poczęli zaja-dać smacznie ziemniaki lub kaszę, Michaś usiadł na boku.

— Wiǳicie? nie je!... jemu mięsa a piwa — powiada jeden.

— Nie zaga-da do nikogo, bo pan — mówi drugi.

— Zbolała go ręka od takiej roboty — śmieją się inni.

A Michasiowi na sercu ciężko i smutno...

Raǳby przycisnąć wszystkich do serca, raǳbym wszystkim powieǳieć, że niemi nie garǳi, że się nie pyszni, że kocha ich właśnie ǳatego, iż są jego braćmi, że biedni, że pracują mozolnie... ale czy oni to zechcą posłuchać?

Myśli on sobie.

— Niechno ja trochę ǳużej we wsi pobęǳę — to się wszystko zmieni. Przekonają się sąsiedzi i krewni i wszyscy ze wsi, że ja nie taki zły, za jakiego mnie mają. Przekonają się, że przez naukę nie stałem się ǳla nich obcym.

* * *

Naǳ wieczorem poczęto siano wkładać na wozy. Naj-pierwszy wyjechał z swoją furą Ignacy Wierozik. Za nim ruszył Paweł Kozik. Ale że miał koniki słabe, więc konięta nie mogły

uciągnąć. Było to i trochę pod górą. Wóz zaparł się o kreto-
winę, ani rusz dalej jechać. Biję konięta Paweł sam, gospodarz
już letni, ale jeszcze bardzo krzepki. Biję a klnie okropnie
jego zięć, Józef Słowiński, pomagają drużdy, lecz wszystko za
darmo.

— Wio! wio!... Bodaż ci nogi połamało!...

— Ođ siebie! Hej!... nu!... ...bodażes zdechł.

— Batem go!... Hej!... Pchaj!... ...ciągnij!... Bodaż cię pio-
run trzasł!...

Krzyk, wrzawa — bicie — szarpanie, bo wszystko jak
burza straszna huczy naokoło, aż wreszcie Michaś zbliża się
i mówi:

— Możeby trochę siana rzucić, bo za ciężko...

— Wio! Hej!... Do stu dyabłów!... — krzyknie Józek ze
złością i rżnie konia tak strasznie, iż pręga sina na skórze
się pokazała.

— Nie męczcie biednych koni — ja wam pomogę siano
nałożyć — tak konie nie uciągną, bo ciężko.

— Co ciężko?... Nie jeden raz tak wiozły.

— Niby my to nie znamy, jak się wozi.

— Więcej my siana nawozili, jak panicz książek przeczytał.

— Nie na to my czekali, aby nas uczyć.

— Nic już nie odrzekł Michaś, pochylił się do osi —
chce wóz podźwigać a w tej chwili Józek Słowiński biczem
tak zawinał, iż właśnie natrafił na twarz Michasia i ściął ją
czerwoną pręgą silnie...

Michaś przetarł ręką po twarzy i dźwigał wóz cierpliwie.

W godzinę potem, gdy wreszcie wracał pieszo do wsi —
sam przez błonia — modlił się cicho, mówiąc z głębi serca:

— Dodaj mi, Wszechmocny Boże siły, ażebym wytrwał
w pracy i umiał pracować poczciwie a ludzką niechęcią się
nie zrażał, ani za wdzięcznością się nie oglądał!...

W chacie zastał krzyk i wrzawę.

Ojciec już pijany przyszedł i bił matkę za to, iż nie po-
stała po wódkę.

Ujrzawszy Michasia, począł wołać:

— Idź sobie do panów! — idź!... dla ciebie tu chleba niema. Niema tu dla ciebie miejsca... ani roboty niema dla ciebie... idź sobie!... idź!...

III.

W trzy tygodnie potem w Psiej Wólce straszne były gniewy i krzyki, żale i skargi.

Przyjechał inspektor z miasta z komisją, wzięli Michała Mroza ze sobą, oglądnęli starą, próżną chatę, co stała na końcu wsi, przywołali wójta i powiedzieli, że to będzie tymczasem szkoła, a profesorem zostanie Michał Mróz.

Inspektor pięknie do wójta i radnych przemówił. Powiedział im, że nauki potrzeba ludziom jak słońca roślinom, że przez naukę będą dzieci lepsze i bieda mniejsza, ale ludziska szemrali najpierw z cicha, potem coraz głośniejsze, aż wreszcie poczęli wołać:

— Nędza nas gniecie — chleba nie mamy!...

— Podatków dość! mało nie zginiemy!...

— Jeszcze tego kosztu nam potrzeba?

— Obeszli się nasi ojcowie tyle lat bez szkoły, to i my się obejdziemy...

— Nie damy na szkołę!

— Nie damy dzieci!

Michał Mróz stał przy inspektorze i patrzył na wójta oraz na radnych, jakby owo dziecko, co z niepokojem spogląda na ojca.

— Ja wam wszystko ułatwię, ja wam nieba będę chciał przychylić — mówi łagodnie... nie gniewajcie się tylko, a bądźcie cierpliwi, obaczycie, że będzie dobrze!...

Narzekali, gniewali się, grozili, ale wobec inspektora i komisji zgodzić się musieli.

Dopiero, gdy inspektor pojechał, poczęło się po wsi narzekanie a lamentowanie.

- Co poczniemy? Bieda będzie!
- Zabiorą nam dzieci!
- Nie będzie komu bydła paść!...
- Na nieszczęście nasze tu wrócił...

Wyklinali go, przezywali, życzyli mu choroby i nieszczęścia, a gdy nawet chciał on do kogo przemówić, odwracali się od niego z gniewem dalej.

Gdy zaś wieczorem zebrali się gospodarze, jak zwykle, w karczmie przy gorzałce, począł Abramko im wszystko tłumaczyć:

— Ny!... jak wy nie będziecie robiali rykursu, to kłopotu będzie co aż strach!... on tu psiszed naumyślnie, aby szkołę zaprowadzić. On tu was jeście na inne podatki będzie podawać. Jak wy jego nie wyślecie do miasta, to on jeście was na takie podatki poda, że ani wam żyć nie będzie można... Poco to jemu tu we wszi szedzieć? Poco to jemu dzieci uczyć? Czy jemu w mieście nie dadzą szkoły... Toby był wstyż, co aż strach, aby cała gmina jednemu takiemu młodzikowi dała sze za nosy wodzić... Ja wam po czychu tak po sprawiedliwoszczy powiem, on ma swój geszeft, on ma swoje interesy — tylko ostrożnie — nikomu nie powiadajcie!...

I szepce Abramko coraz ciszej, a chłopci coraz lepiej jego rozumieją, a wódki coraz więcej przelewa się w kieliszki, a pościć biednego Michasia staje się coraz więcej czarna, nikczemna i zła w oczach słuchaczy, tak, że już prawie zdaje im się — pół na pół podobna do samego dyabła.

* *

Rekurs podpisany przez całą gminę, poszedł do miasta, a w chacie po nieboszczykach Grzymalińskich, co stała od trzech lat pusta, murarz bieli, stolarz okno daje większe, a cieśla ławki z desek składa. Kto przejdzie drogą, a obaczy, to wzdycha, jak gdyby widział nieszczęście przed sobą. Michaś zaś stoi przed chatą i zabiera się do kopania.

Ogrodził sam ogródek dookoła, teraz kopie grzędę, robi ścieżki, niby jakby dziecko małe, co się bawi.

Białe jego lica już ogorzały od słońca. Twarz się zarumieniła, a ręce wcale nie wydelikaczone.

Spojrzała na niego Jagusia Konopczanka, córka zamożnego gospodarza, co szła z pola do domu i myśli sobie:

— Cała wieś na niego bij zabij, a mnie się zdaje, że niema tu ani lepszego, ani piękniejszego od niego...

— Dobry wieczór Jagusiu! — woła Michaś na to, jakby jej myśli podsłuchiwał — skąd idziesz?

— Dobry wieczór. Z pola wracam. Co pan robi?

— Do kogo mówisz?

— Juści do pana...

— Ja nie żaden pan.

— Przecie i nie chłop.

— Dlaczego? Wszakżem chłopskie dziecko...

— Ale pan wyuczony.

— A jak wszyscy we wsi wyuczają się, jak poznają niejedno z prawdy i historii, to już nie będą chłopami?

— Czy ja tam wiem?... Jakoś mi dziwno mówić — ty. — Cała wieś powiada, żeś pan, to i ja tak mówię.

Michaś zbliżył się trochę, oparł się o płot, a patrząc w oczy Jagusi, powiada:

— Widzisz, dziewczyno, w lesie tym na prawo... Sto — dwieście dębów stoi w jednej linii, a jeden, dwa, pójdzie wyżej trochę... czy to już nie dęby?... Widzisz te kłosa na łanie?... tysiąc — dziesięć tysięcy kłosów jednakowej miary, a dziesięć — dwadzieścia wielkich i tyle mają ziarna, że się aż na dół chylą. Czy to już nie kłosa wtedy? Tak i pomiędzy chłopami... Wielu żyje spokojnie, cicho, a tak jeden jak drugi, tylko to zna, co od ojców pojął. Ale znajdzie się pięciu — dziesięciu, albo i więcej, którzy do tego, co ich ojcowie nauczili, jeszcze pojęli inne nauki... Ten nauczył się w wojsku, tamten gdzieś za robotą pojechał i świata poznał więcej, inny do książekabrał chęci i uczył się jak ja. Czy przez to już oni nie chłopci?...

— Ładnie to mówisz, Michale — odpowiada Jagusia, rumieniąc się jak poziomka, ale kiedyś kto na ciebie spojrzy, to zaraz pozna, że ty nie chłop...

— Dlaczego?

— Bo i ubranie masz pańskie i włosy inaczej obcięte i jakoś wszystko inne, jak u nas... Nie pijesz, nie gadasz po naszymu, nie chodzisz na tańce, nie...

...Zająknęła się i nie mówi dalej.

— Skończ, coś chciała powiedzieć. Radbym jeszcze dowiedzieć się więcej co o mnie myślą i mówią...

— Bo niby widzisz, ty delikatnie mówisz, a u nas inaczej się rozmawia. Ty ojca za pijaństwo nie przyganasz — ty nie klniesz...

Michał westchnął, a po chwili ozwie się smutnym głosem:

— Ubranie — w mieście nosiłem takie, bo mi było trudno tam chodzić w białej płótniance. Trzeba to ciągle prać i maglować. Teraz we wsi — znów ubiorę się po naszymu... Że włosy ucięte, to rzecz słuszna, jest to i zdrowiej i wygodniej nawet dla oczu. Że moja mowa trochę inna od waszej, to także nie jest jeszcze żaden powód do uznawania mnie za pana. My mamy śliczny język nasz ludowy, chłopski, ale nie umiemy nim mówić. Gdy pójdziemy na naukę do miasta, tam musimy wyrażać się językiem książkowym. Ale jeśli będziemy mieli oświatę prawdziwą w całym kraju i po wsiach i po miastach, wtedy dopiero poznamy, jaki mamy język śliczny i bogaty. Mowa moja, nie jest pańską, tylko oczyszczoną z błędów i przekleństw, które u nas po wsiach rozsiał się, jak ziarenka piasku... Od tych przekleństw, zdaje się, cała wioska őrzy, jak osiczyna... Powtarzają rodzice, powtarzają dzieci. Gdy humor i wesołość, to klną z żartu; gdy gniew i niecierpliwość, klną ze złości...

— Oj to prawda święta!... Ja sama to mało 100 razy na dzień zaklnę.

— A chciałybyś się oduczyć?...

— Czy to można?...

— Bardzo łatwo. Powiedz sobie: nie będę klęła, bo to i nieładnie i grzech... dobrze? Słuchaj Jagusiu! Bądź ty chociaż za mną, kiedy cała wieś przeciw! Przekonasz się, że ja chłop, ale taki bez wódki i przekleństwa — wprawdzie bez wideł i pługa — ale z książką i sercem...

Zagaądał się Michaś i nie uważa, kto stoi za osiczyną, a słucha ciekawie jego gadania.

Lecz Jagusia to spostrzegła, zczerwieniała jak kalina i uciekła, nie powiedziawszy nawet: do widzenia, albo »Bóg zapłać« — wedle zwyczaju...

Michaś wrócił do grzędy i rydła, a z za osiczyny powoli poszedł drogą Józek Mróz, brat Michała...

Zachmurzył się strasznie i mruczał coś sobie z gniewem.

IV.

Nauka się rozpoczęła.

Mimo rekursu i krzyku, mimo stu rad Abramka i jego zięcia Dawida Goldberga — mimo tego, że matki płakały przy zapisach, a dzieci uciekały w drodze do domu.

Michaś Mróz cierpliwy był na wszystko.

Miał troje dzieci w szkole, nie gniewał się, nie podawał na karę, nie robił krzyku.

Miał dzieci sześcioro i z tego był zadowolony, ale tak było tylko z początku.

W cztery miesiące potem — już dzieci rwały się do szkoły same, jak pszczoły do ula, a w ciasnej izbie nie było miejsca.

Dzieci uczyły się pilnie i chętnie, a nawet we wsi ludziska poznali, że dzieci są już lepsze.

Bywało — biją się po ulicy, krzyczą i hałasują, z psami się drocą, a nie jeden raz cygara palą, albo i po wódkę lecą do karczmy — a nikomu przez drogę przejść nie dadzą.

Teraz jakby przemienione.

Zrobiły sobie dzieci na stawisku ślizgawkę, a powiadają:

— Pan profesor radził, żeby się nie ślizgać po drogach, po ścieżkach, bo to źle. Idąc tamtędy jaka kobieta, albo stary człek, może upaść. Ślizgawka dobra zabawka, ale na miejscu do tego przeznaczonem, pod nadzorem starszych. Nawet to zdrowo się ślizgać.

Nie palą cygarów a mówią:

— Nauczył nas pan profesor, że tytoń rzecz szkodliwa, a kosztuje wiele. Jużci tam staremu nie zaszkodzi, ale młodemu, jakby trucizna.

Wyszły teraz dzieci ze szkoły, a to już i wieczór późny, bo profesor nie żałuje fatygi.

Mróz iskrzy się, a skrzypi pod nogami, aż niby jakieś granie z tego skrzypienia.

Dzieci idąc — śpiewają z cicha.

W tem patrzą — na poprzek drogi leży jakiś człowieczyna niby nieżywy.

— Hej!... chodźcie!... woła Jaś i Piotr.

— Co tam? kto?...

— Jakiś pijaczysko, czy zamarzł, czy śpi...

Otoczyli, patrzą... toż to stary Mróz...

— Jużci to on!

- A to się potraktował.

- Pijanica!...

— Już on zejdzie tak na ostatni koniec...

— Zostawcie go!...

— Co się tam nad pijakiem będę litował!...

Szła jakaś kobieta z naftą, słucha, patrzy i mówi:

— Takich jeszcze jest u Abramka trzech.

— Pewnie stary Malasik.

— Albo Jantek z za potoka...

— Chodźcie!... co będziecie stać nad pijanicą!...

— Zasyp go śniegiem!...

— Jakby tak mój ojciec, tobym się go wyparł ze wstydem — mówi wreszcie jeden ze studentów.

Aż nagle Michaś Mróz staje między nimi i pyta:

— Taka to wasza miłość i uszanowanie dla starszych? Tybyś się wyparł ojca pijanego, ale ja tegobym nie zrobił. Ojciec zawsze jest ojcem. Zawsze go czcić i szanować należy...

Pochylił się, dźwignął obsypanego śniegiem ojca, wziął go jak dziecko za ręce i począł przemawiać łagodnie i spokojnie.

— Chodźcie, tatulu, do chaty. Chodźcie! tu zimno... na mnie się oprzyjcie... chodźcie — powoli, bo ślizko.

Stary Mróz obudzony, bełkoce coś niewyraźnie zatacza się, klnie, szarpie, chce bić syna... ale on spokojnie i słodko jak matka do dziecięcia mówi:

— Tędy!... tu mostek... oprzyjcie się, ojcze!...

I poszedł z pijanicą... a dzieci stały jak wryte na miejscu...

Żadne z nich nie rzekło słowa, tylko kobieta, stojąca opodal, otarła fartuchem łzę z oka, i z cicha szepnęła:

— Takiego syna jeszcze w tej wsi nie było!

* * *

Wprowadził Michaś ojca do chaty, a matka ujrawszy ich, poczęła wołać:

— Do stajni go daj! do stajni! niech się tam wyleży. Nie dam go na pościel. Zapił się jak nieboskie stworzenie, niech się tam wyśpi!

— Matulu! nie mówcie tak. Mróz tęgi, ojciec już wiekowy — dobrze, żem go znalazł na drodze...

Józek zaś od sieczkarni odwrócił głowę i rzeknie:

— A po coś tu przyszedł? Było ci bliżej do Jagusi!...

— Pomóż mi ojca położyć. Osłabł już bardzo...

— To go puść na ziemię. Jemu i tam będzie dobrze...

Michaś westchnął — ostatkiem siły doprowadził ojca do łóżka, a ułożwszy go, wyprostował krzyżę, bo go coś bardzo zabolalo.

Matka krzyczała i gderała strasznie.

— Matulu! proszę was, dajcie mi ten stary obraz Matki Boskiej, co nad skrzynią wisi... Ja wam za niego kupię nowy, ładniejszy. Mnie ten najmiłszy. Wyście mnie przed nim pacierza uczyli... Ja chcę mieć od was to na moje wiano, na moje szczęście — dacie go?...

Ojciec przez sen klął przeraźliwie. Józek mróczał coś i z pod oka patrzył. Basia od kądzieli ani głowy nie odwróciła, a matka wołała jeszcze: — Po co było pijaka tu przyprowadzać, gdy Michaś niosąc poczerńiały obraz Matki Boskiej Częstochowskiej wychodził z chaty, pożegnawszy wszystkich serdecznie.

V.

Ponieważ żalili się we wsi niektórzy, iż Michaś do nich nie przychodzi, a wszystko zaraz uważali za pychę jego... postanowił więc pocziwy nauczyciel zbliżyć się więcej do sąsiadów i krewnych. Ale nie szło to tak łatwo, jakby się zdawało.

U stryjaska nie lubieli go, bo nic nie pił. U chrzestnych rodziców nie miał co robić, bo tam ciągle były kłótnie z zięciem, a gdy Michaś chciał wezwać do zgody, zaraz go skrzyczeli bezliłościwie, iż jemu nic do nich. U Słowińskich posiedział czasem z godzinę albo i dłużej, ale nie można było porozmawiać jakoś pocziwie lub pożytecznie z nimi. Józek ich z wojska przyszedł, zanaśd mądry, bezbożne rzeczy wygadynał na panów, na księży, na szlachtę, a rodzice synowi wierzyli i za nim wszystko powtarzali.

Po innych chatach także nie było tak, jakby należało. Wszędzie ciemnota rozsiała swoje nałogi i złe przyzwyczajenia, a wódka i pijaństwo zdeptały szczęście.

Smutno było w sercu Michasia.

Czuł się tu jak sierota sama jedna na dalekim stepie.

Czuł się tu jak owa drzewina, która wśród pól sama jedna wyrosła.

Czasem myślał też sobie:

— Możem ja i doprowadź swoje szczęście połamać?...

Możem ja za śmiało ręce wyciągnąć do takiej pracy i życia takiego?... Ale Bóg dobry!... Bóg wesprze i dopomoże... wszak pragnę dobra moich rodaków, wszak chcę mych braci do miłości Boga i bliźnich doprowadzić przez rzetelną oświatę. A chociaż czasem w sercu pusto i smutno, to i mniejsza o to — byłem tylko dzieciom serca uszlachetnił — a przez działalność na starszych poprawę wpłynął!...

*

*

*

Razu jednego wstąpił do wdowy Łukaszowej, co była może najuboższa we wsi. Zachorował jej chłopczyzna, dziesięcioletni Macuś, najlepszy uczeń w szkole, więc Michaś poszedł dowiedzieć się, jak się ma dziecko.

Zastał tam dwie baby, które smarowały biedaka jakimiś smalcami, kaździły mu nad głową ziołami, a węgle po zwyczaju gasiły w wodzie i »zamawiały«.

— Bójcie się Boga!... — rzekł Michaś żywo. Dziecko ma szkarlatynę w gardle go dusi, nie smarujcie go maściami, ani nie okadzajcie! Na to trzeba doktora.

— Widzisz go tam! jakiś mądrał — poczęły obrażone baby krzyczeć na niego. — Już my znamy tych waszych doktorów — znamy... Ty sobie sam doktora sprowadzaj, a do nas się nie mieszaj... Dobrze to mówią, nie daj Boże z Iwana — pana. Z głodu poszedłeś na naukę, a teraz myślisz, że cała wieś głupia, a ty jeden mądry...

— Nie myślę ja, żeś tylko jeden mądry, ale proszę was grzecznie, Łukaszowa, ratujcie dziecko, bo szkoda chłopca. Wielkie on ma talenta. Gdyby się uczył, doczekalibyście z niego pociechy...

— Boże mój!... Co on gađa?... Jaka to pociecha z syna w szkołach?...

— A z ciebie rodzice jaką mają pociechę?... Co?... dałżeś im albo setkę, alboś im kupił pola?...

— Moi drodzy! czy to tylko od pieniędzy zależy pociecha, z syna, albo od tego, co on kupi, albo co da?... A może jeszcze i to potrafię zrobić! może jeszcze moi rodzice doczekają się tej chwili, że i kochać mię lepiej poczną i przyznają mi, że chciałem być najlepszym synem! Tylko teraz pomówmy o Macusiu! Ja zaraz pošę sam, na swój koszt po doktora, a was proszę grzecznie nie zamawiajcie choroby, ani czarów nie róbcie, bo to nie pomoże, a do tego grzech!...

Łukaszowa wódkę dała, częstuje lekarki, zaprasza Michaś, to płacze, to śpiewa. Wszystkie trzy uraczyły się gorzałką, a Michaś poszedł po konie do miasta.

Wraca, aż tu Jagusia u Łukaszowej.

Dawno jej nie widział.

Dziewczyna patrzy na niego z ukosa.

Przywitał ją słowem Bożem i o Macusiu opowiada. Jagusia z żalem:

— Czegoś się na mnie pogniewał?

— Nie gniewam się.

— Dwa miesiące nie zajrzałeś do nas...

— Mało mam czasu...

— Wiesz? Nie mówiłam ci ja w jesieni, że pan z ciebie?

— Nie pan ja!

— Pańska pycha w tobie!

— Jaguś! — nie gaďaj!... dać pokój!

A Jagusia łzami się zalała i wybiegła z chaty, jeno za nią płacz leciał i smutek szedł cichy... jak noc idzie po ziemi i rosa ściele się po trawach...

*

*

*

Doktor przyjechał późno w noc.

Macuś w gorączce palił się. Łukaszowa lamentuje i zawodzi, a Michaś stoi błądź i czeka, co lekarz powie.

— Dziecko jest zaziębione — powiada lekarz, prawie żadnej nie ma nadziei, nacierania i smarowania zaszkodziły, bo się przyczyniły do zaziębienia większego, a i kto wie, czy wódki mu nie dawano.

Rada w radę, pouczył Łukaszową, co ma robić, nakazał, aby strzegła i pilnowała w izbie ciepła, a po lekarstwo sam profesor pojedzie.

Michaś pocziwy i drzewa przysłał z swojej chaty, aby było cieplej i lekarstwa kupił i dwie noce przesiedział przy Macusiu.

Pan Bóg dał — dziecku zrobiło się lepiej.

Teraz Łukaszowa patrzyła na »profesora« jak na najlepszego przyjaciela. I po wsi poczęły kobiety jego chwalić — bo jużci i dobre serce poznały.

Jakoś niedługo potem u polowego smutek był wielki, bo krowina zaśląbla. A profesor skoro usłyszał, poradził, co trzeba zrobić i jakby ręką odjął.

Jak znowu szło Mateuszowi Ziablonce o sprawę, że go z drugiej wsi żyd procesował niewinnie o pieniądze, to Michał Mróz wszystko wysłuchał, papiery przeczytał i tak napisał do sądu, tak umiał sprawę poprowadzić, że nawet żydowi kazali oddać kosztą, co Mateusz musiał opłacać. Kiedy o tem w gminie się dowiedzieli, dalejże chwalić Michała: jeden mówi, że mądry, drugi mówi, że pocziwy, trzeci powiada, że potulny i nie pyszny.

Ale jak się po zwyczaju zeszli w karczmie i o tem prawili, Abramko brodę głaszcze, wódki dolewa i powiada:

— Nie wiercie wy jemu! on tylko tak zaczyna, ale zobaczcie, jak on was wyprowadży... Już my żydki znamy takie rzeczy... Zaczyna słodko, a skończy gorzko!

— Może to i prawda!

— Jużci, Abramko się na tem rozumie.

— Ny — ja wam z dobrego serca radze wypchacz tego profesora ze wszi. Bo z nim nie dobrze będzie... Powiadajcie — kto wami lepsi niż żyd?... Tyle lat my razem. Mój ojczec był z waszemi ojcami, mój syn będzie z waszemi synami. Nikt wam tak nie powie, jak żyd.

— Słusznie powiadacie — głaszcząc żyda mówi wpół pijany Kuba.

— Daj wódkę — woła Klemens.

Żyd podreptał po wódkę, nawet i araku dołał za darmo, bo czuł, że swego dokaże, a przysiadłszy z fajeczką radzi:

— Jaki ten wasz profesor skory do nauki i pomocy, ale jak trzeba wam nafty zburgować albo soli dacz, albo pożyczac na podatek — to co? czy win da? Idźcie do niego, kiedy win przyjaciel, niech da! he? Straśnie wiele mówią, że was kocha, ale jak bieda — to do żyda? He?

Kuba się wyciągnął i śpiewa zachrypłym głosem:

Jak przypieczę człeka bieda,

To do żyda! idź do żyda!

A od żyda idź do domu

I pij dalej po kryjomu!

Wszedł stary Mróz

Wracał z miasta, pijany był dobrze.

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór!

— Wódkę!

— A kto płaczi?... ja na burg już nie dam.

— Cóż to żydzie, nie dasz?... albo ja nie gospodarz?

Dawaj!

— Wy Grześku, gospodarz, ale pieniędzy nie macie. Wy mnie winni za dużo!... Wy myślicie, że syna macze »pana« strasznie mądrego, to ja wam będę dłużej czekał?

— Zapłacę! nie bój się, żydzie: zapłacę.

— Już śtery terminy prześli — już egzekucya wiznaczona.

Grzeško oczy wlepił w żyda, jak w dziwo niesłychane.

— Egzekucya?... Egzekucya?...

— Tak! tak!... Za tydzień będziecie z zioną i dzieczami spali pod płotem.

— Pod płotem?... Co?...

Wytrzeźwił się pijany chłop, podniósł się z ławy, ręce oparł silnie o stół i pyta jeszcze raz:

— Pod płotem?...

— Ny! co wy chcecie?... Ja dawał wy nie płaczyli, teraz ja swoje będę odbieracz. Wasz syn na mnie całą wiesz buntuje. Wasz syn chce już dżeczki przeciw żydom zmawiać, ale ja sze tego nie boję... Nie tak łatwo się uda, jak wasz głupi syn sobie myszli.

Grzeško Mróz walnął pięścią w stół, aż szklanki i kieliszki zabrzęczały, zachwiał się, splunął i wyszedł z karczmy nie rzekłszy ani słowa.

Żyd kręcił pejsy, uśmiechnął się, a Kuba na dobre pijany znowu śpiewa:

Oj! bez żyda, straszna bieda!

Jak bez czapki, bez kożucha.

Kto chce życie mieć pocziwe,

Niech żyda zawsze słucha!

Dym — krzyk — brud — przekleństwa, niemoralne śpiewki, wódka, arak, fajki i pełna izba pijaków, to wszystko otaczało Abramka, a dusza jego radowała się szczerze.

VI.

I biednego Mroza zlicytowano.

Wyrzucono go z zagrody, a Abramko swojego zięcia wprowadził do tej chaty, gdzie jeszcze wczoraj wisiały obrazy świętych, gdzie odmawiano pacierze na klęczkach, gdzie święconą wodę chowano w kropielnicy.

Był to straszny dzień.

Mrozina omłotała trzy razy.

Basia zawodziła na cały głos, Józek kłął i bił co tylko napotkał.

A Michaś?...

Błądy z zaciśniętymi ustami popatrzył na to wszystko, położył matkę splakaną z ziemi, a wiodąc ją ku swej szkółce, rzekł do Józefa:

— Znieście to wszystko do szkoły. Ojca przyprowadź sam!...

Gdy zebrali się wszyscy w izbie u Michasia, długi czas tylko było słyszeć płacz i jęk.

Wreszcie Michaś powiada:

— Nie płaczcie, ojcie i matko! Do chaty się jeszcze wróćcie i jeszcze Bóg da lepsze czasy. Ja zaraz napiszę rekurs i wszystkie papiery obaczę... Jestto złość żyda, ale sprawiedliwość jeszcze w świecie nie zamarła. Smutno to tylko, iż jeden żyd we wsi zdoła tak wiele zrobić złego.

— Nieszczęście nasze! nieszczęście! jęczała matka.

— Boża pomoc z nami będzie, tylko znieśmy krzyż cierpliwie!... Bądźcie teraz u mnie, nie zaznacie tu złego słowa, a obaczycie, jeszcze lepsze przyjdą czasy.

Grzeško Mróz ręce załamał, łzy mu toczą się po licu.

Jakoś ta chwila obudziła jego duszę — poznał swoje winy, żal go przejął boleścią.

Lecz dobry zacny Michaś ręce ojca całuje, siwe jego włosy gładzi i mówi jakby ta matka do dziecka w kolebce:

— Ojcie!... nie płaczcie!... serce się z żalu kraje... nie rozpaczajcie!... nie tylko wy winni i ja winien... ja...

— A ty w czym?

— Winien jestem w tem, że nie czuwał nad wami — że nie przygotował wcześniej rozprawy z żydem, ale nie spodziewałem się, że on zrobi to tak prędko. Gdy przyszło wezwanie — już było późno na ratunek... Ale ja was dzwignę... Ja ojcowiznę naszą z rąk żyda odbiorę — obaczycie. Ja nie pozwolę aby po naszych zagonach żydowskie deptały nogi, aby w naszej chacie żydowskie pacierze słyszeć było...

Za trzy dni pojechał Michał do miasta sprawę rozpatrywać. Przekonał się iż było wiele oszustwa i jeszcze żyd może się dostać do kryminału za to. Nie mówił jednak nic o tem w domu, aby po wsi nie rozgłosili przed czasem.

Sam mieszkał z rodzicami razem.

Basia poszła do służby do dworu w trzeciej wsi, a Józek dostał się do lasu do »sągów.«

Michał pracował wytrwale i pilnie tak, i czasem nawet chwili nie miał na to, aby skromny zjeść obiad...

* * *

We wsi, jak zwykle, gdzie lud nie oświecony, trudno było pracować.

Jedni niby to słuchali rad Michasia i chcieli przyczynić się do założenia kółka rolniczego, kasy pożyczkowej gminnej, a inni znów u Abramka szukali nauki i pytali, co zrobić, aby Michała wraz z szkołą ze wsi wyrzucić.

Wiedział Michał o tem. Smucił się, ale nie ustawał w pracy.

Wreszcie zdołał tyle zrobić, iż ze szczupłej swej pensyi uskładał parę złotych i zakupił towarów na założenie sklepiku chrześcijańskiego.

W chacie, gdzie była szkoła, tego nie mógł zrobić. Trzeba było wynająć mieszkanie we wsi, w takim miejscu, aby każdemu było dogodnie tam zająć... Ale nikt nie chciał chaty odnajdąć.

Dlaczego?

Bo Abramko im mówił:

— Jak wi chatę będziecie wynajmowacz, to was Mróz będzie podpalicz. Zobaczcie. Win swoje graty i liche towary będzie zaasekurowacz wysoko, sklep podpali, aby dostał więcej, jak dał; a wiesz pójdzie sobie z ogniem.

Blizko dwa miesiące czekał Michał na to, aby sprowadzić

towary, bo ledwie po dwóch miesiącach znalazł chatę do wynajęcia: Lukaszowa swoją dała. Cóż? kiedy to daleko i nie po drodze...

Skleplik Michasia był ubogi, ale czysty i miły, a nafty i siarniki, herbata i cukier były tu lepsze i tańsze, jak u Abramka.

Jeden i drugi spróbował kupić, a potem już przychodził tu częściej. Do sprzedawania w sklepie przyuczył Michaś swego brata Józka.

Ten — dawniej niejedną raz Michałowi dokuczył ostro — o Jagusię pogniewał się strasznie, uważał go za wroga i krzywdziciela, ale teraz — zrozumiał rzecz inaczej.

Jagusia, której Józek się oddawna narzucił, powiedziała mu otwarcie, że nie pójdzie za niego, bo przeklętnik jest i pije u żyda.

Michaś w niejednej rozmowie oświecał brata w sprawach narodowych, tłumaczył mu, ile wrogów czeka na to, aby dziś chłopą z roli wygnać, aby go biedą zgłębić, tak, że i dusza Józka obudziła się do oświaty. Nawet — w tajemnicy przed innymi nauczył się parobczak czytać i pisać, a jak dobre książki zaczęły mówić do niego — przyszła i zgoda i miłość dla brata.

Pomyśli ktoś sobie — więc Michaś był bardzo szczęśliwy?... Wiodło mu się jak z płatka.

O! moi kochani! jeszcze do szczęścia dużo mu brakuje. Kto kocha tylko siebie — temu o szczęście łatwo — ale ono bardzo niestałe i strasznie blade. Postara się o to, co jemu miłe — dobre — wygodne, i cieszy się sam sobą i dla siebie. Ale kto kocha braci, rodaków, Ojczyznę, kto chce, aby było drugim lepiej, ten nie może się zwać szczęśliwym. Bo widzi, iż na świecie łez i cierpień więcej, jak wesela, radości i śmiechu, a złego i krzywd więcej jak cnoty i dobrego i dlatego cierpi sam i boleje, płacze z innymi i sercem z innymi i za innych współczuje!

* * *

Ale — popatrzmy dalej na to szczęście syna chłopskiego, który pragnął dać wiosce lepsze czasy.

VII.

Minęło lato — przyszła zima. Po niej znów wiosna zawitała. A na ubogie zagony Mrozów orać poszły żydowskie pługi. Oj! miały te pługi już dość we wsi ziemi do orania... Zdaje się, gdzie tylko one poszły, by krajać skiby, tam ziemia jęczała cichą skargą, tam rosa płakała rzęsiście, tam nawet skowronki śpiewać nie chciały... Zdaje się — gdzie one poszły, tam wyrastały kwiaty blade, mniej bławatów rozkwitało, a i zboża nie chciały z innymi kłosami odmawiać modlitw wieczornych swoim zwykłym cichym szeptem, którego dosłyszć zdolne są dusze gorąco Boga miłujące, gotowe zawsze Boga podziwiać w Jego dziełach!

Michasiowi serce się krajało, gdy o tem myślał i na to patrzył. Nie jeden raz stanął na wzgórkach przy Bożej Męce, oparł się o stare lipy i dumał długo i dumał, czując w duszy ból głęboki.

Ach! tyle tu do roboty! tyle do poprawienia, a ja tak mało dotychczas zrobiłem!... Nie tak łatwo, jak myślałem, wydobyc ojcowiznę z rąk żydowskich. Wpijają się one jak pijawki w naszą rolę, ssą ją i pożerają prawie, jak krwi i życia chciwe zwierzęta — a mają tysiące najnieszlachetniejszych sposobów na to, aby nam ją zabrać... Gdyby nie oni — czemu by nasza wieś była?... Czem by była moja praca?...

* * *

Słońce nachylało się ku zachodowi. Wioska cała była w blasku złocistym, a ciągnące z pól pługi paliły się skrami świetlanymi.

Michaś zadumał się wpatrzony w to niebo piękne i te blaski słoneczne, gdy usłyszał kroki.

To Jagusia wraca z miasta.

Powitała go słowem Bożem i idzie dalej, lecz on prosi:

— Zostań chwilę! dawno z tobą nie rozmawiał. Rok prawie cały nie widziałem ciebie.

Spojrzała na niego smutnie i pyta:

— Masz do mnie jaki interes?

— Tak, chcę ci powiedzieć, że mi żal za tobą i tęskno mi bez ciebie. Umiesz tak ładnie śpiewać, lubisz tak słuchać czytania z książek — jesteś taka dobra i cicha, że zawsze mi miło o tobie wspomnieć.

Kręci fartuch w rękę dziewczyna i nie odpowiada ani słowa, choć serce jej bije jak młotem.

Michaś zaś dalej powiada:

— Nie pytaj mnie, dlaczego nie przychodziłem do twojej chaty, chociaż myślą byłem tam nieraz, ale wierz mi — jam ci przyjaciel szczerzy!...

— Jesteś dobry! każdy to widzi!

— Ot dobry!... Ja chcę być takim, ale to nie tak łatwo. Łatwiej drzewinie urość prosto w górę, jak człowiekowi żyć pożytecznie... Ale co to widzę?... Ty Jagusiu, masz książkę?... Jakto?... ty?...

Zawstydziła się dziewczyna i wyjmując z koszyczka książkę, powiada:

— Nauczyłam się już czytać — przez ciebie.

— Kto cię uczył?...

— Nastusia od sąsiadki... Teraz mi się zdaje, że patrzę na świat innemi oczyma i że inaczej — lepiej wszystko widzę.

Otwiera Michał książkę — do modlenia — śliczna — uśmiechnął się do dziewczyny i ucieszony rzecze:

— Bardzo mi się to podoba, iż nie wstydziłaś się od małej dziewczynki naukę pojmować. Zrobiłaś mi tem wielką uciechę. Przyjdę jutro do twojej chaty i przyniosę ci śliczne

rzeczy do czytania z historyi polskiej, o naszych królach i bohaterach.

Pożegnali się.

Ona wracała, jakby ją skrzydła jaskółki niosły, tak jej było miło, iż rozmawiała z Michasiem, iż on ją pochwalił i — obiecał przyjść do chaty.

On zaś inne miał myśli.

Dla brata chciał oddalić się i nie znać tej dziewczyny. Dla brata chciał odsunąć się od szczęścia... ale widzi, że ta ofiara była daremna. Jagusia, Józka, gdy ze swatami przysyłał, odprawiła... może już teraz ją brać — może jej powiedzieć, iż kocha ją szczerze — ale... ona bogaczka, a on?...

Powiedzą wszyscy, że jej majątkiem chce siebie wspomagać. Powiedzą wszyscy: »innych uczył, aby cenili ludzi dla ich duszy i serca, a sam — sam do bogatej zaszedł.«

Jeďnak — miła mi ona. Cóż robić?... Musi czekać, aż wtedy się ożenie z nią, gdy ojcowiznę wydobęde i ojcom moim znów chatę wróce...

Musi czekać — powtórzył Michaś jeszcze raz, a echa od lasu niby żałośnie pytało:

— ...czy tak będzie jak dumas?

Łudzkie serce roi o szczęściu, łudzkie myśli o niem marzą, a dłoń Boża je daje i rozrzuca.

Któż wie, czy Michaś szczęście to otrzyma?..

* * *

Nareszcie wykazało się w sądzie wiele fałszerstw żyda Abramka i jego współników. Przekonali się sędziowie, jak on z pożyczonych kilkunastu reńskich zrobił parę stówek, jak krzywdził biednego Grześka, jak go po prostu rozpijał, a Grześko nie umiejąc czytać, dawał podpisy na fałszowane... aż i żyda zamknęli, a chatę oddali Mrozom.

Można sobie wyobrazić, jaka radość była. Co się zaś tyczy roli, to trzeba było czekać na jesień, aż żyd zbierze, co zasiał.

Stary Mróz płakał z uciechy i matka pocziwa całowała progi chaty — do ścian się tuliła, jakby do matki własnej.

Błogosławili teraz Michasia i dziękowali mu stokrotnie.

— Mówię wam, kumo, opowiada Mrozina, na świecie niema lepszego syna, jak Michaś. Powiadaliście wszyscy — wyuczony na pana, ani was nie poszanuje, ani się do was nie przyzna. A co? zła nauka? złe dziecko?... Wasz Wicek ile razy was zaklął na pioruny? złe duchy?... a mój, niby jakieś anielskie serce, jeno pokornie prosi, a pocieszać by rad na każdym kroku.

Kuma na to śmiało:

— My już to wszystko uznali, że was Bóg opatrzył anielskim dzieckiem... Kto go już we wsi nie kocha? Kto go nie chwali?... A nawet i tacy są, co się przy nim poprawili...

— Czy nie wiem? Przecie i mój Józek jaki był niedobry, a teraz, prawa ręka nasza...

— A Jan Guzbaluk?... Z pijaństwa przeszedł do trzeźwości. Od żyda poszedł do nauki... Teraz w kasie jaka pomoc! Czy to na pogrzeb, czy na chrzest, na podatek, czy na co innego, pożyczą we wsi każdemu — i na mały procent.

— Tak i my przez jego naukę do chaty się wrócili, bo jakby to było dać pisarzom, a adwokatom żydowskim, byłiby nas zjedli do reszty.

Mrozina uradowana opowiadała kumie, jak u Michasia w izbie ładnie i czysto, jak on oszczędza każdy cent, jak on i ojca już od wódki odzwyczaił, a wreszcie rzeczy z uśmiechem:

— Dokąd będę żyła, będę Bogu dziękowała za to dziecko najlepsze!...

W tem nadgiega Franuś, najmłodszy syn Mrozinej i woła z płaczem:

— Matulu!... Michaś zabity!...

— Matko Boska! ratuj! Co mówisz?...

— Jak nieżywy leży! — Znaleźli go!...

Mrozina omłdłała. Zbiegły się kobiety, ratują, trzeźwią ale do życia nie mogą się jej docucić...

We wsi gwar — wrzawa — ludzie biegają — śpieszą się... płaczą i zawodzą...

VIII.

A Michaś leży na łóżku — z głową zranioną. Krew — z ust mu się toczy, twarz biała jak płótno.

Nikt nie wie, co się stało?...

Obaczył go polny na drodze pod krzyżem, gdzie Michaś lubił chodzić co wieczora, jak leżał we krwi...

Zdaje się, że żyje, ale wątle to życie.

W dwie godziny przybył lekarz i powiada:

— Nadzieja jest, ale słaba. Chociaż zdrowia mieć już nie będzie... Jakiś morderca uderzył go w czaszkę — a piersi są przebite...

Okropne rzeczy!...

Płacz we wsi, jakby za ojcem. Dzieci nie chcą odstąpić od szkoły. Stary Mróz płacze, jak dziecię, a Mrozina, przywołana ledwo do życia, w gorączce leży i tylko woła Michasia...

Komisya sądowa zjechała. Bada — pyta — szuka... Nikt nie wie, co się stało. Nie widziano nikogo. Czaszy zbójów i Doboszów minęły.

Niejeeden tylko mruczy z cicha:

— Zadarł się z żydami... Kto wie?...

— Wypędził żydów ze wsi... Kto wie?...

W tydzień — Michaś już był przytomny. Sędzia go pyta, jak było i co... ale Michaś odpowiada krótko:

— Nic nie wiem.

— Jakże? nie pamięta pan nic?...

— Nie wiem.

— Może pan kogo widział na drodze?

— Klęczałem w modlitwie... raptem mnie uderzono.

Dwa tygodnie przeszło, a na ślad żaden nie można było natrafić.

Dopiero — trzeciego tygodnia zdarzyła się rzecz niespodziana.

Poczęto kosić owies na niwie z pod krzyża. Kosa za-brzęczała. Patrzą, aż tu duża blaszanka, jak z mleka. Na blaszance znak krwi...

Zanieśli do wójta. Cała wieś się zbiegła. Wszyscy poznali, to od Morðka, co jest pachciarzem i mleko wozi do miasta.

* * *

Rozmaicie ludziska gadałi, bo ten myślał tak, tamten inaczej.

A sąd sprawę badał i badał.

Tymczasem Michaś powoli do zdrowia powracał. Osłabiony był bardzo, a smutny i żałośny.

Pocieszali go przyjaciele i krewni, ale on powiadał:

— Czy nie martwi to człowieka, gdy widzi, jak ma wielkich wrogów w około siebie? Pozwoliliśmy złemu wzrosnąć, a teraz go wyrwać nie łatwo...

— Niechno wszyscy przyjdą do oświaty, to sobie dadzą radę... Kiedyś ty jeden potrafił wioskę przemienić, to setki ludzi oświeconych odmienia w kraju całym i narodzie niejedno złe na dobre.

— Daj Boże!... Ale mnie się zdaje, że nie rychło to będzie!...

— Kto wie?... Gdyby tak w każdej wsi znalazł się Michaś taki, jaki u nas — poszłoby rażno... Michaś westchnął i milczał.

Czas mijał szybko.

Zbliżała się jesień. Opały liście z drzew. Odleciały ptaki. Niebo zasnuło się chmurami i mgły rozwiesiły się nad ziemią.

W szkółce Michasia pusto i głucho. Działwa nie zbiera się na naukę, bo profesor chory — i coraz bardziej na siłach zapada.

W Psiej Wólce odmieniło się wiele na dobre. Sklepik chrześcijański coraz lepiej się rozwija. Na herbatę schodzą się gospodarze, a wódka to już tak ledwie temu lub owemu zapachnie.

Mrozowie starzy szczęśliwi, bo już i zagony odebrane od żydów, ale cóż — gdy Michaś gaśnie jak ta lampka, co ledwie migoce świecątkiem...

Już wszyscy stracili nadzieję...

Lecz Bóg miłosierny, w którego rękach życie człowieka, pocieszył...

Choroba przeważała się na lepsze.

Michaś zdrowie odzyskał — a z jego zdrowiem wróciła i praca i szczęście...

* *

W rok potem — było wspaniałe wesele Michasia z Jagusią.

Cała wieś starała się o to usilnie, aby dać podarki weselne kochanemu nauczycielowi.

Jedna gosposia przygnała cieliczkę, druga przyniosła trzy kurki czubate; inna nawet garczków i misek nakupiła na odpuszcie. A wójt z radą uchwalili dać pod dużą szkołę gminnego gruntu cały morg, a szkołę wystawić na drugie lato...

Teraz już nie szeptała Michasiowi żadna wierzba żałośnie: idź stąd! idź!... ani nie mówiło żadne serce — pan ty! — pan! nie chłop...

Kochali go wszyscy i szanowali...

A na tem miejscu, gdzie stała karczma Abramkowa, postawiono krzyż dębowy.

I wzniosły się ramiona cierpiącego Chrystusa za naród w grzechach tonący... a każde słońce, wschodzące co rano, ozłacało cierniową koronę Zbawiciela i każda rosa wieczorna płakała bólem na ramionach krzyża...

I mówi Michaś patrząc na to:

— Trzeba, trzeba iść dalej! — Jeszcze jest takich wiosek
dość, gdzie trzeba walić karczmy, a wznosić krzyże, zwalczać
ciemnotę, zabobon, przesąd i nędzę — a zaszczipać oświatę
w imię Chrystusowej prawdy i miłości.

* * *

Oby takich nauczycieli było jak najwięcej!



BIAŁA SUKMANA

Opowieść z czasów Kościuszki.

W wsi — jakby na wielkie święto!...

W polu żadnej roboty nie ma, a ludziska poubierali się całkiem, gdyby do kościoła.

Nawet i w kościele choinami drzwi umajono, a przy wielkim ołtarzu złożono wieńce.

We dworze, na ganku, stoi siwy pan Lipicki i oczyma śledzi, czyli na gościńcu nie dojrzy jakiego ruchu.

Lecz jeszcze cicho.

Słońce już podeszło wysoko.

Skowronki nad czarną rolę trzepocą skrzydłami, a dzwonią piosenki radosne, iż zdaje się dusza ludzka od nich poweselała.

Ej! skowronku!... Słodka pieśń twoja dla Polaka — rolnika, ale stokroć miłsza i weselsza ta, którą wiatr rozniósł po krakowskiej ziemi, iż w Racławicach, polskie kosy Moskaliskom skórę dobrze przetrzepały, a i armat dwanaście dały Kościuszce.

Jak się wieść o tem rozeszła, zdawało się, że słońce na niebie jaśniejsze i woda w Wiśle czystsza i woń z lasu miłsza i szczęśliwsze serca biją w piersiach ludzkich.

To też Żytnikach dziś jakby święto! Bo Naczelnik Kościuszek ma tędy przejeżdżać ze swoim ludem.

Wprawdzie parobczaków i młodych gospodarzy mało w Żytnikach, bo ci już od tygodnia na wojenkę poszli, ale starsi ludziska, kobiety i dziewuchy, a młode chłopaki, to wszystko zbiera się pod lipami we dworze, aby Kościuszkę powitać.

— Zaśpiewacie mu z całej duszy, gdy nadjedzie, powiada pan Lipicki do włościan.

— Jużci!... Lepiej jakby na weselu, odpowie Jasiek Duża, co niby jeszcze nie stary, ale nie poszedł z kosą, bo kulawy.

— A wy, dziewczęta, posypiecie mu kwiaty, bo i zasłużyl, aby go witać serdecznie.

Dziewczęta pokłoniły się, uśmiechając się radośnie.

— Nie wiść na gościńcu nikogo?

— Maćku!... nie wiść?...

A Maciek, co się, jak kot, wydrapał na topolę z srebrną kosą, wyciągnął szyję, oczy wlepił w ść, wreszcie mówi:

— Coś bieleje z ść...

— Co mówisz?... wiść?...

— Oho!... sunie się chmara łu, jakby wąż biały — jać! jać!...

— Jać! jać! poczęto wołać, szeptać, powtarzać jęni za ęgugiem, a niektórzy poczęli się rwać naprzód, inni nawet płakali z ść.

Pan Lipicki, który młode lata spędził na ęgugich wojnach, który niewolę Ojczyzny czuł w sercu jak ęgugą ranę, który na myśl o wygnaniu Moskali z Ojczyzny łzami ść się zalewał, teraz usłyszawszy, iż Kościuszko jędzie, podniósł się, wyprostował, wyciągnął ęzące ęłonie w górę i poczęł mówić ęo łu:

— Bracia!... Dzieci moje!... I wy Ojczyznę miłujecie i wam ona Matką — i wam jej ść, ść prawdziwem... Powitajcież więc gońnie i uczciwie obrońców wolności... Podnieścież ręce wasze! uchylcie czoła przed tymi, którzy ęo walki poszli. Niech im serca zapłoną jeszcze ęgugszym zapalem, niech i wam, na ęgugo ta chwila w pamięci zostanie!

— Wiwał! huknęła gromađa, ustawiając się ođ bramy we ęwa szeregi.

A Maciek z topoli powiळा:

— Już są za ęoliną!...

— Już weđle gaju brzoźowego!

— Już znać chorągiew czerwono-białą!...

Ze ǳworu wybiegła panienka.

Niesie chleb i sól na tacy, aby ją przy ganku podały ǳiewczęta wiejskie, co to u panienki uczą się czytania, pisania i szycia.

Pani Lipicka, staruszka już siwa, na stole na ganku zastawia śniadanie.

A ten Staszek Rybka, co niby u pana za furmana, co to ma matkę chorą, taką starowinę, że ledwie łązi, co to we wsi najżwawszy i najładniejszy parobczak, tak teraz jakby ocieżał czy ogłupiał — stanął w miejscu i ani się ruszy.

— Staszek! — woła pan — biegajże, aby muzyka z tej strony oǳ kapliczki stanęła.

— Staszek! woła panienka żywo — poszlij ǳo księǳa proboszcza, niechże ǳwony nasze powitają wojowników!

— Staszek!... mówią starcy zebrani razem, możeby naczelnikowi rzucić po groszu na ofiarę ǳla Ojczyzny!

A Staszek stoi — oczy gǳieś wlepił ǳaleka i słucha, a słucha.

Śpiewają!...

»Bądź pozǳrowiona Panienko Marya!«

Wyrażnie już słychać!

»Polska korona, sroǳe utrapiona,

»Niechże nie będzie przez Cię opuszczona,

»Z Twojej Opieki przezacnej przyczynę,

»Syn Twój kochany niech oǳpuści winy!

Już wiatr echo ǳonosi, już się nuła piosenki ściele naǳ polami, już tu ǳolata, już, już...

»Bo nieprzyjaciel na to się usaǳił

»By sługi Twoje z Ojczyzny wygłaził,

»Niechżeż już koniec tego utrapienia!...

.

Maciek z ǳopoli wrzaśnie z całej siły:

— Już na moście!

A tu — jakby serca zamarzły, jakby oddechu nie było, myśl i uczucie każdego poleciało na powitanie zwycięzców.

Staszek bladły — podszedł do bramy i patrzy...

Idą — idą — a weseli, jakby szczęścia skrzydła nad nimi się zwieszały, a piękni, jakby ich chwały tęcza malowała, a pogodni, jak gdyby nigdy też żalu i smutku nie znali...

Bo walka o wolność narodu, to służba wielka i szlachetna, a kto się poświęca wielkiej sprawie, ten serce ma bohaterkie... I gdy się na wzgórku pokazała chorągiew czerwono-biała, gdy zabłyśły za nią kosy jasne i białe sukmany zajaśniały na drodze z wieżyczki kościelnej zadzwoniły dzwony radośnie i z nimi razem ozwała się pieśń serdeczna ludu przed bramą dworu czekającego, wtórująca pieśni wojowników.

»Niechże już koniec tego utrapienia!«

Z biciem dzwonów, z pieśnią kobiet i dzieci, ruszyli wszyscy najpierw do kościoła... a gdy kapłan pobłogosławił, i gdy Bogu cześć oddano, dopiero na odpoczynek do dworu... Posypały się białe kwiaty na Naczelnika kochanego, który jechał na siwym koniu, a serce miał przepełnione wielką radością...

Pieśń radośna zabrzmiała.

Pochyliły się wszystkich głowy przed tym szeregiem ludu idącego, który miał już na czole sławę obrońców Ojczyzny.

Ugoszczono drogich gości. Ile tylko pomieścić mogły pokoje we dworze, tam wprowadzono, reszta została na ganku i na podwórzu... Staszek, ujrawszy Kościuszkę, oczy w niego wlepił, dech w piersiach zatrzymał, ręce do ziemi pochylił...

— Miłościwy... Jaśnie Wielmożny!... Królewiczu nasz!... szeptał chcąc widzieć o coś prosić, ale nie umiał słów dobrać, nie umiał wypowiedzieć, czego żąda...

Kościuszek to zauważył, uśmiechnął się, a kładąc rękę na ramię chłopaka pyta:

— Chcesz ze mną rozmówić się?... Ależ, mój kochany, ani ja Jaśnie Wielmożny, ani ja Królewicz — powiedz mi: bracie! i mów, czego pragniesz!

Ja — mam... mam...

Zająkał się, schylił się znów do ziemi i zaczerwieniony nie ma odwagi mówić.

Zauważył to pan Lipicki, więc zbliża się.

— Staszku!... Cóż się boisz?... Chcesz iść z Naczelnikiem?..

A na te słowa Staszek jakby mowę nabrał. Wyprostował się i powiada:

— Jakbym nie poszedł, serceby mi z żalu pękło!...

— Więc dobrze! Biorę cię. A masz kosę?... rzeknie naczelnik uśmiechając się... A chcesz, by Polska była wolna?...

— Boże Wielki!... Jużbym nie chciał ani jednej kropli wody wypić z krynicy, gdybym na nią nie zapracował walką za Ojczyznę. Jużbym nie chciał, ani jednego dnia w złotym blasku słońca przeżyć, gdyby to słońko nie widziało mnie z wami i przy was!...

— Dzielne serce!... szepnął rozrzuwiony Kościuszek do pana Lipickiego. — Takich w Ojczyźnie naszej miliony — i możesz się niewola utrzymać?...

— Wielmożny Panie, mówi Staszek, jeszcze raz chyląc się do kolan Kościuszki... zaraz mnie weźmiecie?...

— Za godzinę iđziemy dalej — tylko się pożegnaj uczciwie, a kosę w rękę!... Pierwszy krok do rzucenia niewoli jest — odważyć się być wolnym!

Staszek wyszedł z pokoju jak wpół pijany z radości.

Trącił Bartka, co mu zaszedł drogę, nie widział panienki, która go o coś pytała, nie słyszał śpiewania kosynierów na ganku, jeno jak strzała do wsi.

A za nim płynęła radosna pieśń ludu, odpoczywającego po marszu, a przed nimi goniła myśl radośna służby dla Ojczyzny, a nad nim szła ciemna chmura, która nie wiedzieć skąd na pogodną dotąd napłynęła niebo...

Starowina Rybkowa oczy zalała łzami, a ręce załamała z smutku.

— To i ostawisz mię? ostawisz?...

— Matulu!... I wy matka i Ojczyzna matka... dla was był ja dotąd, ale teraz dla niej. Ona mnie woła!

— Ona ma tysiące dzieci, a ja — jeno ciebie — jeno ciebie. Jak to jedno słońce na niebie... i tak ostawisz mię? —

— Nie płaczcie — nie wstrzymujcie, bo mi serce z żalu pęknie... Żebyście byli tam, a widzieli, jak nasi do boju za wolność idą, tobyście mi sami rzekli: — idź!...

Rybkowa nie mówi nic. Wyjęła ze szmatki ze skrzyni trochę złożonego grosza, wyjęła nowiušką sukmanę białą Staszkową, dała mu krzyżyk od koralu na piersi i medalik Matki Boskiej Częstochowskiej i szepce spokojnie:

— Niech cię Bóg błogosławi i prowadzi szczęśliwie, a jakbyś wrócił — to — idź — na cmentarz — tam — pod jawor — ja — tam będę... Idź!

Staszek padł jej do nóg.

— Jeszcze mnie powitacie szczęśliwie, jeszcze mi będziecie sprawić weselisko, jeszcze będziecie słuchali, jako pocznę opowiadać o naszej wojnie, o naszym wodzu Kościuszcze i dzielnych wojownikach!... Pan Bóg nad nami! On nie da zaginać!

— Weźże te grosze — tyle mego majątku!

— Nie trzeba, Matulu!... Nie pieniędzmi dopomogę Ojczyźnie, ale moją służbą... Ostańcie z Bogiem!

— Idź z Bogiem!

— Matulu!... nie płaczcie!

Wypadł jak ptak z klatki i pogonił do dworu, bo już trąbkę słysząc — zbierają się...

Rybkowa przed obrazem Maryi pada, ręce wznosi i modli się gorąco.

Już jej nic teraz na świecie nie zostaje — jeno pustka, a cmentarz... Już pożegnała swoje szczęście... Tyle było jej życia, co to chłopię, ot i jego niema.

Pochyliła głowę, w oczach jej ciemno, serce jakoś niby kamienieje...

Wtem z wieżycy kościoła ozwały się dzwony. Jak witały przybywających gości, tak teraz ich modlitwą swoich serc spiżowych żegnają.

I od dworu wysunął się długi pas białego ludu z kosami w rękę na Moskali. I idzie z nimi wesoła serdeczna pieśń:

»Pokaż łaskę swą nad Polską koroną!«

I niebo nad nimi cudowną pogodą się zwiesza niby płaszcz Niepokalanej Opiekunki. I żegnają ich topole przydrożne, wysmukte... I dzwony z kościoła mówią, jak ojcowie dzieciom:

Za wolność! Za wiarę! Za szczęście narodu! Bić Moskali bić! Bić Moskali bić!

* * *

Na drugi dzień — o świcie, zbierało się wojsko Kościuszki do marszu. Spoczywali w lesie, chociaż noc była chłodna i deszcz drobny mroczył.

Spodziewano się Moskali spotkać niedaleko, więc wszyscy spieszyli się, aby wyjść dalej, bo tu były moczary, a od wiosennych deszczów wody stały wokoło...

Kościuszko, oparty o drzewo rozmawiał z penerałem Małalińskim, bo też i ważne rzeczy mieli do opowiadania.

W Warszawie Kiliński, szewc, natrzepał skórę Moskalom. Generał Jasiński na Litwie dzielnie się popisał i z Wilna Moskalów wygnał.

A tu nadeszła wieść, iż pruski król zebrawszy swoje niemieckie wojsko, wybrał się na pomoc Moskalom.

— Zlatują się kruki na nasze pola, powiada Małaliński, ale — nie założą tu gniazd swoich!...

— Sprzysięgły się potęgi obce na naszą wolność — odrzeknie Kościuszko — lecz nie wiedzą, w czym nasza siła i moc spoczywa.. Byleby jedność i zgoda nas wszystkich złączyła!...

— Zapewne! Myślą, iż po tylu bojach krwi męznej, ry-cerskiej i szlachetnej już brakło!

A Kościuszko, wskazując na kosynierów, mówi z radością:

— Oto — przyszłość narodu, który pragnie odrodzić się!...

Z nimi — z tymi w białych świtach, w tych sukmanach nam
drogich, z tymi, co nas i żywią i bronią, co nas krzepią i
umacniają swą wiarą na duchu, z tymi tylko połączyć się
w czyn — a Polska pęta zrzuci...

Gdy tak rozmawiali zbliżył się Bartosz Głowacki:

— Naczelniku najmilejszy!... Stała się rzecz jedna — ten
chłopak, co wczora z Żytnik z nami poszedł, wracać musi.

Staszek błady — wysunął się z za Bartosza i pokłonił
nizko.

— Cóż takiego?... Stracił ochotę?...

— Nie! miłościwy Naczelniku! Jeno, dostał wieść smu-
tną... matka mu — umarła...

Staszek łzy ociera rękawem.

— Jakto?... Chora była?... Cóż takiego?... A chłopak opo-
wiada smutno:

— Jak mnie pożegnała — tak już — z miejsca się nie
ruszyła... Takie miała serce dla mnie, że kiedy ją ostawiłem
dla drugiej Matki-Ojczyzny, nie mogła żyć bezemnie...

— Biedna!... szepnął Małaliński.

— O!... I więcej takich w Polsce będzie ofiar... bo ofia-
rami największemi — tylko zdołamy wolność odzyskać!... Więc
wrócisz do wsi?...

Staszek, mnąc czapkę w rękę, odpowie:

— Wróć — jeszcze trumnę matki wezmę na moje ra-
miona i do mogiły pod jaworem zaniosę — jeszcze jej ziemi
na trumnę dorzucę — jeszcze jej krzyżyk na mogile postawię —
ale, Panie Naczelniku... ja tylko o urlop proszę...

— Nie zostaniesz we wsi?

— Kiedyś już pierwszą matulę stracił — to drugiej słu-
żyć będę sumiennie... Bóg widzi... Kochałem tamtą — kocha-

łem ją, bo jako święta mi była, ale — odszedłem od niej — dla — Ojczyzny... wspólnej nam wszystkim matki!...

Słowa stłumił płacz rzewny. Piękna twarz chłopaka zbłądła, czoło zarysowało się silnym bólem...

Kościuszek obie ręce położył mu na ramionach.

— Zaprawdę — wielką ofiarą rozpocząłeś służbę dla Ojczyzny, ale Bóg ci to policzy jako cnotę, bo poświęcenie dla dobra narodu, to ofiara nie bez plonu... Idź!... a gdy będziesz mógł, wracaj!...

— Powróć, Panie Naczelniku — jeno pozwolicie. Niech tu kosa moja ostanie z wami! I ta — ta — sukmana moja odświętna... Nie iść mi w niej na pogrzeb, do trumny matuli, gdy ją wdziałem na służbę chwały Ojczyzny...

— Nie gniewajcie się, Panie Naczelniku, żem taki śmiały, jeno co czuję to powiadam.

Kościuszek na czole zarysowała cię głęboka rysa. Zawsze tak było, gdy go silnie coś przejęło lub wzruszyło.

Staszek schylony łzy ocierał, a nad nimi gałęzie drzew, ledwie w pąkach zielonych, zdawały się pytać — czemu smutek między wami?...

— Staszku!... rzekł Kościuszek po chwili — daj mi swoją sukmanę! Wielka miłość Ojczyzny powołała cię ze wsi — wielką miłością matki serce twe płonie — daj mi tę sukmanę! Niech ja — widokiem tej białej sukni — wiodę i zachęcam rodaków do wielkich poświęceń!...

— Naczelniku!... woła Bartosz — i wybyście się po naszymu, po chłopsku ubrali?...

— Miłościwy Panie!... mówi Staszek, czyż ta chłopska sukmana godna tego?

— Lud zwyciężył w Racławicach! Lud zrywa pęta Ojczyźnie!... Lud Ojczyznę kocha, jako najmłodsze dziecko, ale kto wie, czy nie najgoręcej!... Dajcie mi sukmanę waszą. Jam takie samo dziecko polskiej wsi, jak wy. Jam takie samo dziecko roli i pracy, niedoli i trudu. Niech wiedzą w Ojczyźnie, iż

się niema co wynosić strojem, ani pychą, ani rodem, jeno pracą i cnotą...

— Wiwat! — Zagrzmiało tysiąc głosów na widok Kościuszki, który wdział na siebie sukmanę Staszka, bo choć to był młody chłopczyzna, ale silny i rostry, więc sukmana na Kościuszcze leżała jak malowana...

— Masz tu za sukmanę odemnie pierścień złoty — mówi Kościuszko — a teraz, weź od Bartosza jaką sukmanę z tych co na wozie i idź do tamtej matki... pomodłę się za nią...

— Paniel!... całując rękę Naczelnika powiada Staszek — to ostatnie grosiwo, co mi Matula na drogę dała, niech i to będzie dla Ojczyzny!...

— Idź! Synu! idź!... Nie bój się!... Ja ci sukmany nie splamię nieuczciwym czynem. Nie bój się, ludu mój drogi, ja ci nie sponiewieram twego stroju narodowego. Dziś — sukmana wasza, to jak nowy znak szlachectwa i nowy mundur pułków obrońców wolności!...

Ozwały się trąbki — rozwinęła się chorągiew — zaparskały koniki. Na niebie zabłysło jasne słońce wiosenne i gdy nasi z pieśnią na ustach pociągnęli na północ — Staszek sam jeden szedł drogą na południe...

Szedł szybko. Cichy wiatr wiosenny szeptał mu:

— Nie masz matuli — nie masz — serce jej pękło — nie ma jej — a wtedy z oczu chłopaka płynęły łzy piekące i gorzkie...

Lecz echo pieśni brzmiącej za lasem mówiło mu wtedy co innego...

— Widzisz?... Wszystko wokoło — to Twoja Matka — Ojczyzna! Te zagony, co się rosą błyszczą, te dymy co z chat ulatują, te drzewa, co poczynają rozwijać pęki — te mogiły, co się ścielą na cmentarzu... a ta Ojczyzna żyje — żyje — żyje!...

Staszek szedł prędko.

Tam — w chacie czekała w białej trumnie jego matula siwowłosa, niema, biedna, cicha...

Tu — wołała go Ojczyzna — Matka nieszczęśliwa, rozszarpana, zgnębiona, mieczami wrogów kaleczona... a pieśń kosy-
nierów była coraz cichsza — a cmentarz wioski coraz bliższy...

Hej! gdzie już ta wiosna, co wyprowadziła w pole srebrne
kossy ludu i rozkwitła białymi kwiatami sukmanek pod Racław-
wicami?

Byłóż ci to było wiosenne wołanie, wiosenne śpiewanie,
wiosenne niebo, pełne pogody i wesela!

Od tej pory — potoczyły się dni długim sznurem koralu...
Nie jeden raz polatała się krew naszych, nie jedną mogiłę, gdzieś
na polu usypano, nie jeden raz szły po kraju wieści, iż walka
wre i nie ustaje.

Staszek odznaczył się walecznością. Z chłopaka tego wy-
rastał prawdziwy bohater. Kościuszek polubił go szczerze, a
sukmanę jego już nosił zawsze.

Mówił też nieraz: — Dał mi ją chłopak, który kochał
szlachetnie matki obie, a gdy szedł na służbę jednej — dru-
giej musiał sypać mogiłę...

Nadszedł dzień 8. czerwca 1794 roku, Kościuszek z swo-
jem wojskiem stanął pod Szczekocinami, zbliżając się ku War-
szawie. Naprzeciw polskiego obozu rozłożył się Moskal Deni-
sów, generał, ze swoją wielką i dobrze uzbrojoną armią.

Do Kościuszki przybył przyjaciel jego serdeczny Niem-
cewicz, który w Ameryce razem z nim walczył o wolność
ludów, zgnębianych przez Anglików.

Kościuszek wszystkim serca zagrzewa zapalem, przema-
wia gorąco do braci, aby trzymali się mężnie, a po modlitwach
i pieśni pobożnej bojowej rozpoczyna się walka.

Kule grają dziwną piosenkę — piosenkę śmierci, która na
żniwo przysła i jak najwięcej chce kłosew ukosić.

Szczęk broni — rozkazy dowódców, jęki rannych to
wszystko razem łączy się, splata leci pod niebiosą, jak tych
gromów huk i piorunów gniewy, które nigdy nie przynoszą
szczęścia, a zawsze sprowadzają smutek i trwogę.

Kościuszek na przedzie!... Za nim wali się lud z kosami. Moskale padają jak makówki.

— Staszek!... na lewo! ze swoimi!... woła Naczelnik... tamto skrzydło przeciąć, rzucić się na nich!... odważnie!...

Staszek rwie się na lewo, a pod Kościuszką koń pada.

— Jezus! Marya!... krzyknęli najbliżsi.

— Ratu!... zawołał Niemcewicz, aby podano konia Naczelnikowi.

Staszek zaś zdyszany, dymem okopcony, obryzany krwią, wraca z tamtego skrzydła, rwie się znów na wprost, bo Moskale wrębiają się w szeregi naszych, a już dłoń jego prawie kosy utrzymać nie może — z ramienia krew się sączy — siły wyczerpują się.

Moskali jest moc straszna... Walą z armat — sieką szablami, wiercą kulami, aż niebo osłoniło się dymem i kurzawą, jak gdyby na to patrzeć nie chciało.

— Ojczyzno! Za twoją wolność! — woła Kościuszek, pędząc na koniu. Za mną bracia!

— Wiwat! — powtórzyło wojsko.

Staszek nadbiega co tchu.

— Panie Naczelniku, tam walą się okrutną siłą, trzeba ich przeciąć!

Spojrzał Naczelnik i widzi, iż istotnie wrogowie wciskają się klinem w nasze szeregi...

Już chce skierować się ku nim, gdy w tej samej chwili kula pada tuż prawie w same piersi konia.

Koń rzuca się, Kościuszek chwieje się...

Staszek chwytą w ramiona Naczelnika, zasłania go — lecz puszcza natychmiast...

Kula wymierzona w Kościuszkę rani Staszka w głowę...

Krew bryzła — i na twarz Naczelnika i na jego sukmanę.

Rzuca się Kościuszek dalej — podają mu drugiego konia.

Staszka podnosi kosynier stary. Walka gorąca — nie ma czasu ratować rannych!

Już — już — zdaje się, zwycięstwo nasze pewne, Moskałe cofają się — wiść — tak jest — idą tędy po za wzgórze.

— Naprzód!... woła Kościuszko...

Męstwo rośnie.

Wtem — pokazuje się wojsko pruskie.

Król pruski Wilhelm przychodzi na pomoc przyjacielom swoim (bo on z Moskalami w wielkiej przyjaźni) i wiedzie z sobą 24.000 wojska.

Niestety — zwyciężyli wrogowie, bo ich było trzy razy więcej, jak naszych...

Ciemną nocą — musieli się nasi cofnąć, bo już i sił brakło...

Kościuszko był lekko ranny. Dość naszych padło, dość jęczało z bólu i krwi upływu...

Potem to — po bitwie pod Szczekocinami, zajęli Prusacy Kraków, a Kościuszko ze swymi idzie pod Warszawę...

Pod Warszawą i w samym mieście było 50.000 wojsk obcych, a Kościuszko wszystkich żołnierzy miał tylko 16.000.

Osiem tygodni trwała walka, zanim z Warszawy wygnano wrogów, lecz przecież udało się to naszym...

Wrogowie ustąpili, a rodacy z uniesieniem radości witali wjeżdżającego do miasta Naczelnika, w sukmanie białej — z zastępem kosynierów dzielnych a odważnych.

— Hej! Hej! Gdzie te czasy? — Gdzie?...

* * *

Ranny Staszek — przeżył czarne chwile. Bo nie bolały go rany, ani smuciło, że twarz miał szpetnie skaleczoną, lecz cierpieniem przejmowała go ta myśl, iż nie może bić się.

Jednego dnia, wieczorem, w Warszawie wybrał się na kwatery Naczelnika.

Stanawszy przed Kościuszką powiada.

— Miłościwy Panie!... już na tyle pozdrowiałem, iż darmo

leżeć nie mogę, chociaż się jeszcze bić nie potrafię, bo ręka kosą nie machnie, ale proszę was — Panie Naczelniku, pozwólcie mi być przy was!

— Spoczywaj jeszcze dziecko dobre, spoczywaj, mizerny jesteś, widać, żeś chory. Za mnie to cierpisz boś mię zasłonił przed raną.

— Nie mogę, panie — jakiś głos w mej duszy ciągle woła i mówi: — Nie czas spoczywać — nie czas się pieścić!

— Za tydzień ruszymy. Pójdiesz przy mnie... A widzisz? Twojej sukmany nie zrzucam — miła mi!...

— Ale jak wojnę skończymy, jak zwyciężymy wrogów, to mi ją, Miłościwy Panie, dacie — abym miał pamiątkę dla całej wsi...

— Pójdiesz w niej do ślubu, a mnie na wesele zaprosisz — dobrze?...

Uśmiechnął się smutno Staszek — wspomniął chatę, kościółek, cmentarz i — to granie dzwonów co matkę żegnało boleśnie, kiedy już nieśli trumnę od kościoła, kiedy już byli coraz dalej od chaty, a bliżej cmentarza...

Od kwietnia do października — to niby nie tak bardzo daleko, wszak to nie lat parę, wszak to nie pół życia ludzkiego, a przecie ile można przeżyć!

Jakże inaczej było, gdy się te pączki rozwijać poczynąły, a jak inaczej teraz, gdy żółtkłe liście poczynają sypać się na ziemię...

Jakże inaczej było, gdy się to ptactwo z dalekich stron do ojczyzny zbierało, a jak inaczej teraz gdy odlatuje!

Jakże to zdawało się z wiosną, że naród cały, kraj cały, cała ziemia polska stanie do pomocy w walce, a przecież — Kościuszkę ma wojska mało — i coraz mniej...

Toż to taka służba dla wolności? To to taka ofiara dla najnieszczęśliwszej Matki?...

Więc wrogowie nagromadzili sił coraz więcej, a Polaków coraz mniej?...

Lecą suche liście z drzew wysokich i deptają po nich ludzkie stopy...

Poczynają ludzie rwać się do wielkich czynów, ale nie umieją wytrwać!...

O 20 mil od Warszawy — 10. października jest bitwa pod Maciejowicami.

Męstwo i zapał naszych nie ma granic. Kościuszko jest wszędzie, woła, prowadzi, zachęca, uczy — kieruje.

Staszek chociaż osłabiony, ze swoją kosą stoi na czele...

— Matko, Ojczyzno! — woła ze łzami... ratuj się i żyj!... bo siła na ciebie, bo cię jak kruki żywcem szarpią.

A w uszach mu dzwoni, niby echo tych dzwonów, co mu grały żałobną pieśń — ostatni raz...

Kościuszko stanął, otarł zmęczone czoło — odetchnął chwilę i dalej leci...

A śmierć kosi i kosi.

Ma ci ona żniwo na tej polskiej ziemi, już od dawna — ma ci ona już tu dość żeru i pastwiska — ale przecież i to się raz skończy...

Nie będzie Polska cmentarzem, ani więzieniem!... Nie będzie Polska podnóżkiem pod stopy cara!...

— Pomoc nie przychodzi — wrzasnął adjutant — z rozpaczą.

— Poniński z 4-ma tysiącami stoi, a nie idzie na pomoc — mówi drugi.

Staszek rozumie, iż źle jest...

Naczelnik znów jest przy nim, walka już ostra — Moskale walą się tłumem. Rąbią — sieką — tną — deptają...

W godzinę potem — mrok ciemny zastał już ciszę pod Maciejowicami...

Kościuszko ranny w niewoli.

Setki pobitych na pobojuwisku — rannych odzierają z szat — dobijają, męczą — żywcem zasypują.

Co się stało z Staszkiem, nikt nie wiedział...

Przeszukali, pytali, nikt nie wiedział...

Noc czarna przyszła, jak trumna żałobna nad ciała zabi-

tych, nad tę ziemię krwią zlaną, nad te bole i łzy — wziętych do niewoli.

A nad Polską — rozsnuła się czarna, ciężka, bolesna niedola.

Minęły lata...

Ot! wlokły się, jak ołowiane, bo zawsze w smutku dni, miesiące i lata wloką się ciężko a długo...

W Żytnikach zmieniło się wiele.

We dworze inni ludzie — we wsi inni ludzie, a i na cmentarzu już inne mogiły...

Tylko chaty zostały te same, te same drzewa jeszcze szumiały gałęziami i te same gwiazdy patrzyły na ziemię, co dawniej.

Drogą tą samą, którą niegdyś wjeżdżał tu Kościuszko ze swoim ludem kochanym — idzie człek biedny, pochylony, poorany z marszczkami.

A ciężko mu.

Jak gdyby niósł górę nieszczęść na sobie! jak gdyby miał w sercu morze łez słonych, jak gdyby ból wpił się w niego tysiącnymi szponami...

Niesie w ręku owinięty starannie tłumoczek i przyciska go do siebie, jakby był mu najdroższym skarbem.

— I gdzież wybraliście się, pyta wieśniak, patrząc na idącego... wiść po was, żeście nie mocni...

— Idę do Krakowa — może i zajdę...

— Znany mi wasz głos — choć niby zdajecie się nie tutejsi — powiedźcie, skąd wy?...

— Cóż wam z tego przyjdzie?... poco o tem mówić!... Żal i ból — wiecie, co to jest?

— Czemże wam się życie zaniósło, czy jaką wicherą piorunową, czy gromami i piorunami, że wam tak czoło poorало, tak oczy zgasiło — tak lica zbieliło?...

— Niewola! Tułactwo! Tęsknota!... I poszedł rolnik dalej, a podróżny idzie do Krakowa.

Wszakże to Staszek ze Żytnik... wszakże to on, usłyszał, iż przywieźli do Krakowa ciało Kościuszki, że będą na Wawelu chowali, więc wybrał się, by jeszcze powtórzyć Naczelnikowi przy trumnie, jak mu zawsze mówił:

— Jednej matce służy się inaczej — drugiej inaczej, a trzeba służyć i tej i tej, bo obie drogie i obie od Boga dane...

I przywłókł się do Krakowa, i docisnął się do trumny i łzami ją oblał i modlił się przy niej długo i na niej to położył wyjętą z zawiniątka sukmanę białą, tę samą, którą dał Kościuszcze i którą zdjął z niego, gdy omdlałego, krwią zlanego pod Maciejowicami, brano na nosze.

Rzucił on się wtedy, jak lew, zdjął sukmanę, jakby skarb najdroższy, odział się w nią i mówił wzięty do niewoli:

— Weźcie mi wszystko, a jej nie dam!...

W niewoli przepędził lata, na tułactwie przepłakał życie, do wsi wrócił, a sukmany nie zgubił...

Teraz — położył ją na trumnie Naczelnika i szepce cicho:

— Jużci, jako ją Tobie dałem, gdyś nas wiódł do boju, tak Ci ją daję tu na królowanie ciche wśród królewskich grobów... Niech się na nią spojrzą wielcy przodkowie i niech wiedzą, żeś Ty ludem nie gardził i nie wstydził się chłopskiej sukmany...

Pozna cię i uczci, jako prawdziwego miłośnika Ojczyzny, król chłopków, Kazimierz! Pozdrowią serdecznie wszyscy nasi królowie!

— Jużci — Naczelniku najmilejszy — czekać długo będziemy, zanim taki drugi, jak Ty, wstanie — i znowu nas ze wsi zawoła do służby dla Matki — Ojczyzny! Ale to powiedz grobom królewskim i wielkim hetmanom, że serca chłopskie zawsze są jednakie i zawsze w Imię Boże, za wiarę i wolność pójdą, jako idą do kościoła, gdy na nich dzwony wołać poczną!... Bo w chłopskiem sercu jak się miłość zbudzi — długo trwa, a nie zgaśnie, aż w mogile!...

Tylko trzeba nas wołać — a uczyć — a wieść, a kochać!...

Jako ci była miła ta sukmana biała z chłopskich zdjęta ramion, tak niech będzie miłą wszystkim w Ojczyźnie i nasza dusza chłopska — bo na niej można dużo napisać i do wielkich czynów ją wołać!... Spij w tej sukmanie, spoczywaj — a przykładem swoim, do miłości Ojczyzny wszystkich wołaj i za-
grzewaj!

— — — — —
Na drugi dzień, w grobowcach królewskich, przy trumnie Naczelnika, znaleziono zimne ciało wieśniaka, który miał wiele blizn na czole, a wiele bólu w twarzy...

Na trumnie rzucona sukmana biała miała ślady krwi zaschłej, podziurawiona od kul — zbrudzona przez długie lata czasu — okryła ciche czoło uśpionego przez śmierć kosyniera, jakby go chciała przytulić do trumny Naczelnika...

A serce Zygmunta na wieży spokojne i ciche, a fale Wisły płynęły gładko i lekko, a szczęście narodu było daleko — bardzo daleko...

Tak — gwarzy przeszłość, jeśli tylko serce rozumie jej mowę...

Przyłóżcie ucho do jej kart i słuchajcie jej pieśni...



ZWYCIĘSTWO
KOCHAJĄCEJ MATKI.

Stara Tomaszowa, wdowa po organiście, była to kobieta, jak wszyscy powiadali, serca anielskiego.

Ktoby jej nie kochał?

A ktoby nie szanował?

Sąsiedzi i bliźni i dalsi, krewni, znajomi, czy to bogaci czy biedni, wszyscy ją lubili i poważali.

Mówiła nieraz Józefowa, bogata mieszcanka:

— Dlaczego wy kumo nie macie nieprzyjaciół?

A Tomaszowa z uśmiechem na to:

— Mam czary na nich — mam!

— Powiedzcie mi o nich. Nie wiem, ilebym za to dała, ażeby się nieprzyjaciół pozbyć! Dał Bóg człowiekowi trochę więcej i grosza i dobytku jak innym, to już zazdroszcza, a raźnicy dokuczyć ostro.

— Moje czary na to pomogą.

— Powiedzcie — nie powtórzę nikomu.

— Zawsze o waszych wrogach mówcie dobrze.

Józefowa spojrzała z gniewem.

— Nie żartujcie!

— Szczerą prawdę mówię.

— Jakże mogę mówić dobrze o tych, coby radzi, jak to powiadają, człowieka w łyżce wody utopić.

— Zawsze tam u nich znajdzie się coś dobrego, samej czarności piekielnej nie ma. O tem dobrem rzeknijcie i tu i tam — obaczycie — będzie dobrze.

Mawiali ludzie:

Tomaszowa nie głupia kobieta, jej mąż był u księdza chowany, przy księdzu się zawsze czytaniem bawił, to i od niego ona rozumu nabrała.

A inni znów dodawali:

— Już takie jej serce było do dobrego skłonne. Złego ani nauka nie poprawi. Ona to od rodziców przejęła, miała rodziców jak świętych.

Tomaszowa zasłyszawszy to rzekła:

— Oj rodzice! rodzice!... największy skarb, największe szczęście dla tych, którzy mają rodziców bogobojnych, uczciwych a dobrych!

W niedzielę rano, w pogodny dzień wiosenny, wybierała się Tomaszowa jak zwykle na godzinki do kościoła.

Ubrana czyściutko, wedle zwyczaju dawnego w perkalkową spódnicę, fartuch szeroki, kaftanik brukselinowy i chustkę białą, haftowaną, już wychodzi ze swej chaty, gdy postanieniec pocztowy oddaje jej list.

Przeczytała i zbłądła.

— Przyjedzie dziś!... szepcze do siebie, dziś go obaczę, moje dziecko jedyne, mego kochanego syna, Boże! dzięki Ci!...

Wyrzała z przeciwnika sąsiadka Marysia, jak róża ładna dziewczyna i pyta:

— Idziemy na godzinki?...

— Idziemy, ale posłuchaj Marysiu. Jasiek dziś przyjedzie.

— Jasiek? ze Lwowa?

— A jużci!... czekaj, tylko obaczę o której godzinie, bom czytała prędko i nie zauważyłam o której.

Rozwija list, czyta, aż znów nieco blednie.

— O wpół do dwunastej w południe. Prawie kiedyś suma.

— Cóż będzie?

— Nie widziałem go pięć lat — wiesz? równo pięć lat. Serce się rwie, aby powitać, ale o tej godzinie iść z kościoła — na kolej?...

Zafrasowała się biedaczka, radzi i rozmyśla, wreszcie powiada:

— On pewnie z kolei przyjdzie do kościoła, to go i tam obaczę. Chodźmy!...

I poszła z Marysią, bo już dzwonek z kościoła wołał, a do nich przyłączali się z tej lub owej chaty, tego lub owego domu znajomi i wszyscy spieszyli w dniu świątecznym do kościoła.

Tomaszowa zaś wszystkim opowiadała o radośnej dla niej nowinie, iż jej jedyne dziecko, jej Jasiek kochany, dziś przyjedzie.

Chowała go z wielkim trudem i mozółem, bo biedna była; po śmierci męża zarabiała to praniem, to szyciem, a chciała go w pobożności i oświacie do jakiej pożytecznej doprowadzić pracy.

Jaśka pamiętają w miasteczku dobrze. Zdolny był, uczył się pilnie, a matkę kochał tak, iż prawie wszyscy stawiali go jako przykład dla swoich dzieci.

Gdy skończył szkoły ludowe, uczęszczał jeszcze w Rzeszowie do szkoły wyższej, potem zaś wstąpił do terminu.

Teraz jest czeladnikiem u bogatego majstra we Lwowie. Zarabia dużo, ale i matce czasem posyła. Pisywał też do matki często, ale listy jego od roku coraz krótsze.

Nic dziwnego, mniej ma czasu przy pracy.

Już śpiewają »Święty Boże«! już się mgła z kadzielnicy wysoko podnosi, już organy grają jak zawsze przed błogosławieństwem coraz ciszej i piękniej, a Tomaszowa z coraz większym niepokojem zwraca się ku drzwiom, bo w tłumie stojących nie widzi jeszcze swego Jaśka.

— Powinien być od dawna, bo dawno słyszałam gwizd kolei — myśli sobie biedna kobiecina, a czuje to, iż się dziś przez całą sumę, prawdę powiedziawszy, dobrze nie modliła.

— Może i lepiej było pójść, mówi sobie w duchu — byłabym chociaż spokojna, a tak, ani nabożeństwa ani spokoju... Skończone modły.

Łud i mieszczanie wysypują się z kościoła, jak barwne kwiaty po zielonym trawniku.

Tomaszowa wychodzi — ogląda się — szuka — patrzy — Jaśka nie ma.

— Zapewne w chacie na mnie czeka, albo może i nie przyjechał... — mówi do Marysi, idąc spiesźnie ku domowi.

Już jest w rynku, gdy nagle staje — obraca się i woła:
— Jaśku!...

Przed propinacją zebrana gromadka robotników i młodych rzemieślników otaczała słusznego chłopaka, który o czemś ciekawem rozповідаł.

Na głos Tomaszowej przechylił się, a obaczywszy matkę rzekł do towarzyszy:

— No do widzenia, pójdę do matki.

Powitał ją życzliwie, ona zaś łzami jego czoło skropiła. Całowała go jak małą dziecinę, a pytała:

— Jesteś zdrow? — nie pojedziesz prędko?... prawda?... Szli teraz razem ku domowi.

Marysia spoglądała z pod oka na Jaśka, a myślała, iż to nie syn biednej wdowy, ale jakiś panicz strasznie elegancki.

Jaśiek prawdziwie wyglądał na panicza. Wystrojony wspólnie miał minę nadętą; cieniutką laseczką wywijał tak, że raz o mało co Marysi w nos nie uderzył.

Tomaszowa patrzyła i patrzyła na niego, słuchała, cieszyła się, ale coś jej dziwnie smutno było na sercu.

Któż tam wie, o czym biedna kobiecina dumiała, patrząc na swego jedynaka, którego po pięciu latach obaczyła!

Gdy weszła z nim do chatki — nie pokazała się już tego dnia wcale. Nawet na niesporach jej nie było, czemu się ludziska niezmiernie dziwowali.

Jaśiek zaś wieczorem poszedł do szynku i tam przesiedział blisko do rana.

Minęło od tej pory dwa tygodnie.

Czas przeszedł prędko dla jednych. Ale innym zdawało się, iż się wlecze bardzo powoli. Zwyczajnie jak bywa wtedy, gdy albo choroba, albo jakiś ciężki smutek serce gniecie kamieniem.

Tomaszowej dni zdawały się jak miesiące długie, a noce jak lata niezmierzone.

Czyż można się dziwować?...

Od czasu przyjazdu Jaśka ze Lwowa, boleść ją otoczyła wokoło, a ból jej serce krajał jak nożem.

Przekonała się biedna zaraz, iż jej syn już nie jest jej dzieckiem. Bo że on zwie ją matką, a ona jego synem; to jeszcze nie znaczy wiele.

Ileż jest takich matek, które niby mają dzieci, a przecież mogą rzec śmiało, iż są jak sieroty same na świecie!?

Jeśli między matką a dzieckiem nie ma jednego ducha, jednej cnoty, jednej wiary — to i nie ma życia wspólnego. A czyż może tam być już szczęście i cisza, zgoda i spokój?

Jasiek co chwila powiedział coś takiego, co było żarem palącym na serce matki rzuconym.

Co krok zrobił coś takiego, co zdawało się Tomaszowej, iż jest nikczemnem, grzesznem i jak błoto brudnem, a on mówił, że to »postęp«, »oświata«, »równe prawa«.

Plakała biedna wdowa łzami gorzkiemi, ale te łzy kryła w cichości, aby niemi nie ranić serca syna. Modliła się też gorąco, aby ją Bóg oświecił, jak ma sobie z synem postępować, aby go wprowadzić na drogę dawnej cnoty i wiary.

Sąsiedzi widzieli dobrze, co się święci, ale nie mówili nic o tem przed Tomaszową, aby jej nie dodawać żalu.

Marysia zaś ocierała także łzy fartuchem, bo ten Jasiek, który bardzo ją lubiał i wiele z nią rozmawiał, teraz jakby jej nie znał, ani nie widział.

Jasiek tymczasem całe dnie i noce przepędzał w miasteczku na propinacyi lub u Josła, u którego zbierało się także wiele ludu wiejskiego.

Rozdawał jakieś gazety, jakieś książeczki. Rozповідаł o rzeczach całkiem nowych. Że przyjdą takie czasy, w których nigdy żadnej krzywdy już nie będzie, że nikt nie będzie pracował za dużo, ani za mało, ale wszyscy jednakowo będą na życie zarabiali i jednakowo żyli.

Ludziska słuchali, głowami kiwali, a nie jeden westchnął, aby najprędzej doczekać tych czasów.

Byli zaś i tacy, którzy wróciwszy do swoich robót szeptali:

— Mówi on tam mówi, ale człowiek tego nie pojmie rychło. Nie uczeni my jeszcze do takich czasów. Nie uczy tego ksiądz na ambonie, nie ma o tem w żadnej książce do modlenia — kto go wie, o czem on prawi.

Sama Tomaszowa słyszała nie jeden raz takie rzeczy od Jaśka, iż ich pojąć nie mogła, ale czuła, że serce jej kaleczą.

Aż tu w drugą niedzielę po przyjeździe Jaśka, przychodzi on do matki i powiada:

— Matulu!... abycie na mnie z obiadem nie czekali, bo do domu nie przyjdę, aż rano.

Tomaszowa spojrzała smutno i pyta:

— Gdzież będziesz?

— Przyjeżdża ze Lwowa jeden towarzysz, to muszę z nim być. Mamy wiele roboty.

— Cóż wy w niedzielę możecie robić? Przecie to dzień Boży — wszyscy w kościele będą — a wy — gdzie?

— My będziemy u Josła.

— U Josła?... — powtarza smutno Tomaszowa. Tam dla was inny ksiądz przyjedzie z nauką Bożą? tam dla was inne nabożeństwo?... Zamiast dzwonka, który woła w kościele, byśmy klękli, przed Bogiem się ukorzyli i bili w piersi, to wam kieliszki będą dzwoniły?...

— Dajcie pokój matko, wy nie rozumiecie tego.

— Pewnie, że nie rozumiem, ale o to ci szkodzi, że stara matka pogađa. Prawda Jaśku?... Przyjdzie czas, ^{gdy} gdy stara matka mówić już przestania. Czy to ona wieczna?... Pochyliła się już od pracy, jak ta wierzby w polu od wichrów. Oczy jej się zapadły od tej igły, którą sobie i tobie, mój jedynaku, na chleb i życie zarabiała...

Tomaszowej głos smutny, a ręka jej się trzęsie. Jednak matka syna tuli do siebie — jego czoło całuje, a mówi jeszcze ciszej.

— A pamiętasz, jak ty ze mną zawsze chodził do ko-

ścioła? jak ty za mną powtarzał słowa litanii?... Modliliśmy się razem, to nam i Bóg błogosławił.

— Moja matko! co innego dziecko, co innego wy — teraz inaczej... gdybyście żyli tak, jak ja między ludźmi nowymi, tobyście rozumieli, ale idę...

— Dobrze mówisz, Jaśku, że między nowymi ludźmi żyjesz. Takich ludzi nie było u nas. Nie bywali tacy, aby drogi do kościoła nie znali. Byli tacy, co na budowę kościoła nosili długo — długo — kamień po kamieniu, cegłę po cegle, a zapłaty nie chcieli, ale myśleli, niech to będzie dla chwały Bożej, i wracali pocieszeni i spokojni. A ty jeszcze nie był w tym kościele.

— Ot!... co z tego?... ksiądz mówi kazanie, ale nie zaradzi biedzie ludzkiej, bogaczów nie zmusi, aby biednym dali swoje majątki, — nie wstawi się, aby robotnik miał lepszą zapłatę... ale wam nie ma co o tem gadać — wy po swojemu — a ja po swojemu.

Wziął kapelusz świecący, laskę cienką, wyjął rękawiczki — idzie.

Ale coś go w progu zatrzymało. Przystanął, zamyślił się i mówi:

— Matko!... pomyślcie — ja przecież chcę dla drugich dobrze — ja chcę by było lepiej...

— Bez Boga — synu... nie zrobisz nic dobrego...

— A czy to ja bez Boga robię?... Kościół i ksiądz, organy i świece, to przecież nie Bóg. Można się modlić nie tylko w kościele.

— Oj synu! synu! co ty mówisz? ino popatrz — ta chatka biedna, przecie nie matka, a czy ci ona nie miła?... Dlatego, bo tu mój kącik stary. Kościół — to dom, ale mieszka w nim Bóg — a kto w Niego wierzy i Jego kocha, idzie tam, bo to nie wielki trud, nie wielka praca, a dla chrześcijanina obowiązek.

Jasiek wyszedł, nie powiedziawszy już ani słowa.

Tomaszowa zapłakała gorzko, po chwili, wysunęła się ścieżką przez ogrody, bo nie chciała, aby ludziska widzieli jej oczy od łez opuchłe.

* * *

Nađ wieczorem, przyszedł do Tomaszowej pan Józef Ślędzki, majster stolarski.

Był to człek zacny, a lubiał też naukę i czytanie. Pozdrowił kobiecie w imię Boże, zapytał o to lub owo, a wreszcie mówi:

— Kochana Tomaszowo! chciałem z wami pogadać o Jaśku. Zepsuli nam chłopca tam w mieście, A szkoda!...

— W Bogu nadzieja, mój sąsiedzie. Nie rozpaczam, choć serce boli. Myślę, że się to jeszcze odmieni — on nie zły, ale obalamucony.

— Daj Boże, aby tak było. Ale gdybyście słyszeli, o czym on rozpowiada!...

— Zwyczajnie — jak go nauczyl ci z miasta.

— Oj bieda z nimi, bieda!... Wszystko złe, co jest, złe, co było, wszystko podeptać, sponiewierać, a ich słuchać, tak mówią!...

— Gadanie to jeszcze nie robota — jedni posłuchają, drudzy zapomną...

— Ale, że tam w mieście, gdzie tylu ludzi uczonych, mądrych, rozumnych, że im tego nie wyjaśnia, nie wytłumacza? — pyta pan majster. Czytuję ja rozmaite książki i gazetki — umyślnie nieraz i ich socyalistyczne gazetki czytam, aby poznać, co oni robią, ale powiem szczerze, że mię to zstrasza. Wiecie, Tomaszowa, co jest?... Socjaliści zabrali się do roboty żwawo, nie leniwo. Oni jeżdżą, gadają, piszą, drukują. A przeciw nim robota idzie okrutnie słabo.

— Mnie kobiecie starej, nieuczonej, nie mówić na to, bo ja tylko to wiem, co z przykazań i Ewangelii świętej, ale oba-
czycie, sąsiedzie, ich robota zawali się.

— Ale gdybyście wy Jaśka wzięli ostrzej, gdybyście mu zagrozili, możeby się uląkł.

— Dobrocią — dobrocią więcej zrobię. Wiǳicie, kumie, jak jest rana, to się jej kijem nie wali, ale ją smaruje ziołami i lekko owija. Złego gniewem ani przekleństwem nie poprawię, jeno tem sercem i tą modlitwą i temi łzami, co płyną...

— Ha! kto wie! może i rację powiadacie! Jam sobie nieraz myślał — te gazety, co tak okropnie przezywają od bydła, od choroby jakowejś socyalistów — za mało co robią — za mało. Jużci trudno ich chwalić i głaskać, ale od głaskania do przezywania to ǳaleka droga. Nie prawdaż kumo?... Zostańcież z Bogiem, a nie trapcie się tak okrutnie!...

* *

Było to w ponieǳiatek około wieczora, gdy się Jasiek wreszcie obudził. Przyszedł o białym ǳniu, a właściwie nie przyszedł, bo go przyprowadziła gromaǳka pijanych, jak on towarzysz. Śpiewali, wrzeszczeli ǳiwnymi głosami jakieś ǳiwnie pieśni. Tomaszowa wyszła z chaty. Odebrała od nich Jaśka i poprowadziła go do izby.

On się jeszcze szarpał, krzyczał, chciał zapraszać towarzyszy do izby, ale Tomaszowa ǳzwi zamknęła, Jaśka na ławce położyła.

Co ona czuła w sercu — jaki żal i boleść ją przejmowały — tego nikt nie potrafi opowiedzieć.

Gdy się Jasiek obudził, obaczył matkę przy sobie kłęzącą, z różańcem w ręku.

Ten widok był ǳla niego jakby ciężką skargą matki niebogi. Usiadł, rozejrzał się w około, jakby chciał sobie przypomnąć, gdzie jest.

— Matko!... wstańcie!... przecież jeszcze nie jestem konający abyście przy mnie pacierze odmawiali.

Tomaszowa wstała — przeżegnała się — i poszła do szafki, aby poǳać Jaśkowi mleka.

Wypił, a oddając kubek, pocałował matkę w rękę.

Na to ona pogłaskała mu włosy, jakby małemu chłopczynie, i spytała:

— Cóż?... boli głowa?...

— A jużci!... takim zmęczony, całe ciało mię boli. Bodaż diabli wzięli!

— Nie przeklinaj, synu! nie przeklinaj... te obrazy w naszej chatce jeszcze takich słów nie słyszały.

— Bo nam wczoraj wszystko ksiądz zepsuł!...

— Ksiądz?... chyba ci się po pijanemu śniło.

— Nie śniło się!... Tłusty ksiądz, co nigdy głodu nie zaznał, co się nie napocił przy pracy.

— A ty skąd wiesz, że ksiądz nie zaznał biedy?... Iluż jest takich, co to z najuboższej chaty o nędzy strasznej w szkołach się uczą: przecierpią niejedno, zanim dostaną kawałek chleba... a czy ty wiesz, ile razy ksiądz ten, zanim posiwiął, w konfesjonale, słuchając strasznych grzechów, omdlewał ze zmęczenia; ile razy on szedł do chorego, gdzie była słabość zaraźliwa i niebezpieczna?... Nie sądzi, synu, o pracy księdza, nie sądzi... nie na to ty powołany...

— A po co ksiądz miesza się w nasze sprawę? ma swoje, niech swego pilnuje.

— Ksiądz jest pasterzem, a tak, nie inaczej — pasterz idzie za owcami, tak ci ja od dziecka w kościele słyszała.

— Przyszedł na nasze zebranie wczoraj i powiada: Nie poprosiliście mnie, mili parafianie, abym radził z wami o sprawach ważnych, ale przyszedłem sam. Kiedyś o dobrych rzeczach myślicie, chcecie, aby było lepiej na świecie, chcę i ja wam dopomóc.

— A jużci! słusznie ksiądz mówił.

— Słusznie?! Zepsuł nam tylko... Ten mój kolega ze Lwowa radził, aby ludzie panów nie słuchali, panom nie wierzyli, bo tylko zaguba i nędza ludu przez panów, a ksiądz na to: Przepraszam bardzo, dam jedno pytanie: kto lepiej robi,

czy ten, co wali, czy ten, co buduje?... Więc poczęli jedni mówić: jużci ten lepiej robi, kto buduje. A ksiądz znów: kto lepiej robi, czy ten, co ranę goi, czy ten, co ją trucizną zalewa?... Krzyczą wtedy: ten, co goi. Otóż, powiada ksiądz, jeśli ci panowie chcą dobrze, to niech nie walą tego, co jest, ale naprawią, niech nie dają trucizny, lecz niech rany goją.

— Mówię, wam matko, krzyk był straszny: ci co byli mądrzejsi, krzyczeli razem z nami: Precz z księdzem! odebrać mu głos!... Ale tych było mało. Inni wołali: Dobrze mówi! niech dalej mówi!... Zepsuł nam ksiądz i koniec. Wyszliśmy z gniewem, tamci za księdzem poszli i całowali go, a kłaniali się... Tak my na propinację: było gadania wiele, radziliśmy, ale tu trudno idzie. Ciemny naród!...

Na to matka stara rzeknie:

— Nie ciemny, ale pocziwy. Rozumiesz Jaśku?... Tu pocziwy naród, nie chce złością i nienawiścią poprawiać sobie doli. Takich, jak wy, nie wszędzie posłuchają, chyba tam, gdzie zapomnieli pacierza, a tylko siebie widzą na świecie... Oj dziecko! dziecko! nie na tem wszystko, aby mieć dużo zapłaty, aby dobrze jeść i pić, mało robić, a nie szanować nikogo!...

— Wy co, matulu, myślicie, że wszyscy tak na świecie, jak wy, modlą się, pracują i o tem myślą, aby nie zgrzeszyć!

Tomaszowa podniosła swoje załzawione oczy na syna i mówi.

— Pewnie, że ja wiele nie wiem, co na świecie jest, bom ci ja przecie biedna kobieta i nieuczona, ale tak ci rzeknę synu: Nie patrzmy na tych, co robią źle, co się z grzechu śmieją i Boga nie kochają, ale patrzmy no tych, co żyją, jak Pan Jezus uczył. Czy oni biedni czy bogaci, uczeni czy ciemni — nie sądzmy, ale w miłości idźmy tak, aby na naszym grobie krzyż postawiony nie jęczał z żalu, że kryje ciało grzeszne i potępioną duszę.

Chciał Jasiek odpowiedzieć na to matce, ale weszła do izby Marysia.

— Pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki!

— Prosili ojciec, abyście dali maści na rany, zbili okropnie parobka od wójta!

— Za co? kto? — pyta Tomaszowa, zwijając się, aby maść położyć.

— Jasiek tymczasem przybliżył się do Marysi i mówi:

— Teraz się ani nie patrzysz na mnie, ani ze mną nie pogadasz!

— Nie masz czasu ty, nie mam ja.

— Dawniej inaczej było. Pamiętasz, Marysiu! do kościoła my szli razem — z kościoła razem!...

— A tak. Tylko teraz tobie droga do Josła, a ja tam nie chodzę.

— Ale, gdy się ze mną zejdziesz, uciekasz.

— Uciekać nie uciekam, ale nie mam o czym gadać. Inny ty teraz, a ja ta sama, com była.

— Nie bądź głupia, Marysiu, nie gadaj jak wszyscy, co nic o świecie nie wiedzą. Człowiek musi rozumu nabierać, człowiek musi pilnować, aby nie było krzywdy na świecie, raz musi przyjść sprawiedliwość...

Na to Marysia ostro:

— Oho!... jaki mi porządek, jaka racja do sprawiedliwości! Zbić człowieka, aby mu nogi połamać, to sprawiedliwość?... Poranić drugiego, to nie krzywda?... Namawiać do nienawiści i zemsty, to sprawiedliwość?... Idź! idź! wstydź się tak gadać nieuczciwie!... Matce tylko życie zabierasz taką robotą.

Weszła Tomaszowa, całuje Marysię, daje maść i pyta:

— Kto go zbił? kto?...

Marysia nic na to nie mówi, ale odchodzi smutna. Po chwili Jaśko z gniewem powiada:

— Głupia!...

— Na Marysię tak mówisz?

— Jużci...

— A powiedz mi, Jaśku, kogo ty tu pochwalił, od kiedyś przyjechał? Ja ci jeno patrzę i słucham, a myślę sobie, czy też doczekam tej chwili, lecz darmo, wszyscy źli, głupcy, łotry, gałgany!... Książdz zły, pan zły, majster zły, profesor zły, — cały świat zły — nawet niby, tak wydaje się, że u ciebie i Pan Bóg zły!...

— Dajcie pokój!...

Ale Tomaszowa, rozplakawszy się gorzkimi łzami, mówi dalej:

— Kto u ciebie dobry? kto?... Josel, bo wódkę daje, a pieniędzy pożycza... tyle u ciebie dobrego, co u żyda i przez żyda... Oj, synu mój, synu, niedaleko ty zajdziesz tędy i ja biedna na tamtym świecie nie będę miała z kim stanąć przy ojcu twoim — nie będę miała z kim tam przyjść!... — Zastłoniła oczy i płacze.

Jaśkowe serce nie kamień! On matkę kochał pocziwie. Nie było dla niego większego smutku, jak łzy matki. Nie może więc patrzeć, chwycił jej rękę, całuje... prosi...

— Matko!... nie płaczcie!... co chcecie? ja przecie nic złego nie zrobił, ja nikogo nie zabił, nie ukradł niczego, nie okłamał, czego chcecie?...

Po długiej chwili rzekła matka:

— Ani kradłeś, ani zabijałeś, a przecie strasznie grzeszysz. Jak ty, Jaśku, chcesz co dobrego w świecie zrobić, to rób, ale rób czystem sercem i życiem czystem. Jak ja chcę mieć czystą dla ciebie koszulinę na niedzielę, to muszę ją czystą ręką uprać i uprasować, bo inaczej by była brudna. Jak ty chcesz zaradzić biedzie ludzkiej i krzywdom wielkim, to nie idź z tymi, co grosz zarobiony u żyda marnują, ani z tymi, co radziły księży i panów i bogaczy powywieszać. Widzisz, synu, koń ma i stajnię i obrok, siano i ńerkę, a biedny psina ledwie w budzie na mrozie się schroni, a jaką kostkę obgryzie. To i cóż?... będzie ńreć konia za to, że jemu lepiej?... A ten ńąb, ile sobie ziemi korzeniami zagarnie, ile

sobie miejsca weźmie w lesie, a trawa na drodze ledwie się trzyma na piasku korzonkiem, i kto idzie, to ją zdepcze, to ją ugniecie. I cóż?...

Jasiek siadł na ławie i zadumał się. Stara matka zbliża się, gładzi mu włosy, tuli jego głowę i mówi słodkim głosem:

— Wiem ci ja, dziecko moje, że bieda to ciężka rzecz. Czy ja jej nie zaznałem? czy ja nie przepracowałem życia ciężko?... Kto ma serce dobre, ten pragnie, aby na świecie było lepiej, jeno, moje dziecko, nie każda droga prowadzi do dobra, nie każda.

— Wy bo, matko, jak zaczniecie płakać, a mówić, to serce zmięknie. Przy was, tobym był jak pierwej, ale co o tem gadać!... trudno... trudno... — Machnął ręką i pobiegł do miasta.

* * *

U Josła znowu jest zgromadzenie. Zeszło się ludzi mnogo. Jedni przyszli z ciekawości, bo myślą, że to jaka »komeđya«, drugi szli, bo ich inni namawiali. Ale najwięcej było tych, którzy szli dlatego, iż to zebranie jest u Josła, a u Josła, jak wiadomo, wódka, piwo, haraki i wesoło. Gadają jedni, gadają drudzy.

— Robotnik i chłop pokrzywdzony nędzę cierpi, z nędzy ginie!... — woła jeden.

Inny powiada:

— Bogacze mają majątki, ziemię, dwory, fabryki, a jakby na nich biedny lud nie robił, nie mieliby nic; biednego dobrze nie zapłacą, krzywdzą go: hańba bogaczom i panom!...

A że, jak to zwykle, na zgromadzeniu zaczyna się wszystko od tego, aby na księży wygadać się do woli tak się i na tem kończy. Więc wyłazi na stół jakiś chudy paniczek i dalejże:

— Księżdu nie płacie ani centa! Nie słuchajcie jego ani słowa!... Księża by radzi tylko brać, a nie dawać. Księża każą pościć, a sami dobrze jedzą! Każą ubóstwo kochać, a sami powozami jeżdżą.

Słuchają ludziska, aż gęby pootwierali, z podziwu. Wreszcie jakiś, co stał koło Josła, wrzaśnie co siły:

— Hańba im!...

— Hańba!... powtórzyli inni.

Lecz co to?... Co to za kobiecina błada, siwiuteńka, drżąca ciśnie się przez tłum? Oczy jej łzami zalane, usta posiniąły z bólu. Idzie — wyciąga rękę do Jaśka, bo on to pierwszy zawołał »hańba« i, biorąc go ku sobie, wołała całą siłą głosu:

— Powiedz swej matce tu przy wszystkich, ile jest ludzi, ile tu dusz, ile tu serc, powiedz tak samo swej matce głośno i śmiało: »hańba ci«... wołaj całą duszą: hańba tej matce, co ci życie dała, tej matce, co cię karmiła, kołysała, co cię uczyła pacierza, co ciebie do kościoła prowadziła, co ciebie uczyła i wychowywała!... Wołaj! hańba! jej siwym włosom, jej oczom wypłakany, jej rękom pokurczonym od pracy... a niech ci wszscy tu powtórzą razem: hańba!... bo matka źle ciebie uczyła, źle chowała...

— Czemu milczysz? czemu nie poniewierasz matką?... czemu?... Jeśli możesz na wszystko rzucać, jak mówią, błotem, jeśli i na kapłana, sługę Bożego, wołasz! hańba! to i na matkę rzec możesz tak samo...

W izbie tak cicho i straszno na tę skargę żalosną wdowy Tomaszowej, taki jakiś mróz idzie po kościach, iż ludziska nie wiedzą, co z sobą począć. Jasiek wpół pijany na matkę patrzy, słucha, milczy, ale twarz ma okrutnie smutną i zmienioną. Tomaszowa prowadzi go jeszcze na środek, a potem mówi do innych:

— Wołajcie: hańba!... wołajcie! ale tak, aby aż moje serce od tego wołania pękło, ostygło, aby ostatnia łza z oka wypłynęła, aby i jemu włosy pobieleały, gdy na matkę poczniesz rzucać przekleństwo!

Lecz cicho... Nikt nie woła: hańba! tylko ludziska łzy ocierają z cicha i poczynają sobie szeptać:

— Sprawiedliwie mówi!...

Jasiek milczy. Aż jeden z jego towarzyszy ze Lwowa przybyłych na to wszystko poczyną krzyczeć:

— Wyrzucić stąd starą wiedźmę, wyprowadzić!... Jakaś dewotka tak za księdzem bardzo obstaje, a nam przeszkadza... precz z nią! precz!...

Wtedy Jasiek wyprostował się i głośno zawołał:

— Nie waż mi się matki poniewierać!... Nie waż mi się jej krzywdzić!... Wszystko wyście mi zabrali, ale serca od matki nie wyrwiecie!... Hańba wam!...

Krzyki, wrzaski, gwizdania jak wśród dzikich ludzi rozległy się po izbie, poczęto nawet brać się do bitki. Ledwie Jasiek matkę zdołał cało wyprowadzić.

* * *

Od tej pory przeszło dwa miesiące. Jasiek do Lwowa nie wrócił. Pracuje w miasteczku, a matka spokojna i szczęśliwa błogosławi go w codziennej modlitwie, Bogu dziękując za tak świetne zwycięstwo. Jasiek jej też powiada:

— Zdaje mi się, że mi z serca spadł kamień wielki. Zdaje mi się, że mi się obmył z brudu okropnego. Gdzie bo ja nie szedłem?...

A Tomaszowa na to:

— Poznałeś, mój synu, iż szedłeś drogą brudną. Kto tylko wszystkim przygania, a nikogo nie pochwali, ten już nie robi dobrze. Kto złością chce robić dla szczęścia drugich, ten przysparza tylko nieszczęścia. Kto w pijaństwie, w szynkach żydowskich zaczyna świat poprawiać, ten go psuje jeszcze więcej. Kto nie chce i nie umie szanować starszych, ten już na wszystko potrafi pluć i błotem rzucać.

— Ale człowiek ani się nie spostrzerze, gdy go źli na swoje przerobią, a umieją tak wytłumaczyć, iż zdaje się — najlepší ludzie na świecie.

— Mój Jaśku! jak komu oczy zawiążą, to go poprowadzą, gdzie chcą. Oni od tego zaczynają. Zawiążą oczy. Powiedzą wam: »Wiara i kościół i ksiądz to wszystko niepotrzebne.« A wtedy już z wami robią, co im się podoba...

Jasiek chyła się do kolan matki i mówi:

— Gdyby nad każdym tak zacne serce matki czuwało, jak nademną, nie byłoby tyle złego w świecie, ile go jest!

Bodaj takich więcej matek.



OBRAZKI WIGILIJNE.

Smutna Wigilia.

Śniegi zasypały las dookoła.

Otuliły od mrozów silnych drobne krzewiny, osłoniły trawki i nasiona kwiatów, pokładły się puchem białym po dużych gałęziach jodeł i sosen.

Zdawało się, że las usnął jak dziecina w powiciu i nie zbudzi się, aż gdy wiosenne słońce przyświecać pocznie.

Lecz las nie spał. Drżały jego gałązki drobne od szeptów cichych, pochylały się zeszkłe bańdyle ziół dzikich pod stopami kryjących się...

Kto tam błąka się w gąszczu leśnej? Czyje to usta szepcą słowa pacierza codziennego?

To są błędni powstańcy z województwa Płockiego, którzy w lesie spędzą święta Bożego Narodzenia, bo oddział Moskali pod dowództwem majora Zajcowa goni za nimi od dni kilku i czyha na nich i wszystkich sposobów używa, aby chwycić ich w swe siła.

Nie chcieli iść do wsi, powstańcy, aby za sobą nie ściągnąć Moskali, bo wiedzą, jak się mszczą ci bezlitośni ludzie na tych, którzy ich pod swój dach schronią. Wcisnęli się w gąszcz lasu i stoją pełni zadumy.

— Gdzieś tam, daleko, w sadku ubogim, nad rzeką krętą, stoi nasz dom, wspomina Mieczek, młody chłopczyzna... tam zapraszają rodzice moi wiele gości na Wigilię Świętą. Wesoloż, bo wesolo, schodzi ten uroczysty wieczór... Dziś — zabraknie im po raz pierwszy syna przy opłatku, lecz nic to... ja dziś spędzam wigilię z Matką Ojczyzną.

— Ja nie mam za kim tęsknić, odpowiada słuszny i mizerny Kurzawa, czelaadnik z Płocka. Sierotą byłem — dziś czuję, że mam Matkę, gdy Ojczyzny bronię.

— A jabym rad sobie zaśpiewać z całej siły: »Anioł pasterzom mówił«, bo zdaje mi się, że głos mój doleci aż pod okna mej chaty, gdzie staruszkowie rodzice, mnie wspominąć poczną, mówi parobczak silny i tęgi, zacierając zziębnięte ręce.

Jest już z południa i mrok się zaczyna pomiędzy gęszcza drzew wściskać... W lesie robi się szaro, potem coraz ciemniej i ciemniej. Razem z mrokiem rozsnuwa się jakaś dziwnie smętna tęsknota i żałość dookoła.

Oj! żal, żal za chatą rodzinną, za ciepłą strawą, za głosem ojca i matki, za opłatkiem białym.

Jakaś moc wielka staje przed obozem biednych powstańców i rwie ich ku wiosce blizkiej, ku chatom ogrzanym, ku bratnim sercom...

Milczą.

Jedni — oparci o pnie drzew, stoją jak głązy martwe. Inni otuleni w płaszcze lub kożuszki przechadzają się, przytupując nogami dla ogrzania się... Inni usiedli na pniach przydybanych lub na śniegu mchem okrytem, którzy z trudem wyszukali.

Przeszła długa chwila.

Wreszcie dowódzca powiada;

— Bracia! Idźmy do wioski! Niepodobna, niewierzę, iżby Moskale już dziś szli w tropy za nami, wszak wiedzą, iż to noc Wigilii... noc cudu niezmiernego... noc święta i pełna miłosierdzia... Nie! wszakże poganami nie są, wszakże i oni Wigilie obchodzą... Idźmy do wioski, rozejdźmy się po chatach, każdego z nas lud poczciwy przygarnie, ogrzeje i ciepłem pocieszy słowem.

Spojrżeli na dowódcę i w oczach im błyska wielkiej radości ogień. Zrywają się, zbierają co tchu, wołając:

— Do wioski chodźmy! Do wioski, do chat ukochanych,

do grona tych, co opłatkiem z nami łamać się będą, co kolędę żywo zanucą!...

— Jak ptaki błędne spadniemy im niespodzianie tuż u wrót stając... przyjdziemy jak pielgrzymi ubodzy i biedni.

— Ach!... idźmy!... nieprzeparła moc ciągnie do chat w ten wieczór święty... Serce ulata z piersi i szuka ogniska; pusto i smutno wśród drzew martwych i śniegu zimnego.

Tak jedni i drudzy wołają, tak usprawiedliwiają tę swą tęsknotę za sercem ludu... a jednak trwoga ulata nad nimi...

O! nie ta trwoga, co plami bohaterów. O! nie ta trwoga, co osłabia męstwo i samolubstwem truje ducha, lecz jest to raczej troska serdeczna o braci we wiosce zamieszkałych, o ten lud drogi, którego mogą Moskałe zgniebić za przytulenie tułaczów leśnych choćby na noc jedną.

— Idźmy powoli rozrzuconą gromadką, radzi dowódzca, noc tylko spędzimy w chatach, a o świcie już ruszemy w las.

— Byle tylko na Pasterce usłyszeć kolędę, prosi jeszcze Mieczek, młody chłopczyna.

* *

W lesie już głęboka ciemność zapadła, gdy powstańcy wybrali się w drogę.

A przed nimi leciała ciemnoskrzydlna tęsknota i niosła myśli ich smętne ku rodzinnym gniazdom.

A za nimi jak wąż obrzydły sunął się szept szpiegów moskiewskich, którzy każdy ruch obrońców Ojczyzny śledzili i majorowi Zajcowi donosili.

* *

Na drodze przed wioską stoi jakaś postać szczupła i niska.

Zatrzymuje ona pozdrowieniem Chrześcijańskim pierwszą grupę powstańców idących ku wsi, i zaraz dodaje żywo:

— Do mnie proszę na wigilię... do mnie... Mieczek poznaje proboszcza... rzuca mu się do rąk i woła:

— A skądże ksiądz proboszcz wie, iż my tą drogą iđziemy?... O! jakże szczęśliwy będę, iż tu przełamie się opłatkiem, gdy od rodziców zdała. Ksiądz Poboszcz tuli do serca powstańca małego, a drugą ręką daje znaki w oddali stojącym:

— Bliżej, bliżej, moje dzieci! razem pójdziemy, u mnie miejsca dość, barszczu nie zabraknie, miodu z orzechami stanie.

I wiedzie do swej plebanijki ubogiej cały zastęp powstańców lichy odzianych, dobrze przemarzniętych i wygłodzonych co się zowie.

— Skądże ksiądz wiedział o nas? pyta znów dowódzca, który z ostatnią gromadką wszedł do plebanii.

Ksiądz zaś uśmiechając się pocziwie odpowiada:

— Myślicie, iżem ja zaszyty wśród ciepłych ścian jak ślimak w skorupie.

Wiedziałem o was już przed trzema dniami, ale nie mogłem zbliżyć się, boście byli otoczeni. Dziś gajowy zaufany mój, doniósł mi, iż zbliżacie się ku wsi. Wyszedłem, bo wiedziałem, że ta święta noc wywabi was z leśnych gąszczy.

Ksiądz ma w domu brata staruszka, kalekę, po długich więzieniach z roku 1831; żona jego, jak gołąbek siwa, uwija się przy stole, nakrywa, radaby tylu gości uraczyć jak najlepiej.

— Jak pastuszki do stajenki, tak przyszlście dziś do mnie, ciesz się Proboszcz... radbym wam dogodzić dziś, ucieszyć. Każdy z was, daleko ma kogoś z rodziny, każdy z was go dzien, by go uczczono... wszakże obrońcami wolności jesteście!

Ksiądz Proboszcz mówi z drżeniem. Nic dziwnego! Obrońcą Ojczyzny był i on — i on stał pod sztandarem wolności!

Lecz oto do opłatka.

Bierze Pleban w białe swe dłonie talerz z opłatkami, rozdziela, łamie i życzeń wiązki rzuca:

— Obyście doczekali zupełnego szczęścia w Ojczyźnie!

— Obyście wywalczyli to, co jest świętą naszą własnością, ziemię całą i prawa narodu!...

Niejedna łza zamigotała pod powieką, niejedno westchnienie w dal popłynęło. Najdłużej tulił do siebie ksiądz dziecko małe, któremu nie mógł zdradzić strasznej tajemnicy, iż matkę jego Moskale przed tygodniem zabili, a ojca porwali w Sybir.

Zasiedli do barszczu.

Biedni! Są między nimi i tacy, którzy już od kilku miesięcy ciepłej w ustach nie mieli strawy.

W trzech pokoikach Plebana dziś rojno. Jedni siedzą przy stole, inni poczynają już nucić kolędy wedle zwyczaju, a są i tacy, którzy wzruszeni i rozczuleni opowiadają ciekawe wspomnienia z lat dawniejszych.

— Hej! lesie ty nasz, lesie, odzywa się Mieczek wesoło... gdybyś ty wiedział, jaka to cudna wigilia powstańców w chacie księdza Plebana, tobyś tam szumiał z zazdrości i szeptał z żalu, żeś to nie z nami.

— Co tam las... odzywa się inny. Niejeden z tych piecuchów leniwych, co to bał się iść na wojenkę z Moskałem, gdyby wiedział, jak słodko służyć Ojczyźnie i dla niej cierpieć, pożalowałby swego lenistwa.

— Dzwonią na Pasterkę!...

— Huknijmyż kolędę z całej siły!

I cudna, poważna, uroczysta pieśń »W żłobie leży, któż pobieży«, popłynęła jak modlitwa rzewna szczeropolska ku niebu... i gdy siwy Pleban ukląkł pierwszy — schylili się wszyscy pokornie nucąc z powagą:

»Pastuszkowie przybywajcie!

»Jemu wdzięcznie przygrywajcie

»Jako Panu Naszemu!

— Dobrodzieju! Ratujcie się!... woła jak trup błądy gajowy... Moskale!...

— Gdzie?...

— Idą z lasu... ratujcie się!

Wszyscy stanęli pod bronią. Cisza grobowa. Naczelnik oddziału radzi z Plebanem:

— Idźcie! mówi staruszczyk Pleban, idźcie tędy nad rzeką, tam jar głęboki, skryjcie się...

— Może lepiej stanąć tutaj... obronić Was, Przekacznik Księżę Proboszczu!

— Ja idę na Pasterkę — tam moja obrona... Msza Święta, nocna msza ofiarna... Nie lękam się... Wy obrońcy, ratujcie się!

I poszli biedni powstańcy drogą nad rzeką, kędy jar głęboki, gdzie ukryci przetrwać mogli do świtu...

* * *

Ucichła koleśda — plebania została prawie pusta i głuha... Dzwony z kościółka wołają:

I z chat białych lud wypływa niby orszak duchów śnieżystych... a z trzech stron, do wsi wciska się wrogów chmura, Moskali oddział straszny pod komendą majora Zajcowa.

— Czego chcecie?... pytają dzwony rozplakane i jakby strwożone na łoskot ich broni, na syk ich przekleństw...

— Czego chcecie w tę noc świętą, w tej chwili tak uroczystej? Przychodzicie do tej wsi spokojnej, która Wam krzywdy nie zrobiła, niczego Wam nie zabrała, która modli się i chwali Boga dziś Narodzonego, Boga, który przyniósł pokój ludziom na ziemi i ludziom niebo otwiera... Czego chcecie?

A z pod kopyt końskich skry się sypią i huk od zmarzniętej ziemi odpowiada:

— Mordu chcemy! Krwi chcemy!... Lud zaдрżał, oniebiał, nie wie, co począć z sobą.

— Biada nam! Biada!... szepcą z trwogą kobiety... także święta będą z ich przekleństwami, morderstwami i ich krzywdami?...

— Jezu w żłóbku złożony! Ratuj nas! Wrogi straszne na nas idą, chaty spalą, ludzi pomordują i tę noc świętą znieważą.

Na Pasterkę wołanie dzwonów nie ucichło — kościółek od świateł się pali, organy już grać zaczynają...

— Niech będzie co chce!... Niech jadą wrogowie, a my do Boga! My do kościółka, my jak pastuszki biedne i nieszczęśliwe do Ciebie, Jezu Malusieńki!

»Anioł pasterzom mówił.«

I lud rzuca się na kolana w kościółku ubogim i łzami skrapia posadzkę zdeptaną, a staruszek Pleban o północy Mszę świętą pasterską rozpoczyna.

Nie długo to trwa.

Kozacy do kościoła wpadają, depcą, biją, roztrącają.

Wdarli się na chór, organistę spychają, a sami dla igraszki, dla zniewagi grają na organach szatańską muzyką i hałasem.

Wszak żaden z nich grać nie umie, lecz dla dokuczenia i znieważenia modlitw uderzają w wszystkie klawisze, dmą, huczą i piszczą.

Lud ręce wznosi błagalnie:

— Zlitujcie się!... Tu Bóg mieszka... On tu z nami, On na was patrzy... On was słyszy...

Dziki wrzaski odpowiedzią są na to. Na progu kościelnym rozciągniono organistę. Dziesięciu kozaków trzyma go za ręce i za nogi, a praporszczyk muromskiego pułku, Sobolewski, bije tak, iż krew bryzga na środek kościoła...

W tej chwili siwy kapłan śpiewa:

— »Gloria in excelsis Deo!

Lud jęczy żalonym łkaniem.

— Czego chcecie?... pyta gromada starców siwowłosych, my się modlimy, a wyście przyszli znieważać nasz kościół?... Czego chcecie?...

— Tu są »buntowszczyki« we wsi, wyście ich ukryli, wy za nich odpowiecie... Wszystko w Sybir pójdzie.

— Niema nikogo, my tylko ze wsi, uklęknijcie z nami i Boga chwalcie, wszakże On i dla was się narodził, wszakże On i dla was pokój przyniósł z nieba..

W tej chwili ksiądz śpiewa:

— Dominus vobiscum!...

Lecz praporszczyk każe księdza oderwać od ołtarza:

— Won z nim!... Mołczał!...

Szarpią kapłana, ciągną, biją.

-- Nie odejdę, aż Mszę świętą skończę... potem mnie weźmiecie.

Jakaś potęga świętości przebija w tym spokoju kapłana, nie śmia już ręki podnieść — czekają.

Ofiara kończy się...

Przy odgłosie dzwonka zwiastującego Podniesienie, koza-cy na organach biją szablami i gwiżdżą dziko... Organista na progu trzymany, oddaje Bogu ducha...

A chóry Aniołów z nieba zastępują, by oddać cześć Majestatowi Bożemu, ukrytemu pod postacią białego Chleba.

Łud przytulony czołem do ziemi z jękiem skargi najcięższej, przecież jeszcze śpiewa:

— Ach! Witaj, Zbawco, zdawna żądany!

*

*

*

Za długo czekać Zajcowi na koniec Mszy. Idzie do ołtarza, kopie księdza, wyrывa mu z rąk kielich, wyciąga puszkę, rozsypuje komunikanty i drwiąc, śmiejąc się, plując, każe spętanego kapłana wieść na plebanie.

— Gdzie masz pieniądze?

— Nie mam! Ubogi jestem... pasterz jestem ludu biednego.

— Gdzieś chował broń »buntowszczyków«?...

— Nie miałem broni... modlitwę tylko mam.

— Grzebaj tu ziemię i szukaj, czy nie ma broni!

Zamarzłą ziemię każe biednemu kapłanowi odgrzebywać palcami... Krew się leje, skóra złazi, ziemia twarda jak sumienie Moskale nie chce się kruszyć.

— Szukaj w piwnicy!... Tu nie masz pieniędzy?

W ciemnej piwnicy biją kapłana tak, iż mu krew ustami bucha... Lewa ręka zwisa już złamana.

Na gnoju pod stajnią rozłożono go, szaty z niego zwlekają... tną nahajami.

Kościół podpalony świeci zdala jak pochodnia pogrzebu — wieś z czterech stron podpalona bucha kłębamii dymu i iskier tysiącami strzela w niebo...

A lud?

Dobry, pocziwy, wierny lud, dla którego ów kapłan lat 30 pracował, za którego wolność i szczęście przelewali krew powstańcy, rok już cały... lud stoi zbolały, drżący, spłakany, ale za broń nie chwytą i wroga nie depce siłą zapału...

Oddział powstańców goszczonych w wigilię na plebanii, wpada na pomoc i cudów dokazuje, ale 40 ludzi w obec 600 zbrojnych dzikich i pijanych, to kropla... w obec morza.

Major Zajców, dopiero rankiem białym rozkazał odwrót, gdy miał już ośmiu powstańców w kajdanach, 26 zabitych, a reszta ciężko rannych leżała na wozach, nawet bez wiązki słomy.

— — — — —

Kapłan żył jeszcze.

Brat jego wisiał na dzwonicy kościelnej, siwa staruszka, bratowa, z wypalonymi oczyma siedziała na progu dopalającego się domu. Płomienie już poczynaly ją obejmować, gdy Mieczek mały choć ciężko ranny rzucił się jeszcze, aby ją unieść przed ogniem.

Rozgniewany tą zuchwałością praporszczyk Sobolewski ciął Mieczka i położył go trupem.

— — — — —

W godzinę potem Moskale odjechali.

Ze spalonej wioski leciał za nimi straszny jęk ludu płaczącego, sunęła się chmura dymu czarnego i szła żałoba ciężka, krwawa... żałoba nieszczęsnej Polski, którą przemoc zabija, depce i w grób wpycha.

Po co oni przyszli do Polski?... Za co mordują i więżą?
Chcą zabić wiarę, spodlić dusze, wziąć pod swoje stopy miliony ludu, któremu Bóg dał ziemię, mowę, wiarę i życie.

Gdyby ten lud rozumiał i wiedział, czym jest powstanie narodu, gdyby był wszystek stanął ramię w ramię do pomocy i obrony — Polska byłaby zwyciężyła.

Taką była wigilia w roku 1863. we czwartek, we wsi Zatory. A ci, co o niej usłyszą, co rzekną dziś?

Jedni powiedzą:

— Powstańcy winni, bo, gdyby ich nie było, nie byłiby Moskale do wsi wpadali.

Lecz na to opowiadamy:

— A w Polsce powstańców żadnych nie było, kiedy carowa Katarzyna posyłała pułki swoje, Sybir wypełniała Polakami i Polskę rozszarpać kazała.

Dlaczego powstańcy powstali? Aby wypędzić katów z Ojczyzny.

Powiedzą inni:

— Lud winien, bo nie szedł do pomocy.

Lecz opowiadamy:

— Nie winien, bo nie rozumiał, o co idzie, nie miał oświaty i nie wiedział, o co walka.

— — — — —
A więc kto winien?

— Moskwa! Ona śmierci Polski chciała oddawna: »Albo my, albo wy« — oto jej hasło! Ona Polskę zabija, ona tysiące krzywd już wykonała.

I my winni, bośmy ludu nie uświadomili i dotychczas nie nauczyli go, jak ma kochać Ojczyznę.

— — — — —
Gdy na Pasterce na głos dzwonka padniemy na kolana, módlmy się o wolne, szczęśliwe i pokojem Aniołów uświęcone życie dla Matki naszej, Ojczyzny — Polski!



„Za cara.“

Iść musiał.

Gdy przyszedł rozkaz wymarszu na Wschód — ku Japonii — zdało mu się, iż wrósł w ziemię, jak dąb, że nie ruszy go żadna siła... zabijają, a nie popędzą z Ojczyzny. Jednak pognali. Zdawało mu się, iż pierwszy ból był najcięższy, ten ból, który go zesztynił, przykuł, zabił na chwilę. Ale po nim szły coraz cięższe cierpienia i bóle, spadały na serce coraz większe głązy zwątpienia, owijały się około duszy coraz czarniejszych myśli chmury.

— Za co? — Za kogo?... Za cara idziesz walczyć, cierpieć, ginąć? Za cara?... Za tego, który ojca twego rozstrzelać kazał, który stryja twego przykuł do taczki sybirskiej, który w wiosce naszej kościół kazał przed laty zamknąć i krzyże porąbać, co wśród pól stały?

— O! tak!... odpowiadał Polak, ubrany w mundur moskiewskiego żołdata, — idę walczyć za cara, za tego, który dusi Ojczyznę mą miłą, który zabija matkę moją najokropniejszymi męczarniami, który jest nieszczęściem i dopustem Bożym dla narodów — ja za niego iść muszę do walki — ja Polak, mierzyć będę musiał w pierś ludu miłującego wolność... bo taka jest kolej wydarzeń na ziemi nieszczęsnej, taki los ludzi w niewolnicze szaty obleczonej.

I poszedł.

Nie pożegnał ojciec biedny drobnych dzieci swoich, nie przytulił do serca żony swej ukochanej, nie popatrzył raz ostatni na zagrodą swą miłą, bo go chwycili w brankę nagle, ubrali w szynelę i pognali w świat...

A za nim wlokła się straszna mara tęsknicy czarnej i szedł głos, raniący serce ciągle jednym i tem samem słowem: Za cara... Za cara!

— — — — —

W ostatniej walce padł ranny.

Wąski strumień krwi sączył mu się z piersi i zsuwał krople rubinowe na ziemię dalekiego kraju...

— Za kogo krew tę polską siejesz w ziemię cudzą, pyta rannego szmer wody pobliskiej... a on szepcze ze smutkiem głębokim:

— Za cara ją sieję, ja syn ziemi krwią całej przesiąkłej!

— Za kogo cierpisz w tęsknocie i smutku, pyta gwiazda wschodząca na niebie?... a on w pół senny i omdlały szepcze:

— Za cara!... Za tego, który nie chce życia mej Ojczyzny, ...Ojczyzny... nasz!...

Jęknął — szarpnął się z bólu i nową strugą krwi pierś swą broczy...

Zastonił oczy dłonią, szepcze ostatni może pacierz... a w mgle nocy — w ciszy opuszczenia, w bólu strasliwym poczyną czasami wspomnienie duszę rozrzewniać.

— Pamiętasz?... Ta sama gwiazda świeciła, gdy matka do świętej wigilii wołała... Ta sama gwiazda jaśniała przed oknem domostwa, gdyście pierwszą koleną nucić poczynali...

— Za cara — wymawia ranny cicho... — O! Ojczy, który jesteś... w niebie...

— »Pamiętasz? pyta wspomnienie, jakoby też szelestem mówiące: — tamtego roku, dzieci cię otaczały, wieszały się u szyi twojej, najmłodszy rączkami obejmował twe czoło — świeciła ta sama gwiazda, byłeś w domu — wśród swoich — święty wieczór wigilijny był szczęścia pełen?... gdzieś teraz ty? gdzie dzieci twe biedne? żona osierocona?

— Za cara — szumi fala morska.

Ranny oczy otwiera, szuka gwiazdy. — Z piersi wydziera się krzyk pacierza:

— Bądź wola Twoja!... Boże!...

— Pamiętasz? mówi wspomnienie... potem dzwony grały wielką pieśnią wesela i radości, potem chór wiejski ogłaszał »W żłobie leży,« potem świtał dzień wielkiej radości i chwaly... a wy byliście razem...

— Boże!... Przyjdź — już — królestwo Twoje! jęknął skargą i prośbą żałosną ranny i zebrawszy wszystkie siły, rzucił się, dźwignął, wstał...

Dokoła cisza... morze gra w dali — niebo zasiewa się gwiazd krociami — od fortu słychać czasem szept lub jęk... Posunął się krok — dwa — zawadził o skostniałe ciało również rodaka, zwrócił się na lewo — to trup i krew. Ból czoło mu pali, z piersi krew się sączy, myśli rwą go w stronę daleką, a wspomnienie znów pyta:

— Widzisz twą wioskę i dom? Obielony, nie złoci się blaskiem światła z okienek, nie dzwoni echem pieśni twych dzieci...

Tam wszystko smutne i ciche. Przy wigilii nie miała się z kim podzielić opłatkiem żona twa biedna, nie było komu zaśpiewać z dziećmi... a gdy sieroty pytały ze łzami, gdzie ojciec? matka odpowiadała:

— Za cara się bije.

— Ach! »Odpuść nam... winowajcom«... przerywa ranny — Za cara się bije?... Precz!... Milcz! pokuso! nie męcz mię tym szeptem! Nieprawda! Ja się za cara nie biję, ja za niego nie walczę, jam Polak... Ja kajdanami tu wleczony ginę. Boże! przyjmij krew moją i bóle moje i śmierć, i nie dawaj na zagładę krwi dzieci Ojczyzny mojej, skróć bóle narodu w niewoli, a od śmierci broń i zachowaj!...

Gwiazdka jasna wyrzała z za chmur — lekki wiatr przesunął swe skrzydło spokojnie... z rany piersi Polaka sączyła się krew, a wspomnienie jeszcze stało z rozpię-

temi skrzydłami i czekało, kiedy będzie można znowu mu szeptać.

W godzinę potem — znalazł omłotałego brat jego Stanisław. Niósł go długo w noc ciemną, po trupach i kałużach krwi stąpając, aż zmęczony, ułożył go przy najbliższem ognisku.

Zebrani w koło żołnierze, nucili z cicha: »W żłobie leży«. Po licach ich sączyły się łzy gorzkie, ciężkie łzy bólu i tęsknoty za Ojczyzną... a od tej pieśni pełnej smutku szło echo dalekie po załomach nadbrzeżnych fal i powtarzało echem raz po raz.

— Za cara! — Za cara!

Ranny otworzył oczy, poznał rodaków i wyciągnął dłoń, jakby ich chciał powitać — ręka opadła bezwładnie.

W tem rozległ się strzał — dano hasło do nowej walki. Wszyscy poszli do szeregu, a na ziemi wilgotnej konał wpatrzony w gwiazdę jasną ten, któremu wspomnienie szeptało długo: — Dzieci twe tuliły się do ciebie, żona cię błogosławiła, dzwony grały, święto było i w sercu i w życiu i dookoła...

Ale ranny nie słyszał już tych słów — zapatrzony w niebo jęknął po raz ostatni słowem: Ale nas zbaw!... Zbaw Polskę!

* *

A tam — w cichej wiosce Polesia, w domu osieroconej rodziny, mija wieczór wigilijny w bólu i smutku.

Matka łzami zalana klęczy przed obrazem Najświętszej Panienki i modli się głośno. Dzieci drobne złożyły ręczka i powtarzają słowa pacierza. Nie zanuci nikt wesołej kolędy, nie weseli się nikt szczerze, choć to chwila radości dla całego chrześcijańskiego świata.

— Módlmy się o szczęśliwy powrót ojca, szepcze matka, podnosząc wzrok ku Bogarodzicy...

A dzieci z łkaniem żałośnem wołają chórem:

— Najświętsza Panienko! wróć nam tatusia, przyprowadź go z dalekiej wojny.

W tem głosy umilkły... Zbladły usta dziecięce, matka drżąca ku drzwiom się zwróciła. Słysząc było brzęk broni — kroki pod oknami.

— Otwieraj! ozwał się ostry głos żołdata... weszło pięciu uzbrojonych, chmurnych, strasznych.

Czego szukacie? — pyta kobieta zbierałymi usty.

— Pójdziecie w areszt, roznosicie listy buntownicze, namawiacie ludzi, aby na wojnę nie szli, aby kobiety swoich mężów i synów nie puszczały, mamy o wszystkim powiadomienie — a podpisy na adres do jakiegoś tam Papa rzymskiego czyście nie zbierały... Tu nie Papa rzymski jest Pan — tu car — Hosudar! Jest rozkaz — zabierać się.

-- Mamo!... jęknęły dzieci!... mamo! nie idź od nas!

— Za cara będziesz jeszcze i ty cierpieć, szepcze najstarszy synek.

Lecz ciężka, żelazna dłoń żołdata już mu usta zamknęła, obaliła chłopczynę na ziemię, oczy mu bielmem zasłży.

— Zabieraj się! woła stanowy.

Żołdaci kobietę ciągną i wloką, dzieci z rozpaczą wieszają się u rąk matki.

Krwia zbitych dzieci zabarwiła się ściana ubogiej chaty. Łzami matki skrapiała się ścieżka śniegu, po której wleczono żonę polskiego żołnierza, konającego w oddali na polu bitwy.

* * *

A z dalekiej strony od boru ciemnego słysząc echo grających dzwonów, zwołujących lud z wioski na mszę pasterką w noc Bożego Narodzenia.

— Za cara giną waszych szeregi, szeptały stare drzewa w wiosce ubogiej, idźcie się modlić o zlitowanie Boże, by krwi niewinnej nie dawał na wytępienie!

— Za cara męczą i katują te istoty, które chcą żyć i pracować dla Polski i wolności, mówiły gwiazdy drzące... Idźcie się modlić, by Bóg dał dzień pokoju i sprawiedliwości!...

— Za cara cierpi naród polski... wołały dzwony rozko-
łysane... błagajcie Odkupiciela o świt lepszej doli — niech
ogłosim jak najprędzej chwilę tryumfu i wolności w Polsce.

I szły dzieci splakane, szepcząc:

— Ojcie nasz!

— O! Ojcie! kiedy się skończy niedola i sieroctwo naj-
biedniejszej i najwierniejszej Ci działwy?



Sama jedna.

Dzień za dniem...

A potem noc po nocy — tak i dużo czasu minie. I las już stoi dawno czarny, bez liści, jak sierota bez wesołości.

I na polach już dawno pusto i głucho, jak w tem sercu gdzie niema nadziei.

A rzeka skamieniała łodem i znikła pod śniegiem.

Tak przysła zima.

W Jasienicy chaty dobrze przed mrozem opatrzone, bo tu z północy nieraz wiatr dmie silny, więc pookładali gospodarze ściany słomą, albo liściem suchym.

Czasem to i tak otulili okienko, aby do izby nie wiało, że się ledwie człek dopatrzy, gdzie się to oczko chaty ukryło.

Ale jedna chata nie otulona zagatą ze słomy, ani jej okienko nie osłonięte dookoła.

Któż tam we wsi dba o nią!...

Gospodarza tam niema, niema tam dzieci drobnych, co- byto w bosc nożęta marzły, niema nijakiego bydłęcia przy chacie, coby też ogrzać na zimę potrzeba.

Chata ta — zawsze inna, jak wszystkie chaty. Kiedy w noc ciemną — każda chata śpi spokojnie, to z okienka owej chaty bije światło dłuugo, a dłuugo, jakby z jakiej latarni, co ludziom świeci...

Kiedy każda chata rozbrzmiewa weselem i śpiewaniem radosnem, to tam cicho i głucho, jakby żywej duszy nie było...

Tak i teraz.

Po chatach zasiedli ludziska do świętej Wigillii — prze- łamali się opłatkiem, po zwyczajn, życzyli sobie, dzieciom, ro-

dzinie, czelaǳi, nawet i chudobie, aby się chowała zdrowo, a na pożytek, teraz śpiewają, aż echo bije daleko...

A tu cicho...

Z okna blade światło ścieli się po śniegu, rzuca trochę błysku na wierzbę spróchniałą, co pod chatą się tuli, niby jakaś babina nędzna, a w izbie cicho...

Zauważyła to pocziwa Karolowa, żona cieśli. Ona tu najbliższej szkoły mieszka, to i widzi nieraz jak bywa.

Posprzątała od wieczery, jak należy, usiadła na ławie, słucha kołędowania ǳieci, które tak ǳwonią śpiewem, jakby sto skowronków do izby wleciało, a potem zajrzała przez okno i myśli:

— Coś w szkole cicho... a no! nie ǳiwota.

Sama jedna tam panienka siedzi, to i komuż będzie śpiewała kołędy?

Już tu od jesieni jest nauczycielką w szkole, ale mało ją ludzi zna we wsi. Niby niema śmiałości do ludzi, nie chodzi po chatach, nie gawędzi z matkami, sama jeno sama.

Karolowa ǳuma:

— Mój Boże!... Jakże jej tam musi być markotno samej jednej — że też to taka sierota, nikogo niema na świecie — sama jedna! sama jedna!

Dwoje starszych Karolowej wyśpiewuje co siły:

— Radość ludziom wszęǳie słynie,

— Anioł budzi przy dolinie...

— Ej!... mówi Karolowa, nie każdemu tam teraz radość, ǳyć popatrzcie, w szkole pani nauczycielka sama jedna, ta i kto jej zaśpiewa?...

Spojrzeli wszyscy w okno.

Szkola stoi naprzeciw, cicha — milcząca — głucha.

Stara wierzba chwieje swoje nędzne pręty i niby coś szepce sierocie...

Jasiek, co to posłyszał o pani nauczycielce, dalejże prosić:

— Dajcie, Matulu! co dla pani nauczycielki, zaniose...

Nabrała Karolowa pierogów i kaszy, udzieliła trochę miodu i orzechów, ukroiła kawał chleba i idzie z Janem do szkoły...

A Karol, jako cieśla, bywały po świecie, rzecze: — Nie weźmie!... Obaczysz że nie weźmie!...

A dzieci w izbie zaczynają znów kołędować wesoło, aż echo bije od ścian...

— Wesołą nowinę, bracia słuchajcie!

— Niebieską dziecinę z nami witajcie!

— — — — —

Nauczycielka otulona chustą ciepłą siedzi od dawna na jednym miejscu, jakby żelazem ją co przykuło, ani ruszyć się nie może.

Oparła głowę o zimną ścianę, zapatrzyła się przed siebie, a myśli jej poszły kędyś daleko, bardzo daleko...

Sama jedna!...

Nie było komu przełamać się z nią opłatkiem, nie było komu rzec jej bodaj jednego słowa życzenia i pociechy, nie było komu przytulić jej głowy do swego serca, boć tu ona sama jedna, a rodzina jej — jej rodzina?...

— Boże! Boże! szepcze młode dziewczę, jakże daleko szukać mi tych, których kocham, którzy mię kochali?...

— Łzy potoczyły się po twarzy nauczycielki. Zziębłe ręce ocierają łzy, a w głowie coś szumi i huczy, jakby w lesie wichur daleki...

— — — — —

W tem ktoś puka.

— Kto tam? — pyta dziewczę z niepokojem...

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odpowie Karolowa — niechże panienka nie wzgardzi naszą wieczerzą, niechże się nie obrazi, że my tu przyszli.

Nauczycielka wyciąga ręce i przytula do ust pomarszczoną i zgrzybiałą dłoń Karolowej mówiąc przez łzy:

— Moi wy drodzy!... Niech wam Bóg nagrodzi!... Tak mi już było smutno i pusto, iż zdawało się, няма nikogo dla mnie z sercem, a ja sama, sama jedna...

Jasiek wyklada z chusty jabłka, orzechy, i miód w szklance stawia na stole, a Karolowa też pociesza nauczycielkę.

— Czegoż byście mieli być sami, nauczycielko nasza! Czy to my nie swoi? Czy to my nie chrześcijanie?... Jenó, że my nie tak śmiali, aby iść do szkoły, a wy do nas znów nie przyjdziecie.

— Ot widzicie — rzecze nauczycielka — jestem sama jak sierota, a przecież nie sierota... ojciec mój...

— To ojca macie? — woła Karolowa ze zdziwieniem — a czemuż nie pojechaliście na święta?...

— Moja matka!... Gdzie mój ojciec, tambym nie dojechała.

— Ojciec mój na Sybirze!...

— Chryste Jezu!... Na Sybirze?...

— Bo nie dał ochrzcić dziecko na prawosławie... bo mię wywiózł z tamtych stron, aby do szczyzny nie zmuszali.

Kobieta fartuchem łzy ociera... a nauczycielka mówi:

— Jakże nie będę sama jedna?... Matkę zabili kozacy, gdy nie chciała dać dziecka do cerkwi prawosławnej... ojca na Sybir wygnali, a brata wzięli w żołdacy... Ukradkiem przeprowadził mnie ojciec przez granicę, gdy m dziesięciu lat nie miała. Wychowali mię poczciwi ludzie — szkoły skończyłam — i poszłam pracować...

— I nikogo tu nie macie?

— Nikogo!... Daleko, bardzo daleko, za Warszawą i jeszcze dalej są tam nasi krewni, ale mi do nich jechać nie można... ukaraliby Moskale srogo... tu zaś — choć wkoło rodacy — choć swoi, przecie nikt mię nie przygarnie, ani nie przytuli ku sobie.

Karolowa nauczycielkę całuje jakby własne dziecko, gładzi jej włosy nad czołem, a pociesza i pieści jak umie:

— Nie żalże się sieroto, nie żal, żeś tu sama jedna we wsi, my ci tu będziemy, jak rodzina, my cię tu za dziecko uznamy — tylko nie gardź chłopskim sercem, ani nie smuć się zanaǳto! Boża Dziecina nikogo bez pociechy nie zostawi. Jenó przełam się opłatkiem, w serce ci radość wstąpi — zjedz co trochę, bo ci i z głódu łzy płyną... Tak przecie naróǳ powiaǳa, że w tę świętą noc Bożego Narodzenia nikomu się płakać nie goǳi — chyba z radości, bo pociecha sama leje się z nieba po całej ziemi...

— Moja matko!... a tym co na Sybirze, co w więzieniach, co w cytaǳeli — za wiarę i Ojczyznę cierpią — jakaż ǳiś pociecha przyǳie?... A tam ojciec mój — ojciec mój znękany, sterany?...

Jasiek słucha.

Daleko myśl jego leci i serce buǳi się żalem.

— Toż to tak bywa?... A my o tem nic nie wiemy?...

— Tak moje dziecko!... Są tacy którzy cierpią wiele, są tacy, którzy są sierotami, choć im mogiła ojców nie zabrała, są tacy, którzy są sami jęǳni, choć przecie mają na szerokim świecie kogoś ǳrogięgo sercu...

Długo jeszcze sieǳi Karolowa u nauczycielki, a ǳiewczę opowiada o niedoli braci z pod Chełma i Litwy... a ǳo opowiadań tych ǳołącza się niejeden raz płacz cichy — sieroty nauczycielki i echo wesołych pieśni nuconych we wsi.

Przeszło życia kawał wielki.

Niejeden raz oǳ tej pory obchodzono w Jasienicy świętą Wigilię. Nie jęǳen raz śpiewano kolęǳy wesołe, ale już nie była wtedy nauczycielka sama jęǳna, bo ją zapraszano co roku ǳo innej chaty i jak ǳiecko własne przygarnięto ǳo serca.

Życie szło...

A kaǳdy rok był rokiem pracy ciężkiej i mozolnej, wyczerpującej siły młódej istoty.

Coraz więcej we wsi przybywało światła nauki, dobra w cnocie i prawdzie, miłości w zgodzie i jedności...

Coraz więcej błądły lica nauczycielki sieroty, a głos jej stawał się coraz cichszym... Orała i siała bez wytchnienia... a nikt nie spytał:

— Czyli spoczywasz?...

Jasio Karolów wyuczył się na dobrego tkacza i wyrabia w miasteczku prześliczne obrazy — dwóch ze wsi uczniów z tej szkoły poszło na księży... jeden uczy się na doktora... We wsi wszyscy nauczycielkę kochają i szanują... bo im dobrze z taką cichą pracownicą... A życie idzie i idzie...

*

*

Znów nadeszły święta!...

Już tego roku będzie na Wigilię u Karolów, już się stara kobiecina cieszy i raduje...

W chacie ludno. Jest zięć i wnuczek mały.

Jaś przyjechał z miasta — przyszli sąsiedzi... Stół nakryty — opłatki z miodem... ino zorza zejdzie, będzie wieczerza...

— Coś pani nauczycielki nie widać...

— Skoczno Jasiu, po panią, wszakże ty jej uczeń, ona tobie, jak matka...

W chacie wesoło. Śmiechu pełno!... wszyscy razem...

— — — — —

A pani nauczycielka w izdebce na pościeli leży sama jedna.

Nie zbudzi się na wołanie Jasia — nie poskarzy się jak wtedy — dawniej — »samam jedna«!...

Zamiast wesołej kolędy przyszła do niej śmierć cicha i uspiła ją... serce jej pękło z bólu za swoimi... i poszła jej dusza daleko... do Pana po nagrodę za trud i pracę pełną poświęcenia... a w izdebce głucho.

Leży cicha — smętna.

Sama jedna! sama jedna!

Nie sama jedna. Dusza jej złączona z duchami tych, co ją na ziemi kochali, których ona miłością dziecka i brata kochała, w niebie — tam, gdzie żadna nie dosięgnie już prze-moc wroga, ani gwałt srogi oprawców i katów — gdzie sprawiedliwość odtwieczna nagrodę wymierzy za łzy, cierpienia i krew przelaną w obronie Wiary i Ojczyzny!



Obrazek ze wsi.

»Anieli grają! — pasterze śpiewają!
Cuda! cuda! powiadają!»

Kuba Gobzek był dawniej za leśnego. Czyż go to nie znali wszyscy we wsi? A był ci on i sprawiedliwy i uczciwy. Bywało spotka jaką staruszkę, gdzieś w gąszczach, co sobie do płachty trochę chrustu nazbiera, albo i suchego liścia nagarnie, to nie robił jak terazniejszy leśny, ów Duźzik, co to zaraz klnie i bije i obeдрze z chuściny. Za Gobzeka to nie zdawał się ten las jak teraz, niby daleko, a daleko, bo i dziecko niejedno zabiegło po jagody i dziewucha poszła po kalinę albo kwiaty. Ale co to mówić.

Było i nie jest.

Dwór poszedł w żydowskie ręce. Poszedł las, poszły pola, to i zdaje się cała wieś posmutniała, niby sierota bez rodziców.

A Kuba?...

Nie widzicież go?... Zbiedniał, postarzał się i tak zeszedł na nędzę, że już jeno pół tej chałupiny mu zostało, co się prawie już wali i tylko głód u niego, a płacz ciągły.

Tak i żona jego. Kiedy bywało do dworu zabiegła, pani ją upomniała: »—a nie bądź leniwa, a nie stój z babami na gadaniu, a nie chodź do karczmy, a dzieci pilnuj« — to i szło dobrze.

U Kubów hodowały się gęsi i kury — u Kubów było jak w lustrze czysto, u Kubów nigdy długu nie było.

Teraz — Mendel zabrał dwa zagony »na piaskach« — Goldfisz wziął pół chaty, a Icek nawet ma u siebie w zastawie korale i chustę odświeżoną.

Kuba chory, ani się nie dźwignie z pościeli.

Zośka ich najstarsza, co służy we dworze, niby u żyda — o ojców nie dba, bo się ich nawet wstydzi, a Jasek, Pawełek i Kasia w nędzy się chowają i cierpią nie mało.

Już po innych chatach wesołość, aż miło. Już się opłatkiem przełamali, modlitwy odmówili i zasiedli do Świętej Wilii, a tu... u Kubów pożal się Boże.

Kuba leży, a w piersiach mu gra oddech ciężki, że i słuchać przykro. W izbie brudno — zimno okropnie!...

— Matulu!... pyta Jasek nieśmiało — tu u nas dziś nie będzie ani Wilii, ani opłatka, ani kołędu?...

— Matulu!... Zaścielcie tak obrus na stole jak zaścielili u stryka — widziałem, tak tam pięknie, tak wesoło!...

Gobzykowa z pod pieca wyjęła ziemniaków trochę, a po-
dojąc je chłopcom mruknęła:

— Chcecie jeść — to ustrugajcie, a ja rozpalę tymczasem.

— U stryja mają barszcz, pierogi, kaszę, śliwki gotowane, orzechy, jabłka... — dodaje chłopczyzna z cicha, — a u nas?...

— Widzisz, że u nas nędza! — krzyknie niecierpliwie matka. — Z czego mamy żyć — za co mamy kupić i to i tamto — za co?... Ty nie wiesz, co nędza!... O!... popatrz wlaźła tu w każdy kąt, w każde miejsce i takie to życie z nią... takie ci dziś święto!...

— Nie mów, kobieto, tak, bo mi serce z żalu się kraje — odzywa się Kuba z pościeli... — Nie tak bywało u nas za innych czasów...

— Myślisz, że mnie serce nie pęka — płacząc odpowiada kobieta. — Jużbym wołała nie żyć, a nie znać takiej niedoli, jużbym wołała, aby mnie czarna ziemia pokryła, jak mam cierpieć w tej nędzy i patrzeć, jak wy cierpicie!...

Zasłoniła oczy brudnym fartuszem, a łkając głośno zawodzi tak, iż biedny Kuba podnosi się z całą siłą, bo już leżeć nie może, a dzieci płakać poczynają...

— Bieda nasza, bieda!.. — powtarza Jasiek przez łzy.

— Nie tak u nas, jak gdzieindziej, — mówi Pawełek, a Zosia chwyciwszy matkę za kolana i woła:

— Jeść! jeść! dajcie jeść!..

Kuba zakaszał się strasznie — tchu nie może znaleźć, a tu w izbie zimno przejmuje go dół kości...

— Takie to życie w nędzy i głodzie — lamentuje Gobzykowa — ani się gdzie poratować, ani gdzie zarobić, ani gdzie pożyczyć... chodziłem do stryjny, do kumoszki Jaśkowej, do wójciny, aby mi co dali na święta, ale teraz świat gorszy — a litości nie ma ani krzty... Oj, niedola nasza! niedola!...

Płacz dzieci coraz głośniejszy. Matki skargi jeszcze dalej się odzywają, a Kuba osłabiony i bladej, jak śmierć, upadł na pościel dusząc się w kaszlu...

W tem zaskrzypiał śnieg pod oknami.

Jakieś kroki dały się słyszeć...

Poruszył ktoś kłamką i drzwi się otwały...

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — ozwał się jakiś głos obcy.

— Na wieki wieków!... odrzeknie Gobzykowa, zanosząc się od płaczu — a kto tam?

— Czemu u was tak ciemno?... czego taki płacz straszny?...

— Albo wy nie wiecie, że u nas nędza? — mówi kobieta z płaczem — wy nie wiecie, że już ino śmierć z głodu nam się patrzy... nam niema na świecie ani kęska chleba, nam tylko ginąć, o nas Pan Bóg całkiem zapomniał...

— Cicho! cicho!... nie obrażajcie Boga. Cicho! cicho!... — mówi gość — zapala zapałkę i zbliża się do Gobzykowej...

— Maryo Święta!... — krzyknie Gobzykowa — toż to nasz panicz?... Kuba! panicz... Słyszysz?

Kuba chrapiącym głosem słabo szepce:

— Czy ci się, kobieto, śni?... czy ci się śni?... A panicz zbliża się do chorego i mówi:

— Nie poznajecież mego głosu?

— Panicz?... Boże miłosierny!... Zkąd?... jak?...

— Wiǳicie, moi kochani — ǳiś na to święto Wilii Bożego Narodzenia przybyłem tutaj, bo mi serce rwało się z tęsknoty, bo mi się zdawało, żem jak tułacz najbiedniejszy tam w obcych stronach, wśród obcych ludzi...

— O!... nie wiecie wy, co to znaczy w takie święto, jak ǳisiejsze, być w obczyźnie — być sierotą w pośród cudzych ludzi, cudzej ziemi, cudzego nieba i słońca... Choć mi zdrowia i pieniędzy nie brakuje, brakuje mi powietrza naszej polskiej ziemi, brakuje mi wǳoku rodzinnych mych stron...

— Paniczu! serce złote, paniczu... ta jak? jak? ta wy w naszej wsi?... — szepce Kuba ǳwigając się.

A kobieta chyłac się do kolan mówi:

— To i panicz do naszej chaty trafił? nie zapomniał ǳrogi?...

— Wy myślicie, iż ja zapomniał?... Rozповідаćbym miał wiele, ale później, czemuż nie zaświecicie?

— Nie ma nafty!

— Czemuż nie nakrywacie do Wilii?..,

— Nie ma czem!...

Panicz westchnął, a kobieta znów płakać poczęła, a Kuba znów zakaszał się strasznie.

— — — — —

W godzinę później u Kubów Gobzyków było bardzo wesoło. Gǳy szli chłopacy z kołędami i szopką przez pobliską ǳrogę, stanęli zǳiwieni słuchając, jak tam wesoło kołędy śpiewają.

— Co to? mówi jeden — u Kuby leśnego śpiewają?...

— »Anieli grają, pasterze śpiewają, cuda, cuda ogła-

szają« — mówi drugi — widać, że na dzisiejszy wieczór nawet i tam radość się zjawiała...

W tem nadbiega Jasiek z pieśnią kolędy na ustach.

— Co się stało? pytają chłopacy.

— Bóg nas pocieszył!... Panicz przyjechał z dalekich stron, ten panicz, co go matka moja bawiła, a ojciec go uczył po lesie chodzić na polowanie; ten panicz, co nie przestał kochać swojej wsi, choć był z daleka.

Wieść o przybyciu panicza rozbiegła się po wsi. Jedni wierzyli, drudzy nie. Już przeszło 10 lat, jak wieś żydzi kupili a z dziedziców ani ślad nie został. Terazby wracał panicz? I do czego? i gdzie? I cóżby tu robił?...

Luździe sobie gadają, a panicz zasiadł przy ubogim stole u Kubów i opowiada:

— Ojciec zmarł wkrótce po wyjeździe stąd. Matka w rok za nim. Siostra wyszła za męż. Młodszy brat w szkołach. A on, chcąc koniecznie wieś odkupić, z rąk żydowskich odebrać, pracował, oszczędzał, trochę zebrał grosza i przyjechał, ażeby już tu zostać.

— Nie dacie rady, paniczu!... mówi Kuba — żydzi wysali tu każdy kawałek, zniszczyli wszystko, na nic wieś, na nic pola, na nic wasz dwór stary, na nic nasz las kochany...

— Bóg mi dopomoże, podźwignę jeszcze tę ojcowiznę, a jak przebieduje parę lat, to mniejsza bieda, jak żyć z tęsknotą i żalem za wioską ukochaną... za wami, coście znali i kochali moich rodziców i dziadków...

Opowiada panicz o tem i owem, aż tu ze wsi sypie się gromada procesją do Kubów. Wójtowa z rybą smażoną, Józkowa z miódem i kaszą omaszczoną. Walenty z żoną przynieśli pierogów i barszczu, a inni dają, co jeszcze mają.

— Jakżeby? nasz panicz by we wsi nie miał Wilii?... Jakżeby panicz we wsi nie miał od ludzi poczęstunku?

Gobzykowa nabrała ochoty do wszystkiego. Ściera ławy, omiata koło pieca, a w izbie coraz cieplej, bo się pali rażno na kominie.

Panicz łamie się opłatkiem z wszystkimi, zająda razem z Gobzykami Wilię, a nawet poczyną kołędować wesoło.

— Taki on był od dziecka — mówią sobie ludziska. — Nie gardził biednymi, tak i teraz do nas wrócił, jak brat...

— Odmieni się wieś cała, gdy takiego mieć będziemy dziedzica...

— Opatrzył nas Pan Bóg cudownie — szepcze Kuba, i zda-
je mu się, że już jest silniejszy i zdrowszy, że już widzi swój
las kochany, swoje drogi leśne, którymi będzie znów chaǳać...

Zaś Jasiek z bratem i Kasią śpiewają wesoło:

»Anieli grają, Pasterze śpiewają!

Cuǳa! Cuǳa! powiadaǳą!«...

W rok potem, we ǳworze starym, była Wilia, jakiej naj-
starsi ludziska nie widzieli. Oto, młody ǳiecic wsi zaprosił
całą gromadę do siebie na opłatek i Wilię mówiąc:

— Tamtego roku, wyście mi do chaty Kubów znosili
jedenzenie i przyjmowaliście mnie, teraz ja was przyjmę, ǳięku-
jąc za to wszystko, com od was doznał... Dopomagaliście mi
żyǳa spłacić, dopomagaliście w pracy, dopomagali radą. A na
pamiątkę tego ǳnia, gǳym do wsi wrócił i tej Wilii, która Ku-
bów wyratowała z niedoli, postanówmy, ażeby oǳąd kaǳdego
roku, dwór razem z gminą urząǳał Wilię dla biednych we wsi...

— Wiwat; — krzyknęli gospodarze radośnie, a ǳieci
zebrane przy szopce rzęsiście oświelłonej znów śpiewają aż
echo po całej wsi radośnie się rozlega:

»Anieli grają! Pasterze śpiewają!

Cuǳa! cuǳa! powiadaǳą!«...



Przy Kolędzie.

Czasem, jeszcze czasem, wspominał te lata. Były to lata dawno minione, mgłą bólów i trudów zamglone.

Lecz minęły.

Jeszcze gdy był w drugiej, trzeciej klasie gimnazjalnej, jeszcze był w domu rodziców na Święta, jeszcze cieszył się razem z nimi kolędami miłemi, jeszcze na Pasterce śpiewał wraz z nimi.

Wszystko minęło.

Matka zmarła, ojciec poszedł za robotą w świat daleki i bez wieści zginął, brat go wydziedziczył i wyparł się zato, iż nie chciał wracać do roli.

Potem przyszła nędza, straszna, bezlitosna nędza, która zimnem paliła, głodem ssła, ciągnęła troska o jutro wpijała się w serce.

Wtedy wszystko gasło w duszy młodej!

Zgasła miłość, cnota, nadzieja... nawet wiara...

Życie było jak noc ponure, jak grzech ciężkie i brzydkie...

*

*

*

Szedł do klasy chmurny, gniewny i jak mróz styczniowy — zimny. Do kolegów mało co mówił, a jeśli odezwał się — to tylko słowem gorzycy i niechęci.

— Już tylko dwa tygodnie do świąt, — wołają uradowani koledzy w klasie, — tylko dwa tygodnie, wiwat!... pojedziemy do domu!

— A ty Janku jedziesz ?

— A ty Karolu jedziesz ?

— Daleko masz od stacyi ?

— Jeszcze u was chodzą z szopką we wsi?... A z gwiazd-
ką stoją tam jeszcze pod oknami ?...

Tak pytają się jedni drugich, tak weseli marzą o szczęśli-
wych dniach, spędzonych w domu przez święta...

A on stoi przy oknie i nuci jakąś brzydka piosenkę...

— Niech się oni cieszą jak dzieci... — szepcze do niego
starszy kolega, wysoki brunet... — my już w takie zabawki
nie wierzymy, prawda ?...

Zrobił ruch ręką, jakby potakujący, i nuci dalej.

Drugi kolega powiada !

— Tyle będziemy mieli uciechy ze Świąt, że się do woli
wyśpimy... prawda ?...

W tem zbliża się jeden z najmłodszych w klasie a ser-
decznie uśmiechając się, pyta go :

— Michale!... czybyś jechał, gdybyś miał do kogo ?...

— Do nędzy pojedzie głodem, do biedy mrozem... cha!
cha!... śmieją się koleđzy starsi.

Michaś zaś burknął niecierpliwie :

— Jedź! jedź!... najedz się placków, orzechów miodu...

W tem ozwał się dzwonek, wszedł profesor, lekcya się
rozpoczyna.

* *

Podczas nauki jemu coś szepcze raz po raz do ucha :

— I tyś jeździł na święta, gdy jeszcze matka żyła i tyś
cieszył się koleđą, wigilią, gdyś jeszcze miał swój dom, rodzi-
nę, gdyś jeszcze był dobrym chłopczyną... pamiętasz ?...

— Czego chcesz odemnie maro wspomnień, — myśli
z gniewem Michał. — Mróz dokucza, jeszcze ani razu nie
palił w piecu w mojej stancyjce, jeszcze ani razu nie pił
rano ciepłej strawy... Brr... jak zimno!...

W tem profesor zapowiada :

— Którzy chcą jechać na święta do domów, niech wniosą prośbę do dyrekcyi o zniżoną cenę.

— Hurra! — wrzaśli ci, którzy mieli do kogo jechać, a biedni, osieroceni, nędzą kołatani stali chmurni i cisi...

— Jabym wniósł podanie do dyrekcyi, aby mi kazała choć raz na noc zapalić w piecu — mruży Michał do sąsiada.

— Zaczekaj bratku!... Niech się tylko to gimnazjum raz skończy, zaczekaj, wszystko będzie lepiej.

— Dyabelnie ciężko doczekać, gdy palce z butów wyłażą i gdy zaplesniałe ziemniaki musisz jeść na śniadanie.

— Odkarmisz się potem, rozgrzejesz potem... dostaniesz posadę, sprzedasz się i wszystko mieć będziesz...

— Już mi się to całe życie sprzykrzyło, już mi się ono wydaje funta kłaków nie warte.

* * *

Skończyła się lekcya. Chłopcy śpieszą do domów. Najmłodszy w klasie, miły i ładny Kostuś, syn nauczyciela ze wsi, zbliża się do Michała :

— Jedź do nas na Święta — prosi jakby nieśmiało.

— Co ? Tyś pijany ?... Zwaryowałeś... Ty mnie zapraszasz na Święta?... Osiół!...

— Czegoż się gniewasz ? Wszak nie obraziłem cię niczem, widzisz ty nie jeden raz dla mnie byłeś dobrym, — pamiętasz ?...

— Czy ten chłopiec dostał pomieszania zmysłów, czy upił się?... Co on plecie?... Ja byłem dla niego dobry kiedy?... Psułem go każdym razem, ile razy on szlachetną swą duszę objawił w jakim pięknem i dobrym zdaniu, tom go wyśmiewał wobec całej klasy... On mówi że byłem dobry.

Tak myśli Michał, spiesząc co tchu, bo mróz palił źle odziane nogi, a głód dokuczał bezlitośnie. Już po pierwszej a on naczczło.

Lecz Kostuś spieszy za nim, zbliża się jakby do starszego brata i znów poczyyna:

— Widzisz, mamusia napisała tak do mnie: »Przywieź z sobą na święta jakiego kolegę, takiego który nie wyjeżdża, bo niema do kogo, będzie nam miło poznać twego kolegę i mieć gościa.«

— Nie pojadę!... Daj mi spokój!... Ja tam żadnych Świąt nie mam, w żadne Święta nie wierzę...

Trzasnął drzwiami i znikł w ciemnym podwórzu starej kamienicy.

W kilka dni potem leżał rozgorączkowany na lichem pościu.

Koledzy którzy z nim mieszkali, wyszli.

Był sam.

Nakrył się kocykiem podartym, ręce założył pod głowę oczy wlepił w brudny sufit.

— Chciałem być dobrym, — mówi do siebie, jakby się spowiadał. — Hej! hej!... Miły Boże!... Gdzie te lata moje, które były tak czyste i jasne, jak poranna zorza, któremu błogosławiła matka kochana, obiecując szczęście?... Gdzie te sny moje o wielkich dla Ojczyzny czynach, o tem, czem będę kiedyś dla ludzi?...

Zdaje mu się, że stoi obok niego cichy Anioł, pełen smutku, nazywa się »Żal.« Zdaje mu się, że Anioł ten płacze a każda łza, jaka spadnie... na jego czoło zmywa winę, bieli serce zbrukane i lepszym go czyni...

— Dlaczego ja stał się zły?... gorzki, zimny, pełen grzechu i przekleństwa?... Czy nie szkoda życia mego? czy nie szkoda serca mego?...

Czy z grobem matki, zniknięciem ojca, złością brata miała i moja dusza upaść nikczemnie?... O!... byłem słaby, jak

trzcina wodna, pierwszy wicher złamał mię i rzucił w błoto... serce mi zamarło w piersi. Żyję, choć młody jeszcze, jak trup umarły... Kiedym ja się modlił? kiedym ja w pierś się uderzył?...

Anioł żalu nachyla się jeszcze bliżej — zdaje mu się dotyka znękanego czoła skrzydłami i szepcze cicho jakby smętną modlitwą:

— Szkoła ciebie! szkoda duszy! szkoda życia!

Lecz oto z drugiej strony wysuwa się widmo »nędzy« i szepcze:

— Nakarm go... ogrzej go... ubierz go... a wtedy dopiero płacz nad nim... teraz on mój... głodny... zimny...

I Żal znikł.

Michał wyciąga rękę po ostatnią kartoflę w pół zmarzłą — wkłada ją do ust i mówi:

— Niech wszystko wezmą dya...!

W tem puka ktoś.

Wchodzi Kostuś.

— Czego chcesz?

— Pojedziesz ze mną, jest karta na twoje wyrobione imię, proszę cię, ślicznie cię proszę, jedź ze mną! Dziesięć dni spoczynku, rozweselisz się trochę. Tyś był dobry dla mnie, pamiętasz?... Gdy mi szło trudno z matematyką, nauczyłeś mnie pamiętasz, dobrze... Jedź ze mną!... tu mamy na drogę bułeczki z masłem, tu mam smaczną herbatę...

*

*

*

W ubogiej szkółce nauczyciela zasiedli do Wigilii. Jest liczna gromadka. Dzieciatko drobnych troje, jest młody nauczyciel z drugiej wsi, jest i ksiądz proboszcz staruszek, który każdego roku jakby z dziećmi zasiada w szkółce przy stole wigilijnym, bo na plebanii nikogo przy sobie niema, łamie opłatek, błogosławi i rozdziela.

Michał stoi na uboczu. Chociaż wszyscy są dlań uprzejmi, grzeczni, życzliwi, on umyślnie trzyma się sztywnie i obojętnie.

— Po co ja tu? — pyta się, — cóż mi z tych dni kilku, gdy życie całe, jak noc czarne... Cóż mi, iż widzę szczęście drugich, gdy ja go nie mam ani na chwilę...

— A pan? — pyta matka Kostusia. — Proszę bliżej i panu złożymy życzenia. Niech Bóg błogosławi w zamiarach, niech wszystkim pokieruje dobrze!

— Ja panu życzę, aby po skończeniu nauk obrał sobie pracę taką, która Ojczyźnie najpiękniejsze przynosi plony — mówi nauczyciel.

Aż ksiądz pleban staruszek rzeknie:

— Niech ci dzisiejszy opłatek zgoi wszystkie rany!... Kochaj i wierz! mój synu! bo w tem podstawa szczęścia całego!...

Milcząc schylił się Michał, rękę ucałował kapłana, usiadł przy stole, zimny, sztywny, obojętny. Zamiast radości i wesela znać u niego ból i ponury smutek. Przez całą Wigilię nie zmienił się.

Aż dopiero gdy pleban drżącym głosem zanucił:

»Anioł pasterzom mówił«,

gdy cała gromadka wesoło i radośnie pieśń tę śpiewać poczęła, Michałkowi zabłyśły łzy w oczach, serce uderzyło żywiej.

Odsunął się na bok, pod okno wtulił i płakał jak dziecko.

Tyle lat kolędy nie słyszał... tyle lat zimny był jak głaz...

Dzieci z ojcem, Kostusiem, młodym nauczycielem otoczyły choinkę, jedną kolędę za drugą śpiewają, a pleban wzięwszy Michała za rękę, sadza go obok siebie i rozmawia długo a długo.

— Dziecko biedne! — mówi pleban. — Toż myślałeś, iż życiu za złe płaci się złością?... Toż na niedolę i nędzę chciałeś mieć gniew, złość i grzech?... Popatrzże na to Dziecię Boskie, które dziś leży w żłobku... Czy ono nie znachodzi w życiu tego wszystkiego, coś ty znalazł? Nędza, zimno, głód, złość ludzka, opuszczenie i prześladowanie... upadki ludzkie... Wszak to życie zawsze niesie, wszak to gościniec jeden i ten sam... A czem Zbawiciel walczy? On, który przyszedł zło zdep-

tać — walczy cnotą i miłością, zaparciem się i poświęceniem... I mnie życie nie pieściło matczyną dłońią... i jam cierpiał, walczył, zło spotykał... a przecież popatrz: nad czołem zbielały włosy, oczy przygasały, ramiona pochylały się i... mimo to jam wesół, kocham świat, ludzi, dobro, wiarę mam i spokój... wiesz czemu?... U żłóbka Bożej Dzieciny uczyłem się życia...

Kolędy brzmią wesóło... jedna za drugą snuje się, jak nić srebrna... jedna weselsza jak druga. Nuta kolęd tych bije o serce Miłchała, jak o dzwon martwy i budzi go do życia...

Pochylił czoło — łzy toczą się na dłoń plebana, a on mówi z cicha:

— Każdy marzy i roi, jak ty marzyłeś... Czem większe pole pracy chcesz objąć swemi ramiony, czem wyższe ideały chcesz w życiu osiągnąć, tem musisz być lepszy i wytrwalszy na losy i trudy. Dało ci życie pioletun do wypicia? Stanęła nędzka przy tobie, jak wieczny cień?... Więc tyś walczyć nie umiał?... Otrzej łzy!... podnieś czoło!... z kolędą na ustach idź dalej!... Śpiewaj jak oni teraz:

»Pójdźmy wszyscy do stajenki, do Jezusa«, a Jezus ci ducha pokrzepi i rozgrzeje twe serce... Zimne serce, mój synu, zimne serce, to straszna choroba, to śmierć wiary i nadziei, a nigdzie tak ono nie rozgrzeje się i nie rozpali jak przy kolędzie... śpiewanej Jezusowi...

* * *

Po powrocie ze Świąt Michał mieszkał z Kostusiem, uczył go, stawał się codziennie lepszym i powtarzał często:

— Tobie, chłopczyno, szczęście zawdzięczam. W domu twoim, przy kolędzie, odżyłem i stałem się lepszym...



Kuba z karczmy.

Wigilia opuszczonych i zaniedbanych.

Zwyczajnie jak na służbie u żyda.

Ani nie zna niedzieli świętej, ani kościoła nie widzi, ani pacierza nie umie.

Włosy rozczochrane, odzież brudna i nędzna, wejrzenie ponure i gniewne, aż lęk zbiera, gdy na człowieka spojrzysz z ukosa.

Śpi w karczmie pod progiem.

Depcą go pijacy, którzy w nocy z karczmy wloką się do wsi — kopie go żyd nogą, gdy nie wstanie na czas i pukającym nie otwiera rychło.

— Kuba!... Koniom wody przywieś! Ty, leniuchu, ty darmożjadzie, ty zawado niepotrzebna!

I Kuba wlecze się z konewkami od studni, lecz mu coraz ciężej, nogi nie chcą się ruszać, ręce nie mają siły unieść wiader.

— Kuba!... Krowie nie dałeś jeść, ty próżniaku przekłety, wrzeszcze żydówka opasła, i Kuba krowę karmi, a sam głodny jest bardzo.

Kiedy konie, krowy, gęsi, kury i kozy najedzą się, kiedy wszystkie najgorsze posługi karczemne wykona, wtedy staje kornie u progu i czeka, aby mu żyd dał wódki kieliszek i kawał suchego chleba.

Ci, co do karczmy wchodzi, znają Kubę, gdyż widzą go ciągle i ciągle słyszą, jak żyd, żydówka i dzieci wrzeszczą na

niego i wołają... ale nikomu nie przyjdzie na myśl spytać Kube, czy mu nie źle na świecie, czyli nie pragnąłby, aby było lepiej.

Zkąd się wziął ów Kuba na wsi, nikt nie wie. Zjawił się u żyda pod progiem »jako głupi znalazł«, pasał gęsi, potem cieleńta, wreszcie został przydzielony do wszystkiego.

Niejedna kobieta ze wsi widziała go, ale żadna nie spytała:

— Kubusiu!... Umiesz ty przeżegnać się?

Żadna nie rzekła łagodnie:

— Kubusiu!... przyjdź do mej chaty, połatam ci koszulinę...

I człek żył jak nie człek... Miał obok całą wioskę, a jednak tylko karczma mu dała przytułek pod progiem, kości do obgryzania i przekleństw ciągle wołanie.

Nigdy nie był w kościele, bo kościół w drugiej wsi, a tam go żyd nie posyłał.

Nie słyszał nigdy nauki religii lub katechizmu, bo do szkoły nie chodził.

Widział tylko żydów modlących się w szabas, a chłopów tylko pijących w karczmie.

— — — — —

Lecz odtąd kilku dni stało się z nim coś dziwnego.

Karczma mu tak zbrzydła, iż ani krokiem do niej wejść nie chce; pijaków krzyki tak go bolem przejmują, jakby nożami wpijały się w jego głowę... a żydzi wydają się mu brudni i obrzydliwi jak nigdy dotąd.

Stanie na śniegu za płotem obalonym i patrzy daleko, daleko...

— — — — —

— Co tobie, Kuba?... pyta Wojtuś, syn bogatszych wieśniaków, chłopak zdolny i dobry.

— A nie wiesz co?... powiedziałeś mi wielkie rzeczy, serce mi się rwie...

Nędzny, brudny, z rozczochroną głową, ten Kuba przecie ma wejście dziwnie smętne i głos jego jakby płacz cichy.

Wojtuś ze szkół przyjechał, już to student spory, do gimnazjum chodzi, w mundurek schludny ubrany, a Kubę nie gardzi, ani go nie odpycha jak inni.

— I tyś nic o tem nie słyszał?

— Nigdy!... nie rzekł mi nikt o Jezusie biednym, o pasterzach ubogich, o Najśw. Panience, o świętej wigilii. —

Łzy puściły się z oczu »żydowskiego« Kubę i pierś jego porusza się łkaniem.

— Wy mną nie gardzicie, chociaż naukę znacie, wy do mnie jak brat przyszli.

A Wojtek z uczuciem szlachetnej litości na to odpowiada:

— Czemużbym ciebie nie kochał, wszakżeś ty bliźni, a bliźniego każe Bóg kochać — wszakżeś ty mój rodak, a rodaka miłować przykazuje Ojczyzna — wszak masz serce tak samo zdolne do dobrego jak każdy.

Kuba nie wie, co się z nim dzieje. Zdaje mu się, wyrósł, zdaje mu się ogrzał się, zdaje mu się lepszy, pocziwszy niż był... bo przecie Wojtek nie klnie, nie bije, a mówi, że on jak wszyscy, jak każdy.

— Jak każdy?... Wojtusi!... Co mówisz?... a czemuż ja jak każdy życia nie zaznał, do kościoła nie chodził, nauki nie słyszał, ja ani razu wigilii świętej nie jadł i ani razu opłatka nie skosztował?...

Żydówka woła na »gałgana« Kubę, darmożjada, aby drwa rąbał; przed karczmą stoją dwa wozy z drzewem, a chłopci idą ogrzać się do izby...

Jeden z nich dając koniom obroku, rzeknie:

— Nie wstyd to studentowi z gimnazji rozmawiać i wdawać się z żydowskim parobkiem?

Wojtek spłonął... zawrzała w nim krew, więc zbliżając się do woźnicy odpowiada:

— A wam to nie wstyd, żeście dali temu sierocie poniewierać się tak u Żydów?... żeście się nie zaopiekowali znajdując i ani razu nie spytali, jak mu na świecie?

— Hę?... Widzita go?... obrażony mruczy gospodarz... a nam co do żydowskiego parobka, trzyma go, to trzyma, służy mu, to służy... Jeszcze co? Widzicie mądrą, z miasta przyjechał, będzie przewodził... jeszcze co?!...

— Oj! tak, tak u was zawsze, mówi Wojtuś odważnie, jakby zbłąkała się we wsi jakaś nieznana krowa, toby niejedną z gospodarzy chciał ją wziąć na chowanie, jakby jaka bezroga przyszła niewiedzieć czyja, toby i o nią dobijano się, a jak zabłąkane sieroce dziecko bez ojca i matki do wsi przyszło, nikt go nie wziął, tylko karczma brudna dała mu na gnoju przytułek... tak go też i wychowała karczma bez wiary i Boga, bez nauki i bez serca...

Chłopisko zachnął się od złości, ale Wojtek nie czekając poszedł do wsi.

* * *

Kuba drzewo rąbie i łyzy gorzkie połyka.

* * *

Nadeszła wigilia święta.

Zabłyśły gwiazdy na niebie, rozświeciły się okna chat blaskiem światła...

Tylko w karczmie dziś ciemno. Ruży żyd nie utarguje dziś nic, bo już jak Wilija, to i każdy najgorszy w chacie siedzi, z dziećmi śpiewa i do karczmy nie zajrzy.

Brudna lampa ledwie oświeca izbę karczemną... szklanki i kieliszki stoją na szynkwasiu próżne, gdyby mogły, dziwiłyby się, że im dzisiaj spoczywać dają.

Kuba otulony w lichą sukmanę podartą stanął u rogu izby. Dla niego nie ma Wigilii... jemu nikt nie poda opłatka...

Coś go ciśnie kamieniem do ziemi, coś go dusi za gardło jak kleszczami silnymi...

Oj! nie wiesz ty, Kubo sieroto, że to smutek straszny chwyciła cię w kleszcze, że to on dusi cię i zabija... nie wiesz, że tęsknota cię przygniata jak cmentarny kamień.

Cicho w karczmie.

Żydziaki w drugiej izbie śmieją i śpiewają, ale Kubie nikt kolędy nie zanuci...

* * *

Lecz oto ktoś idzie, szybko, spiesźnie, dobija się do drzwi...

To Wojtuś student, idzie po Kubę, aby go raz pierwszy zaprosić na Wigilię, aby z nim raz pierwszy przełamano się opłatkiem.

Nie tak łatwo matka zgodziła się na to, gdy prosił o kącik dla Kubę, bo, gdzież to — słyszana rzecz, żydowskiego parobka prosić na święty wieczór do domu... ale Wojtek swoje i swoje:

— Pozwólcie, Matusiu, prosi sto razy, serce się kraje, gdy o nim pomyślę... taki biedny, bez domu, bez świętej uczty rodzinnej... Tak pozwoliła i Wojtek przychodzi. Kuba oczy wlepił z podziwem, ale smutek go gnębi.

— Żyd nie puści!... Przyodziejewy nie mam...

Idzie Wojtuś prosić żyda.

— Nu!... co on znaczy, głupi, po co jego?... A niech wraca zaraz do bydła i do koni!

* * *

W domu Wojtusia czysto i miło. Dzieci mniejsze czekają na ucztę, matka czeka na Wojtkę.

Aż wreszcie przychodzi Wojtek z Kubą...

— Matusiu!... Pogłaskajcie go, przytulcie! on pierwszy raz na Wilii będzie.

Kuba pada do kolan matki Wojtusia i od płaczu się zanosi. Ona kładnie rękę na jego rozczochranej głowie:

Wojtuś zaś rzecze:

— Gdybyście, Matusiu, do żłóbka Pana Jezusa nieśli najdroższe dary, nie uczcilibyście go tak godnie jak tą litością dla najuboższego sieroty...

* *

Jaka też to Wilija święta i piękna dziś była w chacie Wojtusia, ile też szczęścia spłynęło w tę noc cichą do tej izdebki ubogiej, wiedzą tylko te Aniołów roje, które czyny miłosierdzia notują i u Tronu Najwyższego składają.

* *

Kuba przeżył niebo całe w tej świętej nocy i potem gdy z Wojtusiem na Pasterkę rano do drugiej wsi się wybrał, ciągle przez drogę powtarzał »Oj c z e n a s z«, aby mógł choć jedną modlitwę odmówić w kościele...

* *

Na Nowy Rok Wojtuś odjechał do szkół, a Kubę żyd odpedził za karę, iż nie dał wcześniej bydlu jeść na Boże Narodzenie...

Poszedł w świat, a gdzie jest, nie wiadomo. Może gdzie znowu w karczmie jakiej stoi smutny i czeka, czy go kto na Wigilię nie zaprosi, a może czeka, czyli go jaki drugi

Wojtuś nie nauczył »Ojcze nasz« i pacierza całego, bo go już zapomniał.

* * *

Ile takich biednych, opuszczonych, i zaniedbanych sierót po naszych miastach i wioskach! A ileż policzmy podobnych Wojtusiowi studentów?



Najsmutniejszy Anioł.

Gdy się rok stary żegna z ziemią, patrzą na niego Anioły niebieskie.

Wiedzą one dobrze, iż wraca on z ziemi w krainę wieczności z kartą spisanych swych czynów.

Czasem karta ta jasna i piękna, zda się kwitnie blawatami i liliami — czasem ponura i szpetna, bo znać na niej ślady łez i krwi, ślady gwałtu i brutalnej siły.

Bywa zaś tak, iż gdy ma na sobie znaki szczęścia, rozrzuconego wśród ludzi — nie jednakowo znaki te są pisane. Dla jednych miał rok więcej szczęścia, dla drugich — mniej...

A gdy wraca w wieczności fale, idą Anioły i pytają:

— Roku stary! Cóżżeś dał ziemi?

— Dałem tam na południu dostatek, ciszę, spokój... Więc Anioł krainy szczęśliwej uśmiecha się, dotyka skrzydła starca i mówi:

— Byłeś dobry dla mego narodu i ziemi... Dziękuję Ci — złotem piórem zapiszę twe imię.

— Dałem ludowi z nad morza powietrze najmiłsze i najzdrowsze, zbiory najobfitsze, żadną klęską go nie dotknąłem — mówi Rok stary, a wtedy Anioł tego ludu woła z podziękowaniem:

— Jakże dobry byłeś, Roku mój — kocham Cię szczerze.

— — — — —
Dałem pracy dość ludowi w innej krainie, nikt się nie żalił, że głodny — nikomu krzywdy cierń nie skaleczył serca...

A więc Anioł tego ludu składa dziękczynne serce i mówi z uśmiechem:

— Jakimże ty Ojcem byłeś dla mojej ziemi? Jakże Cię tam będą wspominali?...
— — — — —

I tak po kolei Anioł każdego ludu i każdej ziemi wita wracającego starca z ziemi, a każdy prawie uśmiecha się, słysząc, co Rok stary opowiada...

Lecz jeden Anioł stoi blały i cichy.

Nie zbliża się i nie pyta...

Spojrzał Rok stary w jego oczy łzami zalane i pochyliwszy się nisko szepcze:

— Płaczesz o biedny Aniele ludu najnieszczęśliwszego na ziemi! — Czyżem winien, iż się tak stało?... Nie ja to wy-ciskałem łzy niewinnie gnębionym, nie ja to zacieśniałem więzy niewoli... nie ja gasiłem im światła... nie ja wydzierałem ziemię... nie ja...

A Anioł stoi blały i cichy...

Skrzydła jego opuszczone nisko — dłonie jego splecione w niemym bólu, na piersi jego cierni gałązka...

Więc rzeknie Anioł ludu dalekiego z nad morza:

— Czyż nie przyjdzie ku nam z tej ziemi wracający rok taki, który przyniesie wieść weselszą? Czyż zawsze tylko ztamtąd ból i cierpienie?

— Nie jam winien, powtarza Rok stary, srodze zasępiony... Już dawno to było, gdy poprzednicy moi wracali z tej ziemi pięknej z oznakami sławy i chwały przejasnej.

I tyle tych krzywd zniesionych tam, w czasów fali, iż góra z nich urosła wielka... i tyle tam ofiar już składa się na szalę sprawiedliwości, iż zda się, przeważą — a przecież... oto niosą na karcie tej znak bijący nową krzywdą... znak, którego nic nie zatrze i nic nie zmaże.

Spojrzały Anioły na kartę trzymaną w rękach starca, a na niej widniał wielki napis:

— Nowa Września! Wywłaszczenie z ziemi!

— Nowa Września? Wywłaszczenie? wyszeptały Anioły wszystkich ziem i ludów i smutek oblał ich czoła.

A jeden Anioł złożył ręce jak do modłów, mówiąc ze wstydem i bólem.

— Mój lud to czyni!...

I szept żalosnej skargi płynął w około:

— Jego lud to czyni!...

A Anioł ów płakał mówiąc:

— Mój lud wydziera mowę dzieciom polskim.

I szept żalosnej skargi płynął w około:

— Jego lud to czyni!...

A Anioł znów żalił się smętnie:

— Mój lud gotów bez chwili zastanowienia wytępić naród podbity za to, że chce we własnym języku modlić się do Boga, że miłsza mu pieśń, pamiątka, obyczaj rodzinny, niż obca mowa i obcy katechizm.

Państwo, co obmyśla w imię litości schroniska dla nie-myh stworzeń, a nawet lecznice dla zwierząt, bez wstydu woła równocześnie: »Zagłada polskiemu żywiołowi! Odebrać Polakom ziemię! niech giną z głodu i w_zne_zdy!«

— Żaliż zmyje tę plamę nienawiści, niesprawiedliwości i gwałtu z kart swej historii?

A szept innych Aniołów odpowiadał:

— Czyli zmyje tę krzywdę?...

A Rok stary stał jak skazaniec potępiony, a barki jego ugięły się tak pod ciężarem tych skarg, jakby go przygnięść miały...

A cichy — milczący Anioł płakał łez rzęsisztych strugą i mówił:

— I tyle lat przeszło — a zawsze to samo niosą mi z ziemi Ojczyzny mej drogiej!... Przemoc chce zabić naród, a naród żyje... przemoc chce ducha zgniebić, a duch się wzmacnia, przemoc chce wydrzeć mowę i wiarę z serc milionów, a miliony bronią się i skarbów nie dają...

Lecz — ja nie płaczę nad ludem mej ziemi, ale się smucę łzami męczonych dzieci i troską Ojców rodziny, pozabawionych dachu i z gleby swojskiej wygnanych.

— Biedny Aniele!... szepcą w około duchy jasne.

— Smutny Aniele!... mówią duchy, otaczające Anioła Polski...

A On wskazując na kartę roku starego, gdzie czerni się jak plama wielka słowo: »*Nowa Września*«, »*Wywłaszczenie*«, »*Zagłada*« mówi:

— Tu — nadzieja lepszej doli!... Nie zginie naród, który umie bronić najdroższych skarbów!. Nie zginie lud, który wierzy w Chrystusa, z krzyża czerpie siłę i moc niezwyciężoną a cierpiąc ufa w sprawiedliwość Bożą... Lecz biada, o! biada ...tym, którzy tyle łez wycisną i tyle krzywd z sobą poniosą.

Więc Anioł ludu z nad morza stał jak skamieniały... Oblicza jego nikt nie widział, bo zakrył je skrzydłem...

I gdy Rok stary staczał się w wieczności fale, nie Polski Anioł był najsmutniejszy, choć zabrał z sobą smutnemi słowy zapisaną kartę, ale ten był najsmutniejszy, który krył oblicze skrzydłem, a szeptał cicho:

— Sprawiedliwości szala — kiedyż to odważy!...

I gdy Rok stary zanikał już w wieczności falach, a ku dziecinie Nowego Roku zwróciły się oczy Aniołów, pytających, co niesie ludom na ziemi, jeden Anioł nie pytał, ani się nie zbliżał... Stał jak posąg martwy z zakrytym obliczem...

A nad nim niby echem gnane kędyś z oddali dzwoniły skargi dzieci polskich, które powtarzały:

— *Nie będziemy Niemcami! Zostaniemy Polakami!*

A wkoło niego spadały jak rosa rześista łzy matek biednych, które mówiły:

— *I życie damy w ofierze, a dzieci nasze zniemczyć nie zezwolimy...*

I szła za nim długa procesya wydziedziczonych i wyrugowanych z gleby ojczystej, smutnych — ale mężnych i nieugiętych, którzy wołali potężnym głosem:

— *Siłą i gwałtem wydzierasz nam, krzyżaku, ukochaną ziemię, ale od duszy polskiej Ci wara!*

I szły Anioły dalej za śladem Nowego Roku, a jeden Anioł stał w bólu jakby skamieniały...

Ten był najsmutniejszy!...

Biedny Anioł ludu krzywdzonego...



KOŚCIUSZCE!

Kościszce!

na rocznicę zgonu.

Wysłużył w wojsku; w świecie dalekim bywał, a teraz odtąd przyszedł do domu, narzeka i wyśmiewa się ze wszystkiego.

Przebrał się niby z pańska, zegarek ma, łańcuszek świecący, kołnierzyki nosi wysoko i nic nie robi.

— Mój ty Pawlusiu, prosi matka, wynędziała kobiecina, — może byś zgodził się u podmajstrzego do roboty. Widzisz? zima idzie, nędza ciśnie, ja sama nie starczę na wszystko.

— Za taką lichą zapłatę? Jeszcze czego, ani mi w głowie. Tutaj w tym nędznym kraju nie warta robić, bo tu nikt nie płaci, jak należy. Do psa tutejsze życie!... Jeno dostanę pieniędzy, idę w świat. Splunął, trącił z złością najmłodszego brata, który wlepił w niego jasne swe oczęta i ze zdziwieniem słuchał mowy starszego. Zaklął obrzydliwie i wyszedł.

Biedna matka westchnęła ciężko.

— Idź, powiada przez łzy do Józefka małego — idź dziecko, do szkoły, choć głodny jesteś, ucz się, bo może ci ta nauka inaczej w sercu rozjaśni.

Widzisz jaki Paweł? widzisz?

Chłopczyzna składa książki do torebki, szuka wczorajszych zimnych ziemniaków i pyta:

— Czemu Paweł zły?

— Świat go zepsuł, ludzie zepsuli, próżniactwo go chwyciło, jak choroba najcięższa, to i teraz rady nie ma, żadnej rady...

— A dlaczego on w szkole nie nauczył się religii, tak jak trzeba i historii naszej i tego, co to znaczy miłować Ojczyznę?...

— On nie chodził do szkoły wcale — szepce biedna wdowa — samiśmy winni, niechcieliśmy posyłać: zdawało się nam to niepotrzebne, na książki szkoda wydawać, obejdzie się...

Pobiegł Józefek do szkoły, wdowa idzie z praniem nad Wisłę, ciepły wietrzyk wieje z błoń, a liście opadły z drzew sypią się pod nogi...

* *

— Jak się masz?... woła kolega na Pawła, stojącego naprzeciw szynku — nie idziesz do roboty?...

— Do jakiej?... za psie pieniądze? za tak małe wynagrodzenie?... Wy głupcy jesteście wszyscy, iż dajecie się wyzyskiwać, gdybyście wiedzieli, jak płacą w innych krajach.

— Już ja wolę za mniejsze pieniądze u siebie wśród swoich. Zresztą lepiej zarobić 90 centów na dzień, jak stać darmo!

— A! pan wojak, już po cywilnemu, wita się uprzejmie stary sąsiad, pocziwy człęk, w ubogiej sukmanie. — Musi się tam matka dopiero cieszyć... Wiem ja, co to znaczy wrócić z wojska, wiem, i ja służyłem.

— Nie było po co wracać — burknie z pychą Paweł. Jakto?... lepiej tam było?

— Do takiej nędzy, jak tu, nie warto się wracać, ludzie głupi, nędza dusi, robota źle płacona, zabaw tu żadnych niema.

Stary sąsiad pochylił się naprzód ze zdziwienia, przysłonił ręką oczy, aby się lepiej przypatrzeć, czy to istotnie Paweł gada takie rzeczy, a wojak dalej swoje prawi.

— Psu na budę tu się wszystko zdało!... Każdy się już wyśmiewa z tej Galicyi, z naszej nędzy, z głupoty naszej, żyjemy gorzej jak zwierzęta innych krajów...

— To tak pan wojak myśli?... he?... nic tu nie warte — wszystko głupie...

— Trzeba dopiero iść w świat, aby rozumu nabrać, trzeba w obce kraje iść, aby poznać, że ten nasz kraj cały to dziura — lichota, nędzna ziemia i koniec.

— W Imię Ojca i Syna... żegna się sąsiad starowina — co też pan wojak prawi?... I ja w świecie bywałem, i ja obce kraje widział, ale... — et — lepiej nie gadać, smutne czasy, smutne czasy...

Machnął ręką, poszedł do pługa na roli, a Paweł wypiszący u żyda spory kieliszek mocnej, wybiera się do miasta.

Kogo ze znajomych spotka, zawsze jedno i to samo powtarza: — inne kraje są bogate, lepsze, przyjemniejsze, ludzie tam mądrzejsi, wszystko tam miłsze.

Jedni trochę się dziwią na to gadanie, a inni jak echo, powtarzają za wojakiem:

— Lepiejby było jechać na obce strony, tam szczęśliwsze życie... wszystko lepsze.

*
*
*

Stara wdowa strapiona niezmiernie.

Czekała przez trzy lata jak na szczęście, aby jej syn wojsko odsłużył i wrócił do izdebki. Cała to jej pociecha, opieka i pomoc syn najstarszy. Zdolny był robotnik, zarabiał tygodniowo parę reńskich i wszystko jej przynosił. Żywiła jego, a przy nim i młodsze dzieci.

Teraz przyszedł, ale bodaj się był tam został. Wszystko gani, wszystko mu złe, nawet nie jeden raz już na nabożeństwo wygađywał — bo — powiada — tak się już nie modlą w tamtych krajach, tam nie mają czasu na siedzenie w kościołach, tam starają się o pieniądze.

Jak to matka usłyszała, przeżegnała się jakby złego chciała odegnać... myśli też sobie:

— Co ja teraz z nim pocznę na świecie? Co ja pocznę? Już go nie poprawię, już go nie przerobię, już na marne po-

szedł. Wszystko widać przez to, że nauki nie miał, że do szkoły nie chodził, że nie zna czytania.

W tem Paweł przychodzi z miną bardzo uradowaną i powiada:

— Nie trapcie się matko! Pozbądźcie się kłopotu, nicpoń, drab wasz ustąpi się z oczu. Za trzy dni jadę do Ameryki — pożegnanie i koniec. Więcej tu nie wrócę. Matka jak stała przy praniu, tak niby skamieniała. Ani mówi, ani pyta, tylko blaśda zrobiła się jak ćwiartka papieru i tylko z ocz czerwonych łzy się sączą, jak lśniące perły łez.

— Cha! cha! cha! — śmieje się Paweł.

— I cóżes matko, tak załękła się? Żal ci? Wszak ja drab, próżniak, nicpoń. Ani mnie z ciebie, matko, żadnej korzyści, ani tobie ze mnie, ani mnie z tej ziemi, ani jej ze mnie. Nie warto tu żyć!...

W tem jakiś głos cichy i rzewny odzywa się:

— Nie warto tu żyć?... Tak myślisz?... ani tobie nic z tej ziemi, ani jej z ciebie?...

Paweł ze zdziwieniem patrzy, kto do izdebki przyszedł? Kto mówi?... Jakiś niby znany i nie znany — ksiądz młody?...

Stara matka chyli się, kornie, chce całować księdza w rękę, łzy ociera fartuchem.

— Nie poznajesz mnie?... wszak jam twój kolega z lat najmłodszych, towarzysz zabaw dziecinnych — ten Władek flisaka, nie poznajesz?...

I wyciąga młody ksiądz ręce do Pawła, jak do przyjaciela serdecznego i tuląc go serdecznie mówi życzliwie:

— Nie przyszedłeś się ze mną przywitać, nie wspomniałeś o mnie, a jam cię poznał zaraz, wybierałem się, ale czasu mam mało... Cóż tak jakoś dziwnie patrzysz?... Coś ty mówił, gdyś wchodził?... Pawełku!... Co ci jest?...

Paweł nie wyciąga ręki do młodego księdza, nie uśmiecha się życzliwie, nie wita gościa radośnie. Chmurny jest i coś go dziwnie, niepojęcie dziwnie odpycha od niego.

— Pawle! — powtarza młody kapłan znów serdecznie, — nie bądźże zimnym... pamiętasz, jak my, dziećmi razem nieraz układali sobie plan życia, jak my nad Wisłą siadali, jak my sobie opowiadali, czem będziemy...

Paweł zrywa się, chwytą za kapelusz i do drzwi.

— Pawluś! woła matka i chwytą go rękoma drżącymi.

— Co tobie? — pyta ksiądz — uciekasz?

Chmurny, ze spuszczoną głową, z zaciśniętymi ustami stoi u progu i milczy. Wreszcie po chwili wyszeptał:

— Nie jestem goźdien.

— Czego nie jesteś goźdien, przyjacielu lat moich dziecinnych? Co ci zatręło sumienie? czem masz duszę zboląłą?

— Nie jestem goźdien rozmawiać z tobą... Jam ciemny i głupi... zły...

A matka zasłoniwszy oczy fartuchem — powtarza jak ciche echo: — zły i ciemny.

Młody ksiądz tuli do siebie chmurnego Pawła, uspokaja go łagodnie i wreszcie powiada:

— Ot tak... pogadajmy z sobą, szczerze o wszystkim. Pójdź ze mną, przejdziemy się... Tyle lat — gdzież te nasze dziecięce chwile? Chodź ze mną — pójdziemy w dal... rozmówimy się... Każdy cierpiął — walczył żył... może się i zrozumiemy.

* * *

Wieczór cichy. Słońce stacza się za siną wstęgą lasu, jak pochodnia złocista. Różowo-białe obłoki tworzą w około łuny zachodzącego słońca, jakoby sieć z koronek i kwiatów tkaną. Puste pola owiły się mgłą lekką, a Kraków w dali jak za tęczą, a Wawel za wstęgami dymów i oparów się kryje.

Na szczycie kopca Kościuszki stoi młody ksiądz i Paweł. Dokoła cisza — pustka... ledwie jeszcze jakiś ptak przeleci z żalosnym piskiem, ledwie z oddali ozwie się echo dzwonów kościelnych, na wieczorne pacierze wołających...

Ksiądz mówi do Pawła:

— »Widzisz! tu jedno tylko słowo wyręte — jedno tylko słowo: — »Kościszce«, a jak przecież wiele naród niem powiedział!... Widzisz! tu tylko jedna bryła kamienia, a jak wiele ona warta... I ani żadnemu z najlepszych królów naszych takiego pomnika naród nie postawił, ani żadnego pamięci tak wysoko nie uczcił, jak jego, ubogiego i cichego pracownika, który ani berła w rękę nie dzierżył, ani korony na skroniach nie miał... Widzisz?... On nie pytał, jaka tu zapłata za pracę w biednej Ojczyźnie, on nie liczył, czyli dadzą mało lub wiele, jednak służył i wszystkich do pracy i służby powoływał.«

Paweł bladej opiera się o głaz zimną rosą zwilżony. Zdaje mu się, kamień ten przyciąga go do siebie — trzyma przy sobie, jakąś siłą nieprzepartą myśl jego do siebie przykuwa... On tyle razy był na kopcu, on tyle razy stał obok tego kamienia, owo wielkie słowo »Kościszce« widział, a nigdy na myśl mu nie przyszło, co to wszystko znaczy — mogiła — kamień — napis...

Młody ksiądz zbliżywszy się do Pawła, kładzie rękę na jego ramię i mówi:

— I za co »On« ma tę wiecznotrwałą pamięć u narodu? I za co mogiłę tę mu usypano tak wielką, aby jeszcze wyższa od Wawelu była, aby jeszcze dalej każdy ją widział, jak widzi mury Krakowa? Za bitwy i trudy walk? wszak wielu przed nim walczyło? za odwagę i męstwo? wszak wielu takich było... I nie dano mu marmurowego nagrobka i nie pisano mu długich tytułów i słów pochwały, a jedno to słowo, z dziesięciu liter złożone, za wszystko starczy... Wiesz czemu?

Słońce zaszło. Kraków za mgłą upowity zdaje się jeszcze mglisty, na wodach Wisły, jak ciemne plamy, migają tratwy flisacze.

— Wiesz czemu?... powtarza młody ksiądz pytanie — bo serce narodu chciało okazać wieczną swą wdzięczność i miłość za jego serce i miłość. On tem stanął najwyżej wśród

bohaterów naszych i obrońców, iż zobowiązał do pracy w narodzie wszystkie stany — iż powołał do służby w Ojczyźnie i takich, którzy jeszcze służyć nie umieli. I nie godził się z nimi, ile za pracę dostaną i nie obiecywał płacy za służbę mozolną, a tylko rzekł: Najubożsi i wzgardzeni stańcie do obrony narodu razem z nami, a zrzucicie kajdany, bo waszych dłoni miliony i wasze ramiona silne a Matką Wam Ojczyzna i wyście jej dziećmi.

— Za to powołanie do pracy dla dobra narodu uczczona pamięć Kościuszki najwspanialej i pomnik ten tysiącem dłoni rodaków wzniesiony, dla pracy dla dobra narodu woła na nas codzień. Mój Pawle, ty myślisz, iż nie woła on Ciebie, byś Ojczyznę kochał i umiał w niej pracować?

— Ja?... com wart?... Ja?... do niczego niezdolny — zły — ciemny...

— Ale masz obowiązki. Nie licz, iż za małe wynagrodzenie pracować będziesz, ale licz, ile zrobić możesz bez wynagrodzenia. Nie wszystka praca idzie na sprzedaż. Tyle, co potrzeba na opłatę mieszkania, na okrycie ciała, na kęs chleba — tyle się pracy sprzedaje. Po zatem — służy się Bogu i Ojczyźnie. Matka, bracia, sąsiedzi, to wszystko służba wielka: żyć z nimi w zgodzie, być im dobrą radą i pociechą, przykładem być dla innych i dla nich. Ożenić się, założyć nowe ognisko, zacząć rodzinę prowadzić i dzieci wychowywać... to przecież piękne zadanie, ale może być wykonane tylko w Ojczyźnie. Nie zapłaci ci ta Matka biedna złotem za to, nie wynagrodzi ci groszem za każdy trud i poświęcenie, bo nie będzie cię najmowała, jak dziennego robotnika za targiem lichym, ale ty wiedz o tem, iż każdy Ojczyznę buduje, kto pracę jej służy.

Paweł słucha i słucha.

Nikt tak do niego nie przemawiał. Żle mu było tutaj, nędzą dokuczała, życie obrzydło w próżniactwie. Matka narzekała, sąsiedzi się śmieli — koledzy dokuczali. A teraz — ksiądz dobry słodko przemawia i nowe rzeczy przed myśli nasuwa.

— Czy ja tam jeden w kraju mniej, czy więcej, to nic nie znaczy — mruknął jeszcze jakby z żalem.

— O! nie! bracie mój dobry... Każda grudka ziemi na ten kopiec przyniesiona zdaje się nic nie znaczy — cóż to? Zobacz!... Odrobina czarna, trochę piasku i ziemi... ale niechby te odrobiny liche dały się unieść wichrem jesiennym, niechby je ztąd brały dzień po dniu deszczu strugi — cóżby było? Olbrzymia mogiła znikłaby na zawsze. Pawle biedny! Ty tego nie rozumiesz, że i my jak ta mogiła... na której napisano »Kościszcz«. Gdyby tak nie spajała nas w całość miłość Ojczyzny, gdybyśmy tak nie opierali się wichrom i deszczom, jak owe cząstki tu zespolone, toby i z nas śladu nie było na świecie. My jednością zespoleni razem możemy istnieć, nam nie wolno rzucać ojczystej tej ziemi, wyrzekać się tego nieba, zapominać o tej wodzie — dlatego, aby mieć w obczyźnie parę groszy więcej!...

Paweł pochyla się — powoli klęka przy głazie zimnym — czoło opiera o brzeg ostry i twardy... Nie mówi nic — tylko niewysłowienie mu dziwnie w sercu, coś jakby płacz tęskny budzić się poczyną, coś niby lampa rozświećla mu głębi duszy...

Kapłan tuli do siebie niedobrego murarza i jeszcze powtarza:

— On do pracy powołał wszystkie stany i warstwy — za to najwyżej ma wzniesiony pomnik. Nie brał żadnej zapłaty od Ojczyzny i dla tego lud mu dał królewską nagrodę... Tak i my nie szukajmy tylko grosza. — Jest tu dość w Ojczyźnie do roboty... tylko chciejmy pracować... i pracujmy wytrwale!...

* * *

W kilka lat potem — Paweł w dzień 15. października przyszedł z gronem robotników i młodych chłopców na kopiec Kościszki.

— Gdyby mi było wolno — napisałbym obok, iż zawdzięczam me szczęście Kościszce, bo przez niego stałem

się Polakiem i wiele win zmyłem z duszy. Silna, wytrwała praca zdziałała wiele. Umiem czytać, poznałem dzieje narodu, nauczyłem się być pracowitym i oszczędnym, matce łązy osuszylem, żonie szczęście dałem, wśród was jest mi dobrze... Postanawiam uroczyscie, tak postępować, aby każdego roku, w tę rocznicę Zgonu Naczelnika — przywieść nowego, z ciemnoty i błędów wyrwanego rodaka...

Będzie to składany liść po liściu na wieniec Kościuszcze.

A wszyscy powtórzyli jakoby zobowiązanie: »Kościuszcze«.



SMUTNY OBRAZEK WIELKANOCNY.

Alleluja!

W Ibianach w roku 1863.

Wszystko ma się ku wiosnie.

Bazie na wierzbach, osikach i iwach, srebrzą się już do słońka. Ptaszyny świergocą w polach, a i las poczyną oddychać tą wonią wiosenną, która tak pokrzepia, tak odświeża zmęczonych ludzi.

Wszystko ma się ku wiosnie.

Gdzieś tam już skiby świeżo oodorane leżą jak czarne wstęgi, gdzieś tam młoda trawa zieleni się i wabi oko. A w wiosce Ibiany, jak to zwykle przed świętami, około domów krzątają się gosposie.

Tylko — jakaś cisza smętna rozwiała się tu dookoła — kobiety, dziewczęta, uwijające się przy pracy, nie gawędzą wesoło, nawet dzieci jak zasępięone spoglądają przed siebie.

Co wiatr wionie od strony lasu — nadśłuchują wszyscy, czy nie ma w nim jakiej nowiny.

Co chmura, pędzona na niebie, przystąpi na chwilę słońce, spoglądają wszyscy, czy nie zostanie tu ona na długo i nie przyniesie ponurych wieści.

Jestto wielki Czwartek 1. kwietnia 1863. roku.

Zbliża się Wielkanoc — nadchodzi dzień Święta Zmartwychwstania, dzień, w którym wszystkie dzwony na ziemi polskiej brzmieć poczną wołaniem: Alleluja! w którym nadzieją promienne słońce rozbłyśnie strumieniem światła i przypomni, iż kto przetrwa czas mąk, bólu i pokuty — może Zmartwychwstać w tryumfie i weselu...

Czemu w Ibianach smutek czarny? Przejdzie jeszcze smętny dzień Wielkiego Piątku — minie jeszcze Wielka Sobota,

a potem zaświta ranek ozłocony blaskiem słońca, dzwony poczną wołać na Rezurekcję — około kościółka drogiego rozwinie się jak rzeka szeroka fala ludu idącego z procesją i śpiewaniem: »Alleluja«... Czemuż ty wiosko, nie pokrzepisz się tą myślą?...

Cicho i cicho...

Stara Dugajłowa, lat przeszło 60 mająca, siedzi na przyzbie pod chatą i mówi do synowej:

— Darmo twoja robota. Ty się go nie spodziewaj ani na Święta, ani na potem.

— Matko!... Czemuż mi serce ranie?... Obiecał — przyjdzie. Nie taki on, jak myślicie. Co wojna, to wojna, ale święto ma swoje prawo. Gdzieżby w takie święto jeszcze wojnę robili...

— Pamiętam ja już wojnę. Straszna ona. Wywoła z chaty, wywiedzie w lasy, ale nie przyprowadzi do domu. Zapali gdzieś tam serce ludziom, aby gorzało ogniem, ale nie zgasi ognia tego, aż jak zimnym oczym zasypie piaskiem.

— Nie mówcie, matko! Wojna jednym śmierć niesie, ale drugim życie wolne daje. — Jak się wąż owinie około narodu, trzeba go zrzucić.

— Co gadasz? Nie jeden wąż, ale tysiące ich otoczyło nas — a nasi tak nie będą truć i zabijać jak oni. Darna twoja robota... na święta ty się go nie spodziewaj...

Dugajłowa podniosła się od roboty i spogląda na matkę ze zdziwieniem.

— I to wy mówicie? Wy, coście go sami wyprawiali do walki i sami nauczyli, jak za wolność trzeba się poświęcać?...

— Moje dziecko dobre, rzeknie staruszcza, wstając z przyzby i podchodząc ku wrotom. Miałam ich, tych synaczków czteru... prawda?... Żadnego nie żałowała, gdy szli — prawda?

— Nie wrócili tamci — nie wróci ten... a ja nie płaczę — prawda?... Nie płaczże i ty... Jako ta wiosna, co rzuca ziarna

na wszystkie żniwa, tak my — musimy dawać synów na żęcie wielkie, na straszną kośbę... Przyjdą kiedyś tacy na nasze miejsce, którzy powiedzą:

— Nie zdeptał nas wróg, boście uczyli, jak go odganiać. Synowa zadumała się.

Jeszcze nigdy matka tak nie mówiła. Zawsze pokrzepiała nadzieją, zawsze otuchy dodawała, zawsze kazała spodziewać się więcej dobra, jak zła. Czemuż dzisiaj jak kruk żałobny?...

Stara Dugajłowa powlokła się przed wrota kościelne; odkąd syn do powstania, ostatni syn, poszedł, ona codzień na progu kościoła klęczy i ciche szepce pacierze.

Poszła i teraz. A synowa z dziećmi sprzęty umywa, wzdycha i nadśłuchuje z niepokojem, czyli od lasu jakie nie płyną wieści...

* * *

Dugajło, ubogi szlachcic litewski zorganizował w swej wiosce rodzinnej oddział powstańczy i wraz z księdzem Piotrowiczem, wikarym sąsiedniej parafii, poszli w lasy.

Wioska Ibiany, położona blisko Kowna, miała mieszkańców ubogich, ale oświeconych. Były tam rody szlacheckie, o jakich Mickiewicz wspomina w »Panu Tadeuszu«, rody niesplamione żadną zdradą, samolubstwem lub gnuśnością, rody, które dawały zawsze dzielnych synów i szlachetnych ojców, a kobiety tam kolebały dzieci z myślą o Ojczyźnie i Bogu.

Ibiany nie jeden raz Moskałom dokuczyły. Obrońców miały wiele, a tchórzów i zdrajców nigdy. Jakże sobie Moskał może dać radę z takimi?... Odkąd Murawiew w Wilnie rządzi i jak lew wyciąga pazury, aby Litwę całą zabić, spalić, zadusić, powiesić, wymordować i rozstrzelać, odtąd Ibiany mu ciągle są w myśli.

Co on z niemi robi, aby ukorzyły się przed wolą cara? Co on robi z tymi ludźmi, aby prawosławie przyjęli, aby rubli brali i donosili, co się dzieje wokoło?

Wszystkie sposoby daremne.

Aż oto ku wielkiej radości Murawiewa donoszą mu o Dugajle.

— Co? Z Ibian Dugajło wyprowadził w lasy 45 ludzi?... Co?... On dobrał im broń, on jeszcze śmie z nami stawać do walki? Teraz już koniec Ibianom... śmierć, mord i ogień, nie powstańcom, ale całej wsi!...

Murawiew wydał rozkazy.

Litwa cała jęczy i krwawi się pod stopami tego wieszateła i mordercy, a ty wiosko biedna, wy Ibiany nieznane i ubożuchne myślicie jeszcze istnieć?...

* * *

Stara Dugajłowa w Wielką Sobotę u Bożego grobu schylona, kornie powtarza raz po raz:

— Któryś za nas cierpiał rany.

— Jezu Chryste! Zmiłuj się nad nami!... a od lasu idzie jakby cichy szmer zboża na łanie, szept ludzi zbliżających się do wioski.

Ksiądz Piotrowicz wraz z Dugajłą idą na czele; za nimi powstańcy.

— Pomożlimy się przy grobie Zbawiciela, mówi ksiądz Piotrowicz, wypowiadam was nocą cichą, a gdy nad światem uderzą dzwony, gdy ruszymy procesją w około kościoła... zaśpiewamy radośnie »Alleluja«! »Alleluja Polsce — Litwie — Rusi!... Alleluja tej ziemi drogiej, która wielu wychowała świętych i wielu wielkich dała w narodzie!...«

Idą!...

Już się wioska cicha upoiła mgłą wieczorną, jak dziecię uspione na ręku matki. Już się gwiazdy rozlitły na niebie jak brylantów roje rozwieszone w górze, już noc idzie z dala, noc głucha, która zmęczone oczy zamyka, strudzone ramiona układa na spoczynek i smutne serce koi snami o jakichś lepszych światach i czystszych duszach.

Przy grobie Zbawiciela, jeszcze garstka ludzi kończy pacierze, jeszcze kapłan siwy ukrywszy czoło w dłoniach rozpałmiętywa mękę Zbawcy.

Wtem weszli oni do kościółka. Na kolanach zbliżają się do krzyża położonego na ziemi, całują rany u nóg Zbawcy i modlą się cichym szeptem...

Ksiądz Piotrowicz wyszedł z Zakrystyi ze stulą na ramionach, ksiądz Proboszcz uczynił tak samo — powstańcy spowiadają się.

Kościółek zamknięty. Światła pogaszono, tylko kilka lampek miga bladymi płomykami, a od tych płomieni rzuci się czasem błysk na pochylone czoło powstańca, na te oczy łzami zroszone, na te usta drżące, które całując krzyż, powtarzają ze skrucą i żalem:

— Boże! Bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże! Bądź miłościw mnie grzesznemu!

Idzie noc dalej. Już na zegarze czasu przesunęło się godzin kilka, a drzwi kościelnych nie otwarto — księży nie wyszli, powstańcy do domów swoich i do rodzin nie poszli.

Modlą się, czuwają i przygotowują na święto wielkie, święto radosne.

O czwartej rano już niebo szarzeć zaczęło.

O piątej już się mieszkańcy Ibian z chat wysypali i szli ścieżyną ku kościołowi.

Niebo było pogodne, jasne i cudnie piękne.

Uderzyły dzwony — procesya otacza kościół, brzmia śpiewy radosne i uroczyste... a żony, matki, dzieci, starcy osiwiali spoglądają z szczęściem i radością nadmierną na stojących obok powstańców, którzy oddają cześć Bogu, korzą się przed Majestatem Zbawcy, silni i nieustraszeni w obec złego wroga stoją tacy pokorni i pochyleni w obec Ojca i Baranka cichego.

Od kościółka na wzgórku stojącego płynie echo pieśni i dzwonów nad bieluchne chaty, nad strzechy omszone, nad ogrody rozległe i potem kędyś, aż o ścianę lasu bije jak skrzydło Anioła, jak wołanie matki.

— Ludzie, wioski, chaty, pola, lasy... słuchajcie: Oto wielki dzień chwały i tryumfu, oto śmierć pokonana, oto Bóg zwyciężył... odwalił kamień grobowy, pokonał przemoc i chociaż strażę stały... On uszedł śmierci... żyje!...

Modli się wieś litewska, modłą się jej chaty i ogrody, pola i lasy.

Z pieśnią dzwonów, z głosem ludu śpiewającego łączy się wieś uboga i oto brzmi dookoła:

»Wesoły nam dzień dziś nastał...«

Alleluja! Alleluja!...

* * *

Trzeci raz, dookoła kościoła wije się fala ludu idącego z płonącymi świecami w ręku, gdy oto stają wszyscy jak skamieniały...

Przed nimi stoi kordon kozaków z wymierzonymi bagnietami do ludu.

— Stać! Ani kroku dalej! oznajmia wysłannik Murawiewa. Za bunt przeciw carowi, za podniesienie broni przeciw nam, oto rozkaz wydany i zaraz będzie wykonany.

— My się modlimy, szepce staruszek Pleban... uklękniecie, oto Bóg przed Wami! Ten sam Bóg, w którego i wy przecież wierzyacie, boście Chryścijanie. Ten sam Bóg, który i za was krew przelał... Uklękniecie, oddajcie Mu cześć!...

Kozacy stoją. Adjudant Murawiewa przekleństwem plugawie tę uroczystą chwilę świętą.

— Wszakże tu nie plac bitwy, odzywa się Pleban, wszak tu nie bunt... patrzcie! Ci, o których się tak gniewacie, iż broń ujęli, stoją spokojni i cisi, oni do was mierzyć nie będą, oni w was dziś wrogów nie widzą... przyszli się modlić, przyszli oddać cześć Najwyższemu, z grobu Zmartwychwstałemu — On dziś grzechy przebacza, On dziś miłość rozlewa, uklękniecie przed Nim!

Od ścian lasu, od przestrzeni pól, od chat rozświetlonych wschodzącym słońcem płynie wołanie żałosne i serdeczne:

— Ukłękniście! Oddajcie Mu cześć! Bóg to Ten sam, w którego Imię i wy ochrzczeni!

— W Sybir wszystkich!... brzmi komenda wysłannika Murawiewa. Dugajło i Piotrowicz, tu — przed samym kościołem mają być zaraz powieszzeni... Brać ich!

— Ludzie!... woła kapłan siwy... zaczekajcie! niech lud odprowadzi z procesją Boga w drzwi kościelne! Niechże On, ukryty w Hostyi, zostanie złożony na ołtarzu!... Niechże nie wykonuje się mord w obliczu Jego!... Ludzie! Wszak dziś święto Zmartwychwstania!...

— Nie wolno ruszyć się nikomu! Procesja stoi, chorągwiami wiatr wiewa, płomienie u świec migają, po licach kobiet, starców, toczą się łzy rzęsiste, a powstańcy pochyleni przed Monstrancją, powtarzają:

— Boże! Bądź miłościw mnie grzesznemu!...

— Na gałęź z nimi!...

Kozacy ich biorą...

— Ludzie!... Oni się spowiadali tej nocy, niechże przyjmą Boga! Niechże na śmierć zostaną zaopatrzeni!... prosi kapłan siwy.

A kobiety płaczem wybuchnąwszy, powtarzają:

— Niech przyjmą Baranka! Niech z Bogiem giną!...

Stara Dugajłowa przywlokła się do syna.

— Nie umrzesz, synaczku, szepce mu ledwie dosłyszalnym głosem, jeszcze żyć będzie twe serce i twa dusza w dzieciach twoich i oni nie zapomną, co Moskal...

Biedna żona Dugajły, niema z bólu i rozpacz, ani słowa nie rzecze, jeno patrzy w niego i patrzy, a usta jej coraz bledsze i oczy coraz krwawsze, aż zdaje się, jeśli łzy popłyną, samą krwią toczyć się będą.

— Wieszać!...

Łud stoi jak skamieniały... a oni zdzierają szaty powstańców, kładą na szyję powrozy — ciągną w górę...

— Zbawco! Chryste!... zawołał Pleban, i szalem z ramion zakrywa Monstrancję, a w oczach mu ciemno — serce bić ustaje...

Zbrodnia straszna, piekielna, szatańska stanęła naprzeciw tej procesji, idącej w ranek Wielkiejnocy i urągając śmiechem nikczemności, płwa na krzyż, niesiony na przodzie, na chorągwie poświęcane, na Hostję, trzymaną w ręku kapłana, na ten lud zacny i niewinny.

Dwa ciała zawisły tuż naprzeciw drzwi kościelnych... dwa ciała runęły na ziemię bez czucia. Matka Dugajty i żona jego zbiegały jak chusty.

Porwali się powstańcy...

— Chryste! Przebacz!... Ale my bronić musim... Przebacz, ale na mordę zezwolić nie można... Przebacz!... ale zbrodnie trzeba zdeptać, zgłębić, zniweczyć. Tyś dlatego cierpiał i konał, aby była sprawiedliwość na ziemi, a nie panowała zbrodnia!...

A kapłan staruszek im rzecze:

— Przyszlście na modlitwę — módlcie się!... dziś — walczyć nie będziecie!... Dziś na męczeństwo bądźcie gotowi! Uklękli...

Kapłan stoi w środku jak duch biały w szatach kościelnych... Dzwony milczą... lud milczy... niebo milczy...

— Podpalić kościół! woła Moskal!

— Wieś podpalić w czterech rogach!

Już płonie kościołek stary, już chaty strzelają płomieniami... i skier gwiazdami... a lud klęczy i modli się... Chrystus wśród niego — dookoła dym — pożar, trzask i przekleństwa kozackie...

— Wyprowadzić z obór bydło! Zaprządz pługi!... Zaorać wieś, ogrody, drogi!... Dopalające się chaty zburzyć, rozrzuć! Wszystko zaorać!...

I słońce weszło już wysoko na niebo i nachyla się już niżej ku zachodowi, a lud klęczy, omdlały kapłan leży z Monstrancją w dłoniach. Gdzie był kościół, tlą się jeszcze resztki. Opaleni

od ognia wieśniacy, ani się nie usunęli, ranione skrami kobiety, ani jęły. Lud nie odstąpi Zbawcy, a On między nimi, choć tak pohańbiony, choć tak ubiczowany, jak w czasie swej bolesnej Męki, choć tak wypędzony z ubogiego domku swego...

— — — — —
Gdzie były Ibiany, już tylko ziemia zaorana. Z ziemi tej jeszcze dymią resztki obalonych gruzów, na ziemi tej bieleją gódniegdzie rozsypane ściany — czasem jakaś chusta biała migoce jak płatek śniegu...

— W Sybir!... brzmi komenda. Kozacy otaczają lud, sieką kolbami, tną nahajami, wloką omłatego kapłana i pędzą w dal... Murawiew kazał pędzić ich przez Wilno... Wyjdzie i popatrzy i nasyci się widokiem związanych i wydziedziczonych...

Idzie procesya ludu litewskiego... świece już pogasły, chorągwie już połamane i podeptane... pieśni ostatni ton zginął w jęku... a przecież to dzień Wielkiejnocy i po całej ziemi brzmi radosne »Alleluja!«

* * *

O! Litwo! Gdzież Twoje Alleluja w tym pamiętnym, smutnym roku 1863-cim?

W tym smutnym pochodzie twych dzieci na Sybir — w tej przerwanej procesyi pobożnego ludu, czyż nie ponawiają się sceny z pierwszych wieków kościoła Chrystusowego, gdy srogie Neronów i Dyoklecyanów zgrzyty zagłuszyć pragnęły wesole »Alleluja«, prowadząc mnogie procesye śś. Męczenników na arenę amfiteatru!...

Gdzie twoja wioska, uboga, matka szlachetnych obrońców wolności, Ibiany, blizkie kowieńskiej doliny?

Wszystko znikło!...

Kościółek, chaty, drzewa, ogrody, ścieżki i ścieżynki — zaorane...

Monstrancę z rąk omdłego kapłana wydartą stopili Moskale na order dla Murawiewa... Lud wygnali w Sybir i przedłożyli carowi z tryumfem raport, iż wielkie dzieło zostało wykonane.

A jednak. —

Carów ciała już robactwo stoczyło — Murawiewa czaszka w prochu się tarza, a na Litwie nie zapomniano modlitw, nie stracono wiary, nie wyziębiono ducha.

O! Droga Litwo! Od tylu wieków z losami Polski złączona, nie zapomnij i nadal, czem był i jest Moskal dla Ciebie! Nie wierz mu dziś zwłaszcza, gdy szatańskim swym sprytem jad nienawiści do braci Twej chce wszczepić! Wierz i ufaj dalej Bogu — a Polski się trzymaj! Z Polską skojarzona pokonałaś niegdyś krzyżackie plemię. Z Polską nierozdzielna pokonasz — da Bóg — szyszmatycką hydrę!

Tysiąc razy spalone i zaorane gniazda nasze rodzinne odżyją — na nowo powstaną i w dzień Wielkiejnocy po całej Litwie, Polsce i Rusi brzmieć będzie zawsze pełne chwały i uwielbienia »Alleluja«!...

Bo nie ci giną, na których wyrok śmierci wydaje Car, ale — ci — którzy zabijają w sobie ducha, nie znają, co cnota, męstwo i hart, i nie zmartwychwstają z upadków i upodlenia.



Błędy drukarskie.

Na str.	4	ostatni wiersz	coż	zamiast	coż
„ „	7	12 i 13	„ z góry	gdybyż	„ gdybysz
„ „	9	4	„ „	dozoruje	„ dozuruje
„ „	11	19	„ „	wspomnieniach	„ wpomnieniach
„ „	12	4	„ z dołu	zmęczone	„ zmęczono
„ „	13	ostatni	„ „	Cóż	„ Coż
„ „	20	5	„ z góry	Po cóż	„ Po coż
„ „	21	1	„ „	cóż	„ coż
„ „	24	17	„ „	Miłościwy	„ Miłościwy
„ „	25	4	„ „	ręką	„ rękę
„ „	27	12	„ „	będąc	„ będąc
„ „	27	5	„ z dołu	Czynisz	„ Czyniż
„ „	29	9	„ z góry	Jakżeż	„ Jakżesz
„ „	31	11	„ „	szczęściu	„ szczęściu
„ „	32	2	„ z dołu	rozrzewnieniem	„ rozrzewnieniem
„ „	36	7	„ „	uciekających	„ uciekających
„ „	38	5	„ z góry	wszakżeż	„ wszakżesz
„ „	47	2	„ „	Teofili	„ Teofilii
„ „	47	9	„ „	po wcale ma być przecinek	
„ „	47	16	„ „	Chrześcijaństwa zamiast	Chrześcijaństwo
„ „	51	8	„ z dołu	włóczęą	„ włuczą
„ „	59	4	„ z góry	na darmo	„ za darmo
„ „	60	1	„ „	wołać	„ wołaś
„ „	63	10	„ „	po więcej ma być przecinek	
„ „	63	7	„ z dołu	drży	„ drzy
„ „	66	17	„ z góry	otarła	„ otarta
„ „	72	5	„ „	plotem	„ płołem
„ „	72	11	„ z dołu	Niechaj	„ niech
„ „	74	1	„ z góry	rozpatrywać	„ rozpatrytrzyć
„ „	75	2	„ „	Łukaszowa	„ Łukaszowa
„ „	79	7	„ z dołu	nadbiega	„ nadgiega
„ „	79	2	„ „	po trzeźwią ma być przecinek	
„ „	80	14	„ „	wiđziano zamiast	wiđziono
„ „	87	8	„ „	w Żytnikach	„ Żytnikach
„ „	89	16	„ „	daleko	„ daleka
„ „	90	1	„ z góry	zamarły	„ zamarzły
„ „	92	6	„ „	po ciebie ma być przecinek a	nie kropka
„ „	93	11	„ „	wysmukła zamiast	wysmukłe
„ „	93	12	„ z dołu	generałem	„ penerałem
„ „	95	16	„ z góry	się	„ cię

Na str.	96	6	wiersz z dołu	po dymy ma być przecinek		
"	"	98	6	"	krzyknęli	zamiast krzyknęli
"	"	99	15	"	zajęli	" zajęli
"	"	100	4	" z góry	po jeszcze ma być przecinek	
"	"	100	5	"	po cierpisz	" " "
"	"	100	16	"	po dzwonoń ma być przecinek	
"	"	104	ostatni wiersz	"	po pieśni ma być wykrzyknik	
"	"	107	5	"	bliżsi	zamiast bliźni
"	"	112	12	"	spojrzała	" spojrzała
"	"	112	8	" z dołu	przestanie	" przestania
"	"	113	12	"	po chcę ma być przecinek	
"	"	115	3	"	po konający ma być przecinek	
"	"	116	ostatni wiersz	"	Przepraszam	zamiast Przepraszam
"	"	117	7	"	na	" no
"	"	119	1	" z góry	kogo	" kogo
"	"	121	16	"	wszyscy	" wszyscy
"	"	122	3	" z dołu	spotrzerze	" spotrzerze
"	"	127	pod tytułem: Smutna Wigilia umieścić: W roku 1863 we wsi Zatory			[w Płockiem.
"	"	128	14	wiersz z dołu	okrytym	zamiast okrytym
"	"	130	9	"	wolności	" wolności
"	"	134	17	" z góry	zstępują	" zastępują
"	"	139	pod tytułem: Za cara umieścić: Z wojny rosyjsko-japońskiej			
"	"	141	16	wiersz z góry	daleką	zamiast daleką
"	"	141	6	" z dołu	przyjmij	" przyjmij
"	"	145	pod tytułem: Sama jedna umieścić: Wigilia biednej nauczycielki uniki			
"	"	145	2	wiersz z dołu	Wigilii	zamiast Wigilii
"	"	153	pod tytułem: Obrazek ze wsi umieścić: Wigilia chorego leśnego			
"	"	154	18	wiersz z góry	podając	zamiast podając
"	"	155	12	"	chodziłam	" chodziłam
"	"	159	pod tytułem: Przy kolędzie umieścić: Wigilia biednego studenta			
"	"	160	11	wiersz z dołu	po orzechów ma być przecinek	

Księgarnia Feliksa Westa poleca:

- Anc. Bolesław i Józefa. Z lat nadziei i walki 1861/63,* 3'—
Arystofanes. Rycerze, przekł. i opr. prof. B. Butrymowicz 2'—
Baumfeld Gustaw. Mieczysław Romanowski, stuđ. ideowe 1'20
Céez F. de. Dobrze zrozumiane życie, z franc. przełożył
Ks. Aleksander M. 2'—
Chmielowski Piotr Dr. Jan Kasproicz, próba charak-
terystyki 2'—
Dauchot. Polska nieśmiertelna, przekł. M. Starzyńskiej 3'—
Dzieduszycki hr. Wojciech. Dokąd nam iść wypada 7'—
»EPOS« najznakomitsze poemata epickie wszystkich
krajów i narodów pod redakcją A. Langego.
Tom I. Enuma Elis, ilustr. 1'20
Tom II. Epos Egipskie (Klechdy—Romanzero—Pentuar) 1'20
Tom III. Ramayana, ilustr. 2'20
Tom IV. Mahābhārata, ilustr. 6'—
Tom V. Iliada 3'60
Flach Dr Józef. Byron, życie i dzieła 2'—
— Stanisław Wyspiański, studyum 2'—
Gawroński Rawita Fr. Historya ruchów hajdamackich,
(w XVIII) 2 tomy z ilustr. 12'—
Hahn Dr Wiktor. Szkice literackie o J. Słowackim 2'60
— O życiu i dziełach J. Słowackiego —'60
— Juliusz Słowacki, Odczyt —'30
Jednodniówka Skargowska (1612—1912) 1'50
Listy do przyjaciół o życiu młodzieży szczególnież aka-
demickiej zebrał T. B. 3'—
Mickiewicz A. Pisma, wydane, objaśnione i poprzedzane
wstępami przez Dr Józefa Kallenbacha. 7 tomów.
A. broszurowane, na papierze zwykłym 10.—
A. na papierze zwykłym w oprawie płóciennej z napi-
sem na grzbiecie 14'—
B. na papierze zwykłym w oprawie ozdobnej 16'—
C. broszurowane na papierze trwałym ręcz. 12.—
C. na papierze trwałym ręcz. w opr. zwykłej (ang.) 18'—
D. na papierze trwałym ręcz. w opr. ozdobnej 20'—
E. na bibułce, wyd. numerowane w 2 tomach 40'—
Pieniążek Czesław. Polska i Krzyżacy, opow. hist. —'80
Putaski Kazimierz. Kroniki rodów szlachta Podola, Wo-
łynia i Ukrainy monografie i wzmianki, tom I.
illustr. opr. wpł. 16'— opr. w pólskórek 18'—
Rey hr. Mieczysław. Napoleon I. opow. w formie dramatu 3'—

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000094344



II 592486

592486 II



Brody — 1913
Drukiem Feliksa Westa